

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświata”
w Poniewieżu

Katalogowy Nr. _____

Inwentarzowy Nr. 2857.

O CZEM SIĘ NAWET
MYŚLEĆ NIE CHCE

Tejże autorki poprzednio wydane.

	Rb.	k.
Kaśka-Karyatyda. Powieść współczesna. Wyd. 2-gie	1	50
Kobieta bez skazy. Powieść	2	—
O czym się nie mówi. Powieść współczesna	1	50
Śmierć Felicyana Dulskiego. Opowiadanie	—	80
Szaleństwo. Powieść	1	50

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświeca-
w Poniewiezu

GABRYELA ZAPOLSKA

Katalogowy Nr. _____

Inwentarzowy N. 2857.

O CZEM SIĘ NAWET
MYŚLEĆ NIE CHCE

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.



268952

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145778

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

W/162/03

BIBLIOTEKA
Polskiego Towarzystwa „Oświ
w Poniewieżu

Katalogowy Nr.

Katalogowy Nr.

2857

B. D.

I.

Zanosiło się na tak zwaną »piękną noc«.
Ludzie wogóle wracali do swych legowisk piechotą. Inni z owych legowisk także piechotą zanurzali się w jeszcze nie podeschnięte od błota ulice. Kłapały bojkie lub rozlazłe stukania podszew o bruk lub asfalt. Cierpliwie oddawała je echem ulica, po której snuły się widma, kształtem ludzi przypominające. Zdaleka brzęczały tony fortepianów i połyskały przebijające się przez story światła prawie jaskrawe piętrowych pomieszczeń. Tak — nad chodniki wzniesione okna te wydawały się jakby szeregiem olbrzymich latarni, zawieszonych w powietrzu. Niektóre były uchylone, na niektórych znaczył się rozpięty mistycznie krzyż ramy szybowej. Ten szereg krzyżów, z poza których łaskotała przestrzeń tanczna muzyka, dziwny był i w mózg wrastający. Przytulny znak, podobny milczącej postaci czarnego archanioła o rozsuniętych prosto, nieruchomych skrzydłach, przechodził w coś boleśnie wystawionego na bezcelowe urągawisko. Kohorta archaniołów strzegła gniazd rechocących wieprzaków, niewidzialnych, jednak znak życia silny

O CZEM SIĘ NIE OHCIE MYŚLEĆ.

1

i niezdolny o sobie dających. Archanielskie krzyże stały wyniosłe na uwięzi, wprowadzone w skamieniałość tragiczną. Rozsnuły swe skrzydła wązko złożone i spływały prostą linią swych ciał androgynowych na rampy okienne. I strzegły tak mimo wszystko pentagramicznie rehot, służąc im za bolesne tło, siekające je chłostą.

Te krzyże, tak o nocnej porze wyrastające szeregami i zawisłe nad ziemią, domagały się raczej wielkiej, bezkresnej równiny — wysrebrzonej świeżym rżyskiem o czerwonych, gasnących już, strzelistych resztkach ginącego w pomroce słońca.

To powinno być poza nimi, ten cichy czar wieczoru nie zdławionego cielskiem murów, zięjących smrodem i zgnilizną spiętrzonych ciał ludzkich. To tylko purpura słońca i drżąca poświata tęczowa, półkołem zaznaczona i wchłaniana przez srebro równiny.

I one, te krzyże rozpięte — wyniosłe, archanielskie, szeregiem wykwitłe, jak grzęda mistycznych irysów czarnych — modlitewne same i do modlitwy bez przymusu wyzywające. Lub jeszcze choćby z poza murów rozwalonych, opuszczonych cmentarzy, gdzie miejsca na nowe trumny niema, a noc jesienna miecie całuny złote szleszczące z liści przydrożnych lip na zapadłe mogiły...

Lub jeszcze dwie brzozy koło takiego krzyża

pod stopy mu ścielą delikatne swe gałęzie — kochają go miłośnie i prawie lubieżnie. Wierne mu są i cichym poszumem gałązek i rozświetleniem drobnych, ubogich ptaszków łagodzą jego surowość. O nocy nikną w czerni razem z Nim — archanielskim. Wypłyną w srebrze prowadzi księżyc, albo w porannej zorzy świetlanej. Świeże są, pokorne — obleśne w swej egzaltacji miłosnej.

I piękne.

Dalekie od tych uroków są krzyże zawisłe nad asfaltem ulicznym, z poza których wysnuwa się rehot ludzkich egzystencji, splątanych w brzydki kłęb świeżo wypłutego z organizmu chorego — robactwa. Ku tym krzyżom bez skargi znoszących swe pohańbienie przestrzenne biegną świecące oczki Marysieńki, podskakującej drobny, prawie dzieciennym krokiem obok Zdziucha, zaszytego dostatnio w swe zimowe jeszcze palto. Uczepiła mu się swoim zwyczajem u ramienia gestem w dobrym humorze będącej małpki.

Z dumą stawia swe wązkie, nerwowe nogi, lśniące lakierem nowych bucików. Długi aksamitny płaszczyk czernią matową wchłania jej postać drobną i prawie nikłą. Tylko gdzieniegdzie zabłyszczą guziczki lub w świetle latarni przełotnie dół okrągłej bródki z linijką zawsze otwar-

tych jakby do krzyku ust. Jest śmieszna i roześmiana. To odczuć można. Wraca z teatru, gdzie grano jakąś nudną sztukę. Mówiono dużo o miłości na scenie. Ona przez ten czas szczypała męża w udo, robiąc przytem minę poważną i zasłuchaną. On podskakiwał śmiesznie, lecz się nie gniewał. Był także w dobrym humorze. Na kolację mieli świeże cielęce sznycelki, pasztet, napiją się po kieliszku koniaku. Zamiast dorożki kupili sobie trochę ciastek i owoców.

On niesie ciastka, ona owoce i wywija zwycięsko małą torebką. Bardzo jest przyjemnie i dobrze na świecie.

Dochodząc do ulicy Ciężarowej, zwolniła kroku. Wsłuchiwała się w rechoczące tony fortepianów. Jakaś polka ekscentryczna wybijała się nad wszystko. Załaskotała ją. Zaczęła podskakiwać w takt. Zdych jednak pociągnął ją.

— Chodź, Maryś! — wyrzekł niecierpliwie.

Lecz ona zaczęła prosić:

— Chodźmy tamtędy! mój złoty!...

Żachnął się, prawie ze złością.

— Powiedziałem ci, że nigdy nie będziemy tamtędy chodzić.

— Tam... bal!

— Właśnie.

— Tańczą!

— Właśnie.

Jakaś dorożka nadjeżdżała. Ciężka była, cała

pełna od mężczyzn. Stado ich było całe. Jeden przechylony spał, a ręka jego zwisała, dotykając prawie koła. Inni ściągali w głąb jakiegoś młokosa, który niepewnymi ruchami dał się na kozioł i wyczyniał jakieś konszachty z pełnym pogardy dorożkarzem. Minęli Zdzisia i Marysieńkę przypartych do ściany. Wjechali w aleję Krzyżów. Zaczęli krzyczeć coś niezrozumiale.

Marysieńka wyrzekła:

— To pewnie jedzie młodzież na bal.

Zdziś wzruszył ramionami.

— Właśnie.

Pociągnął ją w boczną, ciemną, wąską uliczkę.

Idąc — szczebiotała:

— Bo żeby się poznać z tem państwem, co tam mieszkają, to byłoby wesoło. Codzień tańczą... Choć żeby bywać u jednych takich... Oni pewnie też kolejarze... Może znają tatusia... a może ty tam bywałeś — to moglibyśmy im wizytę złożyć. Co?...

Jakieś dwie postacie szły naprzeciw nich. Kobiety. Ubrane wązko. Jedna miała kapelusz na głowie, druga była z gołą głową.

— Jakieś panie!... — zapiszczała Marysieńka — patrz, Zdzich — jedna z gołą głową.

— Co ci do nich!...

— Nic — tylko że to nieprzyzwoicie. Nawet ładnie ubrane, zdaje się. Więc nie sługi. Czemu bez kapelusza? Co? O! rozstały się.

Jedna rzeczywiście zatrzymała się pod latarnią, pochyliła się i zaczęła coś poprawiać pod suknią. Druga przemknęła środkiem ulicy, kierując się ku Ciężarowej. Szła brukiem, nie zważając na błoto. Zniknęła. Marysieńka obejrzała się za nią.

— To ta pani bez kapelusza. Patrz, jaką ma fajną bluzkę koronkową... co? Myślisz, że ja nie widzę, bo ciemno?! Ja mam dobry wzrok.

— Cicho! nie oglądaj się!

— Poszła już tamtędy, gdzie tańczą. Nie widziała...

— Chodź prędzej.

— Nie ciągnij! — E! jesteś mops!

Nagle umilkła, jak zahypnotyzowana. Kobieta pod latarnią uniosła wysoko spódnicę i manewrowała coś koło pończochy ponad kolanem. Poprawiała podwiązkę. Biała koronka majtek błyskała. Marysieńka wpatrzyła się szeroko rozwartymi oczyma w tę aparycję. I nagle zachichotała, jak chichoczą dzieci wiejskie, uciekające z gościńca do chałupy.

— Zdzich! ta pani ma różę za podwiązką!

Szarpnął nią.

— Cicho! chodź!...

Piszcziała rozbawiona.

— Jak mamę kocham! różową różę z liśćmi...

Lecz tamta z pod latarni już dosłyszała i wyprostowała się nagle.

— To co? to co? — warknęła.

Niespodziewane to odezwanie się zbiło zupełnie z tropu Marysieńkę. Głos tamtej był jakiś dziwny, niesamowity. I potem cała twarzznaczona kreskami oczu, rozplaszczonoego nosa, wąskich ust, twarz niecodzienna, napiętnowana, jakby tylko z kości, pokrytych trochą skóry bardzo delikatnej i białej — wgniotła się w mózg roześmianej młódki brutalnie i niespodziewanie.

— To co? to co? — powtórzyła, równając się z idącą pośpiesznie parą.

Marysieńka zaszyła się pod ramię męża nagle strwożona — jak ptak, na którego spadła bryła brudnego śniegu.

— Zdzich! czego ona? niech sobie idzie!... — wyszeptła.

Rozzłościł się naprawdę.

— Widzisz, mówiłem ci...

Tamta wyczuła w nich trwogę. Jak pies złośliwy, który czepi się uciekających i zalęknionych, pokazała kły posztukowane złotymi plombami.

— Widzicie ją!... — syczała — niepodoba się jej róża na podwiązce. A co ci się podoba?

Marysieńka drgnęła, jakby pod uderzeniem rozpalonej szpicruty.

— Zdzich!... — wyjęczała.

— Małpa! — syczała tamta — złapała sobie draba i wlecze się z nim i taka dumna!...

Zdzych odwrócił się ku niej pełną twarzą.

— Proszę nas zostawić w spokoju! — krzyknął.

Lecz ta — czysto zdjęta z Ropsa tragicznych wizyi — parsknęła kocim śmiechem.

— Zdziszek!... serwus, kanalio... gdzie cię niesie?

Zacisnął usta. Czuł pytający wzrok Marysieńki. Poufalość błotnistej zjawy zamroczyła mu na chwilę przytomność. Nie rozróżniał jej twarzy. Nie znał jej. A może i znał. Kiedyś — bardzo dawno — w swych młokosowskich, rozuzdanych latach. Zdawała się nie mieć określonego wieku. Zdawała się być wieczną — ciągłą — nieustającą — niezwalczoną.

I nagle ogarnęło go nieokreślone uczucie, gdy tak szedł z temi dwoma kobietami przy boku. Z młodziuchną żoną, uczepioną mu u ramienia, i z tą drugą, klapiącą o krawężnik chodnika amerykańskimi, grubemi podszwami bucików. Uczuł jakby zawrót głowy i mdłości, porywające go nerwowo.

— A powiedz tej małpie, z którą się wleczesz! — zasyczał znów grobowy głos z ciemnicy — żeby porządnych ludzi nie zaczepiała po ulicach, bo tak jej pyski spiorę...

Ścisnął w rękę laskę.

— Idź precz, bo zawołam policyanta — krzyknął.

— A!... patrzcie go! A wołałeś policyanta, jakieś do mnie przychodził na Zakroczymską? Zapomniałeś? Na darmość przychodzili! Byłeś goły, jak bizun... Ty morowa nacyo! policyantem będzie straszyl. Ja cię nie zapomniałam!

Teraz już biegli prawie wszyscy troje. Ona wciąż obok nich, utykając teraz po kamieniach, bo asfaltowy chodnik urywał się nagle i przechodził w resztki jakiegoś wygryzionego bruku.

— Zapłać mi lepiej, coś winien od tyłu lat, złodzieju!... — wycharczała zdyszana.

Wyrwał ramię Marysieńce. Laska śmignęła i opadła ciężko na twarz i głowę prześladowającej.

I rozległ się straszny, nieludzki wrzask. Coś z higieny, obdzieranej żywcem ze skóry, coś z gwiżdżącej tragicznie syreny okrętowej, nawołującej o pomoc w piekielnym skowycie rozszałej burzy.

Właściwy ton ów mają jedynie tylko głosy dziewczynek, bitych po zaułkach ulicznych. Tajemnica tego dźwięku tkwi w ich zapadłych i zmęczonych piersiach. Wyją... skomlą... drą się, jakby życie darło się im w strzępy.

— Policya! po-li-cya!... stójkowy!... zabijają!... za-bi-ja-ją!...

Marysieńka zaczęła krzyczeć:

— Zdzych! nie bij!...

Jakaś solidarność kobieca podniosła się nagle w tej czerni i wobec śmigania tego kija po zmę-

czonej głowie, z której posypały się pióra kapelusza i przyprawne kudły.

— Nie bij!...

Dopadli do bramy, mając ją poza sobą. Wyła — widocznie silnie kijem ugodzona. Dzwonili rozpaczliwie — oboje uważając wydostanie się do wnętrza bramy, jakby jakieś ocalenie się przed czymś ohydnem. Stróż wyjątkowo szybko się zjawił. Czas już był. Tamta pozbierała się i pędziła ku nim, jak kłęb czarnego, rozwichrzonego błota. Zionęła przekleństwem i ohydą słów. Cała rozpusta długoletnia była w niej. Mściwość teraz brała górę. Rzec można nie za śmiech Marysieńki i kij dawnego kochanka, który studenckie noce przesypiał na jej łonie — lecz za to wszystko, co tam na dnie marło w niej na pozór, a przecieżgniło tylko nienawiścią i przekleństwem.

I był taki rozpęd szalony, taka moc potworna w tym pędzie, którym się ku nim cisnęła, że wpadli do bramy, jakby bezprzytomni — i równocześnie z ust ich wycharzczało do stróża:

— Zamykaj! zamykaj!...

Już z tamtej strony biły o bramę oszalałe od furji pięście — rozlegał się tupot nóg, walących w historycznym szale o bruk. I bełkot przeciągły słów gnijących — jakby szczek psa, wyrwanego z budy, który, wlokąc łańcuch, targa się nocną czernią wśród zapartych domostw.

Stróż pokiwał głową.

— Jakaś z Ciężarowej. Wyjdę i dzielię przez łeb...

Lecz Marysieńka uchwyciła rękę już gotową do bicia.

— Nie bić!... — zawołała, cała drżąca.

II.

Gdy się wydostali na górę i wpadli do swego mieszkania, uczyli się nagle tak, jak ten, który tonął w błocie i nagle poczuł grunt pod stopami.

Ciepło domowego gniazda, świeżość sprzętów, do których już zdążyli się przyzwyczaić, ich milczące powitanie bez cienia tej złośliwości, którą z czasem przybierają rzeczy nieme, w długiej wysłudze poniewierane — owinęła ich odrazu pełną miękkością uspokajającą.

Szczególniej odnosiło się to do mężczyzny, który wrażliwszy był obecnie na różnice życiowych odcieni. Zetknięcie się z dziewczką, która dawniej dawała mu przytułek i »miłość« w bardzo niewybrednem otoczeniu i formie, kazało mu poniekąd odczuć dużą różnicę w tem, co było, a co jest obecnie. Zdejmując palto i wchodząc do oświetlonej jadalni, gdzie czyściuchno nakryty stół pod kloszem elektrycznym świecił się bielą obrusa, porcelany, migotał szkłem — winshawał sobie, iż jest teraz tak bardzo daleki od włóczenia się nocą po bajzlach, szantanach, po to, aby zakończyć noc tryumfalnie na przepojonem dymem tytoniowym łonie prostytutki. Pod temi

wrażeniami uśmiechnął się do sztychów, zawieszonych na ścianach, do ładnego dębowego kredensiku o mosiężnych okuciach, do sofy, obitej brązowem sukmem. Nie żałował zaciągniętych na umeblowanie pieniędzy. Dziś bowiem więcej niż kiedykolwiek odczuł ciepłko, więcej z zastawionych kątów. Siadł do stołu i nalał sobie kieliszek koniaku. Potem przysunął sardynki i zajął się nimi, oczekując na pojawienie się żony i dalszy ciąg kolacyi.

W kuchni słychać było brzęk naczyń i krzątanie się służącej. I to było dopełnieniem programu domowego ogniska. Rozpalone płonęło równo i jasno, bez dymu i komplikacyi.

Przynajmniej na teraz.

Zawołał prawie wesoło:

— Maryś!

Z sypialni odezwał się cichy, jakby płaczący głosik:

— Idę!

Weszła ubrana jeszcze, jak była w teatrze — w ładnej sukni skomplikowanej, złożonej z gipiury, gazy i jedwabiu. Była za strojna dla jej drobnej postaci. Niemniej dodawała jej jakby szyku. Kolor lewandy, komplikacya karminu z błękitem, przeważał dyskretny i podobny do barwy jej oczu. Te oczy były jakby zapłakane, jakby coś po nich się przesunęło — pomimo usiłowań, aby znikło. Usiadła jeszcze po panieńsku, grzecznie,

na brzeżku krzesła i poddała pod blask lampy swą starannie uczesaną, trochę podłużną głowę. Włosy jej miały odcień właściwy szatynkom, które zbyt o te włosy dbają. Lśniły prawie sztucznie, bez rozkosznej puszystości, przypominającej rozwichrzone dziecięce fryzurki. Doskonale, równo zarośnięte, podnosiły się od karku linijką bez najmniejszego zarzutu. To uderzało przede wszystkim w jej głowie, to i pewna prawie starcza pedanteria w doskonałej czystości i dokładności stroju i całej postaci.

Nalał jej kieliszek koniaku.

— Napij się! — zapraszał.

Odczuła natychmiast, że on jest w doskonałym humorze, a przynajmniej usiłuje być w nim.

Zapra gnęła się doń dostroić.

Uśmiechnęła się, pijąc koniak, lecz poczuła także, iż uśmiech ten wypada blado.

Siedziała dalej martwa i niema.

— Chciała jeść. Nie mogła. Widelec jej z rąk leciał. Mimowoli ciągle zesuwała się na ulicę. Nie widziała przytulnych jasnych ścian, ani szkieł, które lubiła i do których przywykła już uśmiechać się, jedząc. Coś przed nią majaczyło ciemnego o liniach przeginającej się kobiety, jakiś kapeluszek spadał, wirował, toczył się po bruku. I potem wrzask się rozlegał z oddali i znów coś się o nią ocierało ślizkiego i to coś bez wyrazu

zasiadało przy stole na jasnym dębowym krzeselku. Sama mimowoli marszczyła brew — usta jej wykrzywiały się. To coś, co za nimi weszło ze śmietnika ulicy, miało w sobie promieniowanie jakichś brudnych, zastalych przeżyć. Kurczyła swe wymyte, wyściurzone ręce. I doznała

nagle dziwnego wrażenia. Gdy Zdzych podał jej czarkę z masłem, ręce jego wydały się jej, jakby pokryte szarą pleśnią. Była to sekunda niewyraźna. Znikła przecież. Ale była.

On wyciągnął się na krzesle, rad z kolacyi, która ciągnęła się już teraz normalnym trybem.

— Wszędzie dobrze, w domu najlepiej! — mruknął szablonowo. — Co, Maryś?

Nie odpowiedziała nic. Mimowoli nadśluchiwała.

— Czy nic nie słyszysz? — zapytała wreszcie.

— Jakto?

— Z ulicy! Zdaje się, ktoś krzyczy.

Porwał go gniew. Wznowił się poprzedni nastrój, zebrany w zgniliźnie trotuaru. Zanudziło go. Odsunął talerz.

— Co z tobą? Kto ma krzyczeć?

Cichutko wyszeptwała:

— Ona!

Udawał, że zapomniał, że nie rozumie.

— Jaka znów?

— Ta... coś ją uderzył.

— Ach!... Także masz o kim myśleć... lepiej jedz...

Lecz ona odsunęła się nagle od stołu.

— Ona ci mówiła... ty... — wyrzekła powoli, wbijając oczy w obrus.

Wzruszył ramionami.

— Zdawało ci się!

— Nie! nie! I nazwała cię po imieniu. Ona cię zna...

Zniecierpliwiony, tembardziej, że przyniesiono kompot, który lubił specjalnie — odrzucił:

— No więc mnie zna.

— Ciebie?

Oczy jej otwały się szeroko. Patrzyła na niego długą chwilę, jakby starając się pojąć rzecz nadnaturalną. Wreszcie wyszeptwała:

— Skąd?

Nadspodziewanie, te jej szeroko rozwarte oczy, ta indagacja rozbawiła go.

— Skąd? nie pamiętam! Z ulicy, czy z knajpy... czy ja już wiem!

— Ona mówiła, że przychodziłeś do niej na Zakroczymską ulicę.

— Nie pamiętam. Jeżeli tak, to było bardzo dawno. Z osiem, dziesięć lat temu. Może i dawniej. Byłem jeszcze smarkaczem...

Pożarł kompot, pił śpiesznie herbatę. Ona nie jadła nic wcale. Skurczyła się. Patrzyła z pod brwi ściągniętych. Wreszcie po długiej chwili wykrztusiła powoli:

— Po coś ty do niej chodził?

Zaczął się śmiać bardzo serdecznie i szczerze.

— Po co? po co?

— Tak? po co?

Nieznany jakby błysk mignął w jej oczach. Poczula się sama nagle silna, jakby w stał zakuta. Wyprostowała się i odsunęła. On porwał się z krzesła i wesoło pochwycił ją w pól.

— Po to, po co my oboje pójdziemy teraz do naszego pokoju!...

Podniósł ją z krzesła, nie czując jak mu się przeży w ręku nagle i boleśnie. Chciał ją ugryźć swoim zwyczajem w kark, lecz wygięła się przed jego ustami jakby przed dotknięciem czegoś nieczystego.

— Zostaw mnie! — zawołała.

Nie wyczuwał nic. Był już w sypialni i tam urządzał swoje małe nocne gospodarstwo. Ona stała ciągle na progu i patrzyła na niego tępo. To coś, co wyczuwała obok nich przy stole, wtargnęło i tu do sypialni. Wydało się jej, że na posadzce jest pełno błota a meble przysypane pyłem.

— Rozbieraj się, Maryś!...

Zacząła powoli ściągać z siebie suknię. Przechodząc koło okna, mimowoli przystanęła w nad-słuchujący sposób. Zwykle rozbierała się bardzo szybko — załatwiała swą nocną tualetę za parawanikami, tworzącymi rodzaj ubieralni, i już



była obok niego pod kołdrą ruchem zwinnego małego kota.

— Oto jest mopsa żona! — anonsowała skrzeczącym głosikiem.

Dziś tego wszystkiego nie było. On leżał już w swoim łóżku śmieszny trochę na błękitnie delikatnym, przebijającym przez batyst poszewek. Palił papierosa z wielkim smakiem. Na kołdrze leżały dwa wieczorne dzienniki. Nie miał ochoty zabierać się do nich. Pograżał się w miłym nastroju, oczekując na ciepło ciała Maryśki, które za chwilę powinno było znaleźć się tuż przy nim. Lecz dziś »żona mopsa« — spóźniła się jakoś. Obejrzał się po sypialni. Stała przy oknie. Stora była wszakże zapuszczona. Marysieńka miała już na sobie długą, ciekawą koszulę z białego batystu, przystrojoną żółtymi koronkami. Delikatna wstążeczka związywała tę koszulę białym dziewczęcym motylkiem. Miała Marysieńka w tej chwili pozór białej komuniantki, zasłuchanej w niepewny ton organów. Nie widział jej twarzy. Przyłgnęła ją do szyby. Stała — nieruchoma.

— Co tam widzisz? na co czekasz? chodź!...

Oderwała się powoli i szła wąską ścieżeczką, zostawioną pomiędzy łózkami. Wyczuł w niej (nawet on) obcość jakąś, chęć izolowania się. Podnieciła go ta świadomość. Wyciągnął rękę. Pochwyił batyst.

— Chodźże!

Nie wsunęła się pod kołdrę. Usiadła na brzegu łóżka. Błękit abażurka lampki elektrycznej oświetlił ją mistycznie. Przyniosła z sobą jakby pewną powagę chwili.

— Powiedz mi!... — zaczęła — powiedz! to ty... ją kochałeś?...

Teraz on otworzył szeroko oczy.

— Kogo?

— Tę, tę...

Wskazała ręką w stronę okna, jakby nie mogła już precyzyjnie przez gardło bliższego określenia tamtej kobiety.

Zaczął śmiać się znowu.

— Ach! ty głuptasku!

Ręka jego błądziła po batystach. Usunęła ją.

— Kochałeś ją? — powtórzyła twardo.

— Jak ty się możesz pytać o coś podobnego.

— Mogę! mogę!... Powiedziałeś, że po to do niej chodziłeś, po co...

Nie dokończyła. Oblaty ją płomień. Usunęła się z brzegu łóżka.

On aż podniósł się na pościeli.

— A to piła!... — wyrzekł, sięgając po papierosa.

— Odpowiedz!...

— Czyś ty oszalała? Przecież się takich kobiet nie kocha.

— Jakto? Jeśli to samo z nią... robiłeś, co ze mną?

Rozłożył ręce bezsilnie zdumiony.

— A cóż ty chciałaś? Żebym czekał na ciebie?... Przecież musiałem gdzieś pójść.

— Dlaczego... musiałeś?

Nie znalazł odpowiedzi na razie, którą mógłby skoncentrować w jędrnym, dosadnym określeniu. Schował się jakby za skrzydła parawanu.

— Byłem młody...

— A!...

Lecz na jej twarzy chmura wzrastała. To ją nie przekonywało. Namyslała się. Coś kombinowała. Wreszcie uparcie wróciła do swego.

— No to musiałeś się w niej kochać!

— Niby dlaczego?...

— Bo właśnie młodzi się kochają. I gdybyś tak przez miłość poszedł do niej...

Zachnął się pół zniecierpliwiony, pół rozesmiany.

— Gadasz o rzeczach, o których nie masz pojęcia. Bierze się w kieszeń trochę pieniędzy i idzie się załatwić ową miłość. Nic więcej!

— Tak — poprostu?

— Najprościej.

— Nic więcej?

— Najzupełniej.

— I wszyscy tak?

— Wszyscy.

— Jezus Maryja!...

To już cichutko wyszło z jej ust prawie niedosłyszalne. Tylko ona odczuła ten rozpaczny wykrzyk i coś przewinęło się przez nią, jakby żywe, szarpiące ją stworzenie. Zrozumiała, że głośno nie może zademonstrować swej grozy, bo byłaby niezrozumiana. To, co się w niej działo w tej chwili, było zupełnie obce dla tego mężczyzny. On przebył to lodowe pole, na którym włóczyły się kłęby czarnej, cuchnącej mgły. Ona znajdowała się dopiero u beznadziejnej furty i biły w nią orkany zamarzłych i duszę przenikających pędów. Czowała, iż cofnąć się nie czas. Zrozumieć musi wszystko i napić się całą trucizną strasznych, nieprzewidzianych tajemnic. Ciało jej marzło i prężyło się, zatracając swą giętkość i podatność dziecięcą. Wpiła paznogie w atlas kołdry.

I tak martwiała.

On patrzył w sufit poprzez delikatne chmurki papierosowego dymu.

— Teraz sobie coś nie coś przypominam, skąd ona. Zdaje mi się, że była wtedy w jakiejś mleczarni.

— Co tam robiła?

— Usługiwała. Potem spotkałem ją na ulicy. Już się włóczyła... A potem widocznie spadła na to, co dziś... Tak! tak! zdaje się, że to będzie ona. Choć dobrze nie pawiętam.

Zęby mu w śmiechu błyszczwały.

— Tyle ich było.

Zapadło milczenie. On grzebał we wspomnieniach, ona z tych wspomnień budowała terazniejszość.

— A dlaczego... ona... ci mówiła ty?... — zapytała wreszcie.

Głos jej brzmiał dziwnym, zmienionym dźwiękiem.

— Jakże chcesz żeby mówiła inaczej po tem, co było pomiędzy nami.

— A ty?

— Co?

— Mówiłeś jej także... ty.

— Jakże miałem mówić — łaskawa pani, czy droga pani!

— I... i... całowałeś ją?

— Czy ja wiem.

— W usta?

Nie odpowiedział nic. Czuł jej oczy z pod długich rzęs wbite w siebie niespokojnie.

— W usta... — powtórzyła — jak mnie?

Zrozumiał wreszcie, że chwila jest trochę ważniejsza, niż przypuszczał.

Zaprzeczył.

— Co ci do głowy przychodzi? Takich kobiet nie całuje się w usta. Traktuje się je jako mus, jako konieczność. Pogardza się niemi. Jak

możesz nawet porównywać siebie do niej. Ty głuptasie!...

Wyciągnął rękę, aby ją przyciągnąć do siebie. Lecz spotkał się z pewnym oporem. Pierwszy raz podatne zazwyczaj i chętne do pieszczoty ciało Marysienki zeszywniało w jakiejś niechęci.

Zmarszczył brwi.

— No... Maryś... co to? fe! a! fe!...

Ta nagana, wypowiedziana tonem kogoś, kto dojrzał nagle rzecz brzydką i zdrożną tam, gdzie była sama jasność i czystość bezwzględna, wywołała w niej wręcz przeciwny wynik.

Zachmurzyła się, zacięła jeszcze więcej.

— I... często do niej chodziłeś?

— Daj mi spokój!

Zgaślił papierosa — wcisnął głowę w poduszki.

— Odpowiedz!

— I tak za dużo mówiłem. Daj mi spać!

Nie odpowiedziała nic. Siedziała wciąż nieruchoma. Wreszcie powolnie, jakby mówiąc do siebie, wyrzekła:

— A jednak ją uderzyłeś...

Czuć było, że w tym mózgu kobiecym odbył się wartko cały proces. Nocne schadzki, wspólnie odczuwana rozkosz pieszczoty, których treść doskonale już pojmować zaczęła — mistyczny wdzięk oddawania się i odbierania ofiary wspólnych uniesień — wszystko to będące nie-

zbitym i niezłamanym faktem, rzeczywistością stwierdzonym. I nagle ten kij wzniesiony, walący prosto w twarz, a potem osuwający się na pierś. Przezięte ciało pod wpływem bólu, skowyt higieny — i to pozostawienie jej samej w cuchnącej wilgoci ulicznej, podczas gdy oni odgradzali się tchórzliwie od jej mściwości deskami bramy. I nie wiedziała, co w niej jest w tej chwili.

Nienawiść do tej dziewczki, tej poprzedniczki, która z tajemniczych oparów błotnych wychylała się nagle z wyciągniętymi pazurami i zuchwałą mordą, zbrojną w niezaprzeczone istnienie minionych chwil! Czy może jakby współczucie za tę zapłatę, jaka tę dziewczkę spotkała w formie kija... Sama nie wiedziała. Dość, że miała w sobie pełno nienawiści, żalu, buntu. Spożytkować ją umiała. Obrócić w jakąś stronę.

I przeraziła się.

Zrozumiała — że, jeśli nienawiści tej, która porwała się tak nagle z jej głębin i ogarnęła ją całą, nie zużytkuje, odwracając ją w stronę dziewczki — lawina cała dławiącego ją zła spadnie ku niemu i połamie jej życie na strzępy. Znieawidzi go i oderwie się na zawsze. Spadnie na nią katastrofa, pogrążająca ją w bezdeń życia, bez uśmiechu.

Nienawiści nie zdoła wyplenić z duszy. Przemierzyła jej ogrom i zrozumiała tę potęgę. Za

mało miała sił, aby się z nią zrównać. Zbudziła się w niej w ten tragiczny wieczór, zbudziła się przedwcześnie, bo przecież z przebiegiem życia w każdym nienawiść wystąpić musi jako jedna z dominujących cech charakteru. Lecz u niej przyszło to w zaraniu i wypadkowo. Pogodzić się z tem musiała. Gorycz przelewała się prosto brzegami jej moralnej istoty...

Nienawidzić już musi.

Z jakimś trwożliwym, szalonym gestem porwała się nagle z miejsca. Jak wąż skręcony i wyprężony wsunęła się do łóżka i przywarła do ciała męża. Rozpaczliwie chwyciła go w pół i wtuliła się weń cała.

On, w półsenny, przyjął łaskawie to, co sądził wybuchem temperamentu. Poglądził ją po głowie.

— Ech! ty mała waryatko!...

I wziął ją w swoje ramiona.

III.

Stało się to w niespełna trzy tygodnie po ich ślubie. Jeszcze w sypialni i saloniku wędły z brzydkim, grobowym zapachem resztki bukietów, z którymi włożono Tońkę do wagonu — a pasztet z uczyty weselnej, skrętnie przez starszą panią zapakowany do pudła, nie został całkowicie spożyty. Marysieńka miała jeszcze załężnione oczy i usta rozwarte, jak małe dziecko, gdy się zanadto czegoś przełęknie. A Zdich kroczył jakoś tryumfująco, trochę parobkowato, i miał w kącikach ust pewien niesmak. Bo natura w nim była prosta, rzecz można nawet prostacka i komplikacje nocy poślubnych — owe rozkosze, oparte na subtelności delikatnego zdo-bywania — wydawały mu się raczej dwuznaczne. Nie rad sprawiał ból i przestach, a tu wypadło właśnie owo zadawanie tortury musową koniecznością pod grozą skompromitowania swej dziarskości męskiej. Przytem był egoistą i miał jakoby żal do zepsucia mu spodziewanej i oczekiwanej satysfakcji seryą grymasów dziewczęcych, które brał jedynie i tylko za grymasy. Wyczuł w nich podkład nieświadomości i ta nie

zachwyliła go. Oczekiwał uświadomienia, gdyż niezmacony spokój, z jakim przyjmowano w czasie narzeczeństwa jego ryzykowne dwuznaczniki, wprowadziły go na błędną drogę. Sądził Marysieńkę dużo wiedzącą i winszował sobie tej wiedzy. Lękał się niewiniątek i naiwność robiła na nim wrażenie niemodnej teatralności. Tymczasem zaraz w pierwszej chwili ślubnego sam na sam odczuł, iż potyka się o prowincjonalną, zakamieniałą nieświadomość. Poprzedni spokój w przyjmowaniu tak zwanych »masnych« dowcipów opierał się właśnie na niezrozumieniu. Przestach go ogarnął i wzmógł jego zmieszanie. Pragnął jak najszybciej być poza Rubikonem. Stał się prawie brutalnym i niezręcznym. Trochę kose oczy Marysieńki — jej twarzyczka krągła z komiczną podkówką drżących świeżych ust — gładziuchne, grzeczne włoski — ta całość na łóżku małżeńskim, świeżuchno zaślanem, ozdobionem ładną a nawet wytworną pościelą — »peszyła« go.

— »Psia krew!« myślał, »psia krew«, pragnąc aby ta panienka dała znak życia bardziej intensywnej w połączeniu z jakąś brawurową, z teorii czerpaną zmysłowością.

Natomiast, ciche podchlipywanie, szloch ofiary, zdumienie jagnięcia, wprowadzonego do szlachtuza...

Czuł, iż trzeba powiedzieć jakieś dobre słowo, coś murowanego, coś, co zostanie.

Nie znalazł nic.

Pogładził ją po głowie i zamruczał:

— No... no...

Mimowoli przypomniał sobie ciekawy moment swego życia, gdy on znalazł się w sytuacji, w której obecnie znajdowała się Maryś.

Miał lat czternaście, a jego rolę spełniała jego stryjeczna ciotka, niebacznie z powodu jakiejś uroczystości ulokowana przez zbyt wierzącą matkę w jednym z nim pokoju.

Ten sam wzrok zalekniiony, kto wie — może te usta w podkówkę miał on właśnie. I ten gest protekcyjony. To poklepanie po głowie i owo uspokajające »no! no!...« wymówiła ciocia, która później zapaliła papierosa i patrzyła na niego z drwiącym, ironicznym uśmiechem.

Pamiętał, że zniecierzył i ciotkę i akt miłosnego złączenia. Nienawidził długo, ale powoli się przyzwyczał. A nawet polubił.

— Phi... i Marysieńka przyzwyczał się a nawet... polubi.

Uśmiechnął się. Sięgnął machinalnie po papierosa. Zapalił go. Pozostało mu to ze wspomnienia po »cioci«. Zawsze po tem musiał wypalić papierosa. U jego boku podchlipywanie dziecka ustało.

— Zasnęła, dzięki Bogu — pomyślał — ale to psia krew awantura! Dobrze, iż to tylko raz jeden w życiu. Mam tego wyżej uszu! Swoją

drogą mogli jej byli choć o tem powiedzieć i oszczędzić mi tej przykrości.

Utonął zaraz w kombinacjach materyalnych. To było stokroć ważniejsze. Ożenił się bardzo pocziwie bez posagu. Przyrzekano mu tam coś, nawet i teraz przyrzekają, ale on na to nie liczy. Gwiżdże na to. Mogli nawet wyprawy nie dawać. Ale dali. I tak byłby dziewczynę wziął. Dlaczego? Sam nie wie. Kochać się? Gadanie austriackie. Podczas wakacyjnego czasu, gdy bawił u siostry zamężnej za notaryuszem w jakimś mieście — poznał Marysieńkę. Przedstawiła mu się nieźle w różowych kretonkach, przez które przebijały jej dziewczęce piersi bardzo rozwinięte. Te piersi pociągały go dziwnie. Nizko były osadzone i kształt miały niesamowity. Coś podobnego widział w menażeryi u Syngalezek. Później przyzwyczał się do ich widoku. Przystał się nimi interesować specjalnie. Natomiast coś pomiędzy nimi obojgiem zadzierzgnęło się, jakby sympatya. Lato było cudne, czyste, pachnące.

Staw duży — woda przejrzysta i łódka dawała im schronienie przytulne. Jeszcze jedna gąskowata figurka w błękitnych kretonach dla przyzwoitości — piastująca któregoś Żeromskiego pod mokrą pachą. Tak we troje kołysali się po wodzie dniami całymi — bo nawet kawiarni w mieście owem nie było. Zdych nie wiedział

gdzie umieścić swą męskość. Umieszczał ją więc wyjątkowo przyzwoicie tych wakacyi obok różowych kretonów córki stacyjnego naczelnika. Aż się dziwił sam sobie, gdy wieczorem wracał do domu siostry bardzo grzeczny i prawie cnotliwy. O małżeństwie nie myślał, złota wolność kawiarniana była mu drogą. Natomiast myślano za niego. Ani się nie obejrzał, gdy go zaręczono. Różowe kretony i biust Syngalezki oddawano mu wspaniałomyślnie na własność. Przeraził się, potem wzruszył ramionami.

— »No to się ożenię! — pomyślał — wielka awantura!«

Gdy wrócił zaręczony do miasta na swoje stanowisko adjunkta kolejowego, nie zmienił systemu życia. Spacerował dalej po knajpach i lokalach — za pan brat z kelnerami i dziewczynkami, zalegającymi spelunki. Nie chciał czynić sobie przykrości, odmawiając sobie raz przyjętych i utworzonych drózek. Kochał siebie bardzo i czułby ogromną urazę do swego charakteru, gdyby go w czemkolwiek zgwałcił.

— Dość będzie, gdy się ożenię! — pomyślał ze spokojem.

— Zresztą wtedy będzie mi łatwiej... będę miał żonę...

Wziął bowiem za zasadę, że jak obiad i kolacja, tak samo musiała być »kobiecość« w jego systemie dziennym.

— Dla zdrowia!

Marysieńka miała mu zastąpić rolę, dotychczas spełnianą przez tysiąc i jedno — bezmiejnych ciał.

— Dla zdrowia!

Zagaś papierosa, lampka błękitniała w kąciu sypialni. Niesmak nie opuszczał ust Zdzicha. Zerknął ukosem na nieruchomo leżącą żonę ze splaszczonym nosem o powierzchnię zbyt świeżego jaśka.

— Hm! wyrobi się... — pocieszył się — jakoś tam będzie!

A potem jego dobre serce wzięło górę. Żał mu się zrobiło tego czegoś, prawie zmaltretowanego i tak bezgranicznie głupiego.

— Biedaczka! — pomyślał — ale czego wyprawiała takie awantury. Nie wiedziała... ślicznie! Ale... gdzie się to takie coś uchowało!...

I rad był poniekąd, że jest to takie »głupie«. To uświadomienie pańien nie zachwycalo go.

— Przynajmniej mam żonę, która nie jest jak ciastko w cukierni — roześmiał się w duchu, tania i trywialnie używając koncept.

Delikatny kaszelek powstrzymał go od zapalenia nowego papierosa. Przypomniał sobie, iż w domu rodziców Marysieńki, z powodu słabego zdrowia matki, nikt prawie nie palił papierosów.

— A! do dyabła! — warknął w myśli — i do papierosów muszę ją przyzwyczać.

Leżał teraz nieruchomo, usiłując zasnąć. Zaczęły mu się przed oczyma majaczyć całe serye przeżyć. I same erotyczne zjawy wypływały z tej przebytej w danej chwili sytuacji.

Jakieś zarzucone niedbale i umiejętnie ręce, jakieś usta przepojone koniakiem i tytuniem — coś, do czego właściwie przywykł i co było podstawą jego uspokojenia.

— Właściwie — pomyślał w konkluzji — powinienby istnieć poprostu jakieś szkoły, gdzieby niewiniątka narzeczeńskie wyuczali obowiązującego je zachowania się. Skąd ja przychodzę do mordowania się nad podobną edukacją? Nie jestem zdeprawowany i to mnie nie podnieca.

Usiłował zasnąć, lecz nie mógł.

— I spać nawet nie mogę!

Coś tam pod jego boki jakby znów łkać zaczęło.

Lecz on udał, że nie słyszy.

I tak oboje trwali!

IV.

W ten sposób zakreśliło się koło ich życia. Drobne to było, małe i ciasne. Dwie żadne, blade egzystencje podały sobie ręce, przywarły do siebie i postanowiły trwać razem. Mogły dla siebie właściwie doskonale nie istnieć — lecz dla Całości musiały być i iść w głąb niepewnych zdarzeń. Ta Całość hydrą o stalowych szponach zaciężyła nad nimi. Nie rozumieli jej znaczenia tak, jak nie pojmowali swego znaczenia i konieczności poruszania się w zacieśnionym kręgu.

Lecz tam, od zewnątrz, już zaczynały bić o ich palisadę lśniącą i nowiutką jakieś powiewy zgnilizn, nagromadzonych od chwili sformowania się udoskonaleń społecznych. Rzechy można cmentarzyska o zapadłych w ziemię niezliczonych kondygnacjach. Tam, z tych katakumb, poznanych tylko legendą szkieletów, wstawały teraz i wydobywały się po wiekach opary ich czynów i postanowień. Były to widma, połączone z sobą ściśle — bez postaci i widomych rysów. Zgniliznę wymieniły wzajemną i wnikły w siebie, jak dwie głodne hijeny, które, nażarłszy

się trupów na pobojuwisku, w noc gwiazdami rozświetloną złączyły się w uścisku miłosnym.

Widma te rozsnuły się dookoła ślizką, cuchnącą, dławiającą atmosferą — uznaną za jedynie możliwą i doskonałą. Z poza ich kłębów jakiś głos niesamowity dyktował przykazania wykrętne i pełne obietnic. Cmentarzyska kiedy niekiedy przebiegało jakieś tchnienie. Jakby tam, z największych głębin, coś się budziło jęklonie i ostrzegawczo. Od warstw tych, które się najpierwsze zapadły, szły te przypomnienia prymitywnych wolnych, doskonałych pojęć i odczuć. Echem pragnień odbijały się na powierzchni cmentarnej i powstawały jakieś wtedy burzliwe ciągi, coś grożącego wybuchem destruktywnym dla oparów skłębionych przegnile w ścisłych i zwartych ciężeniach. Lecz oto hijenom, parzącym się miłośnie wśród tychże przegnitych smrodów, niewygodny stawał się dreszcz wolnościowy, nabrzmiały pragnieniami i z zamierzchłych i, zda się, pogrzebanych dawno pojęć zbudzony.

I powstawał w czerni, w zaduchu, w trupich fałszach i obłudnych zgniliznach łomot i trzask, jakby waliły się rusztowania, pracowicie, mrówczo ku ogólnej wygodzie wznoszone. Rykiem i wyciem potwornem, tchnieniem rozszalałego gniewu, pianą ociekłych, rozwartych szeroko mord — zaznacza się protest tych, którzy, w bagnie przewalając się, odpowiednie swym na-

łogom, chęciom, żądzom i namiętnościom ujście znajdują. Pod czarną chmurą cuchnącego fałszu staje kohorta stróżów przykazań, w takt których odbywa się taniec egzystencji oślizgłych od egoizmów i wywyższeń najpodlejszych instynktów do rang koniecznych i uświęconych doskonałości. Z całym pędem następuje mobilizacja potworna widm szerniałych i obwisłych od fałd stworzonych wiekową tajoną rozpustą lub zbrodniczą żądzą przewalania się w ciepłej jeszcze krwi. Wyciągają pazury drżące, wyciągają ramiona drżące — coś bełkoce, coś stara się hymnem o dźwiękach przeszlachetnych ochronić ołtarze, około których wznoszą się kolumny, wbite podstawą w najbardziej cuchnące od fałszu bagniska. I bełkot ten — ryk — wycie hijen, którym przeszkodzono w ich używaniu bezpiecznym terenów zdobytych — na cele ich własnych, egoistycznych potrzeb — powoli spycha w głębinę cmentarne jakieś dreszcze, jakieś powiewy usiłowań przebiccia się ku wyżynom jaśniejszym i do oddechu podatnym.

I nastaje znów cisza pobojuwisk, na których sterczą tylko kości, obrane do szczętu przez kruki i wyżarte z mięsa przez hijeny. Cisza — wygasłych cmentarzysk, nad którymi nawet nie skaczą błękitne ogniki. Ciężka, duszna, leniwa atmosfera smrodu zaległa dokoła. Tylko parzą się hijeny, tylko ptactwo opasłe od trupiego festynu

pomiędzy żebrami zmarłych cichutko tworzy sobie gniazdka...

Marysieńka i Zdzich były to raczej kruki, ściągające gniazdo w szkielecie, niż hijeny już zuchwale wyjące z rozkoszy pod gwiazdami ciężko przeświecającymi wśród przegniłych oparów. Nie znajdowali innego schroniska nad takie doskonale już utworzone i wymoszczone miejsce wśród trupów i szkieletów. Dokoła nich całe krocie takich par zabierało w posiadanie podobne trupie legowiska. Dlaczego oni mieli się różnić? Wszak były w nich czarujące zadatki na ludzi »dobrych« — a takie z góry nakreślone indywidualia musiały ledz w gnieździe, przez wiekowy *usus* wygniecionem i na nich oczekującym. Nie śmieli wyrosnąć ponad miarę wytyczoną kręgami żeber szkieletu. Czuli, iż gdyby się to stało, nie byłoby miejsca dla nich w gnieździe i należałoby je opuścić natychmiast. Pozostać mogli tylko pod warunkiem, że zatrzymają literalnie tę samą formę, pod jaką wygniatały puch gniazda ich poprzednicy. Wylamanie się z tej formy (przez wielkie F) groziło pozostaniem bezdomnem, w przestrzeń rzuconem, zakrakanem ptactwem.

Tego żadne z nich (a zwłaszcza Zdzich) nie chciało.

Lecz — oto — od owego wieczoru Mary-

sieńka w coś wsłuchiwać się zaczęła. Od zewnątrz wałyły ku niej kłęby tumanów gnilnych. Zatrzymywały się jeszcze przed bramą w postaci czarnych, pogiętych w spazmach kobiecych postaci. Do tej chwili Marysieńka wyobrażała sobie, że poza kółkiem domowych egzystencji będzie dla niej na przyszłość pewna, jasna, czysta równina. Czasem śniła, że na tej równi przecież coś dzieć się będzie, lecz wiew od niej przyjdzie spokojny, co najwyżej podminowany drobną troską codziennych przeżyć. Tymczasem, nagle poza palisadą zjawiała się jakaś stwora, jakaś grymasem wionąca chimera o twarzy tajemniczej, o wstrząsających konwulsyjnych gestach. I ta stwora wydała wrzask straszny, nieokreślony — nie mający, zda się, nic wspólnego z ludzką krtanią — raczej zdławionego szakała będący znakiem istnienia.

Z rozwartej we wrzasku tym gardzieli wyleciał cały kłęb smrodliwego tchnienia i wałnął taranem w cichą palisadę, okalającą świeżo oczyszczone gniazdo wśród żeber starego szkieletu. Poza tą palisadą zadrżała Marysieńka i przejął ją lęk, że zrozumie!

Że będzie musiała zrozumieć.

I zamiast uciekać, chronić się w głąb gniazda — zaczęła snuć się wzdłuż palisady, z paznogciami wpitemi w drżące ciało. Wyczuwała obecność tej Drugiej, co więcej, wywoływała ją.

Wiedziała już, że nie była ona jedna... że tam był... legion.

Wszakże mąż sam powiedział: »tyle ich było!« Tyle, że nawet ich sobie przypomnieć nie mógł. Jak formy szklanki, z której pije się w cukierni podany napój. Dla niego to było proste. Dla niej przecież to było dziwne, zagadkowe, niepojęte. Chciała to zrozumieć, że można konać z rozkoszy na piersi czyjejs i nie zdawać sobie później sprawy, czyje serce w tej piersi biło. I choćby odrzucić ten sentyment, to choćby zatroszczyć się, czy ta istota, oddająca swe ciało na usługi, jest wolna od trosk powszednich i jaki był łańcuch trosk, który wlecze się za nią, jako wlec się musi za każdym żyjącym tworem.

Marysieńka nagle, w niespodziewany sposób stanęła przed olbrzymim, najpotworniejszym może wynikiem wiekowych układów społecznych — i nagle mały jej mózg nie był w stanie odczuć i zrozumieć przyczyn, dla których działa się to wszystko. Pierwszym odruchem, jaki się w niej zbudził, była pewna zazdrość samicy — zazdrość retrospektywna — najcięższa może do zniesienia dla kobiety. Przynajmniej tak sobie na razie tłumaczyła swój stan moralny, w jaki popadła. Czowała, że jest tam jeszcze coś więcej, lecz wiedzieć nie chciała, zastanawiać się nie miała siły.

Powtarzała sobie tylko:

— Z takim czymś!... z takim czymś!...

Zapra gnęła wiedzieć więcej. Chciała szczegółów, chciała wżyć się drobiazgowo w rdzeń tej sprawy. Z przebiegłością Indyanina wślizgiwać się zaczęła w zaufanie Zdzicha i sama winszowała sobie spokoju, z jakim go zapytywała, leżąc »przylepiona« i »zaszyta mu pod pachę« w bieli wyprawnej pościeli.

— A powiedz... często u niej bywałeś?...

Odpowiadał z początku niechętnie. Zbywał ją półsłówkami. Zamykał jej usta pocałunkami, w których zaczynał widocznie smakować. Lecz gdy się nasycił, łatwiejszy był i podatniejszy do szczerości. W lot zrozumiała to i przyswoiła odpowiednio. Szybko załatwiała erotyczne uniesienia, aby powrócić do swej drażącej ją kwestyi.

I zaczynały się teraz rozmowy dziwne a tak zwykłe pomiędzy żyjącymi wspólnie mężczyzną i kobietą.

Oto — z jej strony sprowokowane występowały na jaw i niejako zmartwychwstawały widma — ubiegłego zmysłowego życia mężczyzny. Jak mały jamnik zażarty w swej pracy, tak wko pywała się kobieta w otwartą czeluść przeszłości, z której buchały przegniłe opary. Rozdrapywała ściany nory, dobiegała się do wnętrza, ociekając sama krwią serdeczną.

— Powiedz! często chodziłeś do niej?

— Do której?...

— Ach! czy ja wiem. No... do takiej...

— Rozmaicie. Czasem, z początku, codzień...

— Dlaczego mówisz — z początku?

Zaczął śmiać się wesoło.

— No bo jak zawsze. Z początku inaczej, a potem wszystko się kończy.

Odsuwała się od niego. W oczach jej tlił jakiś dziwny ogień.

— To... i pomiędzy nami wszystko się skończy?

Przybierał minę poważną — uczciwą — zarejestrowanego już w społeczeństwie.

— Co my tu mamy do czynienia. My jesteśmy małżeństwem. Pomędzy nami nic się skończyć nie może.

Uparcie jednak wracała do swego.

— No to przecież — już coś zawiązywało się pomiędzy wami, skoro do niej wracałeś!

— Phi!... to żaden dowód.

— Przecież musiało cię coś do niej ciągnąć, skoro znów przyszedłeś.

Zastanowił się chwilę. Nigdy nie pomyślał nad tą kwestią. Była mu obojętna.

— Może! — wycedził przez zęby.

Ona porwała się nagle i siadła na posłaniu. Cienka koszulka batystowa z przerwaniem w zniecierpliwieniu ramiączkiem zsuwała się nisko. Pasma włosów rozartganych mieszały się z wstążeczkami, zdobiacami koronki. Miała w tej chwili

pozór maluchnej Madonny, którą pobożne ręce zaczynają przystrajać na doroczną procesję.

— Co ci się w takiej mogło podobać? — syknęła, a w syku tym znać było uniesienie gniewne.

Zaczął śmiać się impertynencko.

— Pocieszna jesteś. Przecież to są kobiety...

— Kobiety?

Zapłonęła cała. Wydęła wargi.

— To nie są kobiety...

— Ręczę ci, że najbardziej kobiece kobiety...

— To jest... to są...

Nie mogła znaleźć słów. Płomienne dreszcze przesywały ją.

— To są zwierzęta.

— Phi!... mówisz to, o czym nie masz pojęcia. Pomędzy niemi są takie, które mają dużo wdzięku.

— Co???

Ni stąd ni zowąd szarpnęła się w bolesnym rozdrażnieniu.

— To idź sobie do nich!

Chciała wyskoczyć z łóżka, ale przytrzymał ją.

— Maryś! opamiętaj się.

— Puść mnie! Nie chcę ciebie! Nie dotykaj mnie!

Ze zdumieniem dostrzegł, iż drżała cała, jak w febrze. Zmieniona była na twarzy. Bezsilny gniew opanował ją. W sinawem świetle przy-

ćmionej abażurem elektryki zdawała się być trupio blada, pomimo że nabiegłe krwią żyły wskazywały, iż krew jej bije przyśpieszonym i podnieconem tętnem.

— Zaczynasz się robić niemożliwa — spróbował opamiętać ją, zderutowany cokolwiek jej gwałtownym wystąpieniem.

— To nie moja wina! — odrzuciła z jednakowym wzburzeniem.

— A czyja? może moja?

— Twoja!... twoja!... przecież ona za tobą leciała wtedy. Poznała cię! Nazywała cię po imieniu... Zdziszek! Zdziszek!...

— No więc co z tego?

— Jakto co z tego? Ja także cię tak nazywam!

— ?...

— Teraz już ci tak nie mogę mówić.

— Dlaczego?

Zamilkła. Uczuła, że on najzupełniej nie rozumie, co się z nią dzieje i jakie różnorodne wrażenia szarpia ją całą.

Ponuro wbiła oczy w światło lampki.

— Może się położysz — zaczął znowu — zaziębisz się!

— Nie troszcz się.

— Będziesz kaszlać.

— No to co? tem lepiej! Niech umrę! Niech umrę!...

Porwały ją spazmatyczne, suche łkania. Znużony podniósł się, zbliżył, wziął w pól i zmusił do położenia do łóżka.

— Czego? czego ty chcesz? — zapytywał, pochylając się nad nagle bezwładną.

— Bo... powiedziałaś!... — łkała.

— No... no...

— Bo... powiedziałaś, że kochałeś się w nich.

— Ja?

— Ty!

— Oszalałaś! kiedy?

— Zachwycałeś się niemi, mówiłeś, że mają tyle wdzięku...

— Od przyznania kobiecie wdzięku do skostatowania miłości trochę daleko.

Z pod kołdry rozległ się wrzask:

— To nie są kobiety!

Czuł, iż musi ustąpić, aby mieć spokój. Lecz obudziło się w nim poczucie szablonowego przewodzenia.

— To są kobiety! — wyrzekł z naciskiem.

Próbowała wyrwać mu się z objęć. Parskała, jak mały rozdrażniony kot.

Wydała mu się śmieszna i ładna.

— Są kobietami! — powtórzył z przekorą — i jak jeszcze zbudowanemi! Ho! ho! moja droga!...

Przejęła się nagle w tył. Wyciągnęła ręce i zadrapała go silnie w bielącą się z rozchylonej

koszuli pierś. Nie sprawiło mu to bólu, lecz roz-
złościło go.

Puścił ramiona i ona bezwładnie osunęła się
na krawędź łóżka, jak wielka, pozbawiona opar-
cia lalka. Odwrócił się od niej z niesmakiem.

— Jeżeli kto w tej chwili okazał się zwie-
rzęciem a nie kobietą, to ty z pewnością! — wy-
rzekł, akcentując dobitnie.

Demonstracyjnie udawał, że ociera krew z rany,
i usunął się na drugi brzeg łóżka.

Ona uczyniła to samo, wyprostowując się
powoli.

I tak pozostali milczący wśród zupełnej no-
cnej ciszy. Niezaspokojona żądza ich ciał, nagle
od siebie rozerwanych, gasła i przycichała, jak za
próg domu wykopane a przedtem ubóstwiane
zwierzę.

Natomiast coś wpełzało pomiędzy nich oboje,
w tę niewielką przestrzeń, którą nagle pozosta-
wili pomiędzy sobą.

Coś niewidzialnego a przecież łatwego do
odczucia. Coś o dwóch twarzach i dwóch po-
wierzchniach ciała. Jakiś potwór oślizgły, nagi,
owiany trochę zlepionych tłuszczem włosów.
W potworze tym była psia uległość i tryumfalna
moc...

Od strony mężczyzny połowa cielska niewi-
działnej stwory przylgnęła wspomnieniem umie-
jętnej, wyzywającej lubieżności. Coś tam syczało

udawanem uniesieniem i w odpowiedniej chwili
zrobioną ekstazą. Ta precyzja, z jaką dzielono
i podniecano dreszcze, miała swój urok i walor.
Ten urok i walor występował cicho, leżąc jak
plaz obleśny i jad umiejętnie kryjący. Od strony
Marysieńki ów dwulicowy potwór ział błotem,
smrodem i wielką niezbadaną tajemniczością.
Lecz — był — istniał — tego na chwilę zaprze-
czyć nie mogła, rozpanoszał się pomiędzy nimi,
rozdierał ich spójnię długimi, potwornymi rę-
kami.

I ręce te widziała już Marysieńka, widziała je
w świetle latarni żółte, kościste, upiorne. Zami-
gotwały zwłaszcza w obronie rozszalałego i ocie-
kłego śliną pyska, a miały swój charakter wy-
bitny i niezaprzeczony. Były nie wychudłe, ale
jakby wyschłe i pokryte szarym mchem, rosną-
cym na pniach przydrożnych drzew. Gałęziami
takich drzew samotnych i starganych wichrem
rozwiały się po czerni ulicznej, a teraz wkradły
się w haftami pokrytą pościel nowożeńców, pod
atłas błękitny ciepłej, puchowej kołdry i kopały
rów, przepaść, kopały samem istnieniem swoim?

Zabłocone pazury naniósł ulicznego błota
pomiędzy tych dwoje.

I była różnica.

Kobieta czyściuchno przywykła rozumieć ży-
cie, dyszeć świeżą atmosferą, w którą chętnie
wprowadziła woń kwiatów miłości, białymi stop-

kami biegnąca po wyrównanej ścieżeczce, zalanej potokiem słonecznego światła, z grozą i trwogą zgarniała swe ciało, duszę, uczuciowość, sentyment, namiętność przed walącą się ku niej błotnistą posoką.

Mężczyzna, od dziecinnych niemal lat, od tych czarujących linii efeba, którym niema piękniejszych w twórczości wszechświata, skalany walaniem się w posłaniach niewystygłych z poprzednich spazmów, oblepiony, że tak można rzec, błotem ulicznych i zbieranych wśród bagna zaludnionego dziewczkami uniesień i zadowoleń, czuł się »dobrze« w tej sytuacji, a przynajmniej nie uczuł nic złego, nic z drapiących go wrażeń. Takie miał usposobienie w głębi. Co innego, gdyby go Marysieńka zapytała. Och! wtedy zreferowałby bajeczny wstręt i odrazę według przyjętego szablonu.

Ale tam — na dnie — w śpichlerzu, gdzie kryją się najwyższe, jedyne i zupełne prawdy natury ludzkiej, była w tej sprawie najzupełniejsza obojętność.

Rów, kopany rękami widma o twarzy słynnej Mors Felicyana Ropsa, o twarzy pół bezpłciowego trupa, pół kobiety, mógł się zapełniać najbardziej cuchnącem błotem.

Ją błoto to przerażało grozą zdławienia.

Dla niego było przyzwyczajeniem, towarzyszem, podłożem wczesnej młodości.

Nad ranem znaleźli się w objęciach. Było to bardzo naturalne. Senne ciała przyciągnęły do siebie, jak zmarznięte robaki.

Lecz mimo to rozdział pomiędzy nimi rósł, a oczy Marysieńki nie mogły dostrzedz na ścieżeczce życia promieni słonecznych, choć przez bogate koronki stor sypialnianych to słońce wiosenne aż pachło blaskiem czystym, świeżym obietnic pełnym.

V.

Sceny takie, jak poprzednia, powtórzyły się kilkakrotnie. Na jaw wywoływały je drobiazgi na pozór — idące od zewnątrz.

Przedewszystkiem Marysieńka zaczęła pielęgnować w sobie ból i urazę. Lecz nagle pragnęła znów ją zwalczać i brała się do tego nieumiejętnie. Rzuciła się wtedy w objęcia Zdzicha, z podwójną namiętnością akcentując swą miłość i przez to bardzo niezręczna. Kierowała się tylko swoim usposobieniem, nie podglądając jego usposobienia. Napotykała czasem chłód źle maskowany, który tłumaczyła sobie opacznie. Maniacko skierowane jej myśli w stronę istnienia poprzednich błotnistych kochanek męża — w ich egzystencji chciały znaleźć przyczynę chwilowego znużenia mężczyzny. Nie grało w niej w tej chwili wygódniałe pragnienie zadowolenia zmysłowego. Tak była nawskroś wstrząśnięta niespodziewaną dla niej sytuacją, iż o sobie w tej sprawie myśleć nie mogła. Lecz szło jej o stan rzeczy, o to, co jest naprawdę, o skonstatowanie odnoszenia się Zdzicha do swej przeszłości. Odbudowywała tę przeszłość z okruszyn

wydartych bądź losowi, bądź jemu samemu, gdy podstępnie zdołała go uprowadzić na teren czegoś, co już potraçało o — zwierzenia.

I zdumiewające to było, jak szybko, nagle — i doskonale rozwinęła się w tem prawie dziecku przebiegłość kobieca ze wszystkimi wyczekiwaniem i doskonałościami, które prowadzą do celu. Po ile chytrłości sięgnęła, jakby do skarbcza, do własnej duszy, wytrenowanej wiekowo właśnie w tym kierunku. Miała w sobie całe zasoby tej chytrłości już gotowej, przekazanej »po kądzieli«, oszlifowanej i wygładzonej, jak banieczki kryształowe na »pachnidła«, znajduwane w sepecikach dawno zmarłych prababek.

Zbierała cegielki i budowała gmach pracowni i mozołnie. Jak dziecko, składające całe domy z kawałków drzewa według wzoru, załączonego w pudełku — tak samo i ona według wzoru pożycia swego, rodziców, znajomych starała się odtworzyć obraz odnoszenia się Zdzicha do swych poprzedniczek. Lecz trudno jej było. Kawałki drzewa nie pasowały — ciągle sztuczny gmach się osuwał. Czuli, iż to nie tak było.

I nerwy jej już zaczynały dzwonić leciuchną swoją piosenkę.

Snuli się przeważnie koło okien i to w podwójny sposób. W dzień stawała przy szybach i patrzyła na przeciwległy trotuar szary i zbłocony. Wiedziała, instynktem wiedziona, iż w dzień

trotuar ten będzie czysty i żadne widmo upiorne w słońcu się nie zjawi. Zapytała raz Zdzicha:

— Co one robią we dnie?

— Śpią.

— We dnie?

— Przecież muszą kiedyś spać.

Zanotowała to sobie. I oto, gdy zbliżała się noc, ogarniał ją niepokój nerwowy. Starła się bowiem wyzyskać dzień i światło dzienne. Czytała dużo i lubowała się zwłaszcza w delikatnych, lirycznych poezjach. To było właściwe rodzajowi jej całej. Grała także trochę Chopina, po swojemu — jak jej tam płakał w samej głębi serca. Ładne akwarelki podznaczała spląkanemi barwami — coś z japońskiej grzecznej i słodkiej sztuki świeżo rozkwitłych jabłoni, roześmianych wschodów słonecznych. Przyozdabiała rysunkami glinę garnków, wiązała kokardy — wstawiała w te improwizowane *cache-pots* zielone, liściaste roślinki. Słowem, całe estetyczne gospodarstwo przeciętnej panienki czyniła sprawnie i grzecznie według programu w godzinach biurowych męża. Lecz oto — z chwilą ściemniania się na dworze, gdy przez story okien zaczęły przesuwac się codziennie spodziewane a zawsze nieśmiałe i niepewne cienie nocne — w duszyczce Marysieńki powstawało dziwne uczucie. Czempredzej składała farby, nuty, książki. Zamykała fortepian, chowała zaczęte akwarele. Jakby lękała się, że coś

najdzie, coś bardzo błotnisteo, czarnego, cuchnącego, i zwali się na te delikatne, grzeczne, miłuchne zajęcia, które jej były drogic.

Zawierała pośpiesznie drzwi swojego światka. I beczynna, spłoszona, z nienawiścią w sercu stawała na straży. Zaczynała pracować imaginacją i tu więcej niż kiedykolwiek można było zastosować tę nazwę — »*folle du logis*«.

W wyobraźni Marysieńki pod murami domów razem z mroków zaczynały snuć się widma, którym wszystkim nadawała kształt owej ulicznicy, z którą los ją tak brutalnie zetknął.

Wszystkie były chude, wysokie, z trupa twarzą pod smugami rozfryzowanych włosów. Wszystkie miały ciemne suknie, jasne bluzki, zniszczone gazowe szale i różę za podwiązką. Ta róża zwłaszcza stawała się koniecznością, bojowym sygnałem, czemś jakby piętnem, odznaczającym tamte od tych, do których ona należała.

Lecz ogarniała ją dziwactwa, graniczące z dzieciństwem. Raz w pudełku z kapelusami znalazła kilka róż. Pochwyciła jedną i cała drżąca, jakby spełniała jakiś zły uczynek, podniosła suknię i wtknęła jedną z róż za podwiązkę. Chwilę stała tak nieruchoma i jakby skamieniała. Był to już wieczór, lecz słabe światło jednej świecy migotało w pokoju. Nagle — Marysieńka ocknęła się — wyrwała kwiat, którego drut zadrapał jej białe, delikatne ciało. Ten ból sprawił jej ulgę

i zdawał się jej w tej chwili konieczny. Nie otarła krwi. Patrzyła chwilę na głęboką rysę krwawą, ciągnącą się wzdłuż nogi, pomiędzy ciemnią pończochy i koronkami bielizny. Przypomniała sobie rysę, którą zadała paznogciami piersiom Zdzicha któregoś wieczoru. I zdawało się jej, że ta cała sprawa zaczyna ociekać ich krwią serdeczną.

— To... przez te! przez te!...

Odwróciła się ku szybom. Za niemi była ulica w całej swej pełni, majestacie, potędze i mocy. Ta ulica, która we dnie była trochę szerszą, marną, bez charakteru, uległą i podatną dla wszystkich ścieżką — w nocy jakiś potworny wygląd i rozmiar dróg, po których tylko przewalać się mogą niepowstrzymane kataklizmy i katastrofy życiowe. Zawsze od małego dziecka bała się ciemni ulicznej, którą znała mało i z którą nie miała prawie styczności.

Małżeństwo jej wyprowadziło ją w ten oślizgły parów, ciągnący się pomiędzy cielskimi kamienic. Odrazu przywitało ją tam, co najstraszniejszego wykwitnąć jest w stanie na tym terenie. Poprzednia, dziecinna twoga urosła do jakichś epileptycznych przestraszów. Ulice zaludniły się nagle majakami kobiet o szczerzących zwierzęco zębach i wyciągniętych drapieżniczych rękach. O zmroku nadciągały w jej wyobraźni całe pułki tych istot — szemrały ochrypłymi głosami, któ-

rych dźwięk już był jej znany. Okna przysłonięte, które należały jakoby do tych ulic, które budziły się z chwilą nadciągnięcia nocy, które ciągnęły,ssały pożywienie, soki swoje z tych terenów przegnilnych — były gniazdami, łóżyskami tych właśnie istot.

Marysieńka szybko zorientowała się w sytuacji. Pojęła i rozumiała, gdzie są te legowiska. Szybko wtoczyła w uliczną całość kawiarnie, szantany, o których istnieniu postarał się Zdzich ją poinformować.

— Muszę cię tam zaprowadzić! — wyrzekł raz łaskawie. — Otrzesz się trochę i wyciwilizujesz. Tam chodzą teraz i najporządniejsze kobiety...

Zachmurzyła się.

— Nie chcę! — odparła krótko.

Ramionami wzruszył.

— Gęś jesteś.

Milczała. Lecz po chwili podała mu układnie papierosa.

— Zapal!... proszę cię!...

Wzbraniał się.

— Nie! nie! i tak już dużo dymu.

— Ale to nic. Ja się już przyzwyczaiłam.

Dusiła się, chowając głowę pod poduszkę. Wiedziała jednak, że papieros wprowadza go w doskonały humor. Czyniła ustępstwa. Gdy zaczął palić, objęła go pieszczotliwie za szyję.

— Moje! moje!... — szeptała.
A potem, niby od niechcenia:
— Czy... one tam chodzą?
— Kto?
— No... takie... wiesz.

Wydął usta.

— Phi! jak gdzie. Zresztą w kawiarniach są kasyerki, a to na jedno wychodzi. A w szantach są znów występujące tinglówki. One także po przedstawieniach schodzą do gości.

— A... tak!...

Chwilę milczała, wreszcie znów wyrzekła twardo:

— To one właściwie są wszędzie!

Roześmiał się:

— Właściwie wszędzie.

Usiadła na łóżku. Miała jakiś dziwny wyraz twarzy.

— A gdzie się od nich można uchronić? — spytała, patrząc nań ostro z pod powiek nawpół spuszczonech.

Zrobił gest niepewny, niewyraźny.

— Czy ja wiem!... — odparł — może w domu!

Uśmiech gorzki przesunął się po jej ustach. Położyła się znów, nie mówiąc nic. W domu? Ależ tu właśnie czuła ona ich obecność stokroć silniej i intensywniej, niż tam, na bagnisku miejskim. Wciskały się wszędzie, pomnożone jej

myślą i jej wyobraźnią do szalonej liczby. Nie było dość silnych zamków, dość mocnych drzwi, aby przez nie nie przewiały do wnętrza — duszki cmentarne, półtrupy o niewyraźnych liniach życiowych.

VI.

Gdy zajmowała się raz w kuchni myciem swoich pędzelków akwarelowych, stróż kamieniczny, zamiatający właśnie schody, dojrzał ją przez uchylone drzwi i podszedł ku niej.

— Ja tu z ostrzeżeniem — wyrzekł, unosząc wysoko brwi, które miał dziwacznie zarysowane.

— Z jakim?

— Bo ta dziewczyna, co to kiedyś za państwem w nocy przygnała i tak się darła pod bramą, to ona tu się często po nocy kręci. Ona mówi, że musi na panu się pomścić, bo ją pan podobno zdzielił laską — czy coś...

Zamarł w Marysieńce dech.

— A... tak...

Ogarnął ją i wstyd i lęk. Wstyd, że ten chłop wdziera się — ot — tak prosto w najtajniejsze jej zakamarki duchowe.

— A... tak...

— To niech się państwo strzegą, bo taka to się na wszystko odważy...

Lękała się spojrzeć mu w oczy. Nie wiedziała, czy ma w nim sprzymierzeńca, czy wroga. Nie wiedziała, czy on, »z nizin«, nie będzie właści-

wie po stronie tamtych, które wyparowują takie niziny.

— Jeszcze czem obleje... — dokończył, odchodząc.

Gdy nad wieczorem Zdzych zaproponował jej przechadzkę, zaoponowała:

— Nie, nie.

— Dlaczego?

— Niezdrowa jestem.

— No... to wyjdę sam!

Rzuciła się nagle.

— Proszę cię, nie wychodź! Już późno. Ściemnia się.

— Więc co?

— Wracać będziesz po nocy.

Zaczął patrzeć na nią, jak na obłąkaną.

— O co ci właściwie idzie?

Nagle zdławiło ją w gardle. Zawstydzila się nieokreślonym wstydem. Wszystko tam było razem. Bo i duma, że ona lęka się, aby tamta nie uczyniła mu jakiej krzywdy. I trwoga, aby on nie przypuścił, że nią miota jakaś zazdrość...

I właśnie tak stało się. Zdzych popatrzył na nią uważnie i wzruszył ramionami.

— Nie... wiecie... coś takiego!

Zrozumiała go. Usunęła mu się z drogi.

— Idź! — wyrzekła krótko.

Wyszedł. Lecz gdy drzwi się za nim zamknęły, pobięła do szarzejących szyb. Ulica była pusta.

Słyszała wyraźnie jego kroki. Dokąd szedł? Przejść się. To było jasne. Po całym dniu siedzenia w biurze chciał się trochę »przewietrzyć«. Ale równocześnie wchodził w ten jakiś świat, który tak gościnnie rozwierał się przed nim od dzieciństwa. I tam ku niemu biegły całe pułki, legiony czarne z wyciągniętymi rękami, przegięte, wiewające rondami olbrzymich kapeluszy. Wiodła je jedna, ta najpierwsza, ta, o którą ona się otarła, ona sama i która wołała sykiem rozdeptanych bajkowych gadzin:

— Oddaj lepiej, coś winien, złodzieju!...

Oblała ją krew. Złodziejem był on wobec tej dziewczki, on, przed którym kłękała ona, Marysieńka, w ślicznej bieli swych kobiecych pragnień i uwielbień. Romantyzm dziewczyny, chowanej pod skrzydłem, bił żywym strumieniem ku niemu właśnie i gromadził się ku jego stopom w bałwochwalczej potrzebie ubóstwienia. I oto — wył głos z czeluści ohydą obelgi — dowodzący, jak bardzo silny zespół łączył właśnie ubóstwianego mężczyznę z mieszkankami tej czeluści, które mogły poniewierać nim, smagać go zarzutami, jakby równe z równym...

Drżąca, oblana potem, przewłóczyła się Marysieńka długie dwie godziny po pustych i ciemnych pokojach. Z uchem wytężonem łowiła każde dźwięki z zewnątrz. Cisza jednak była grobowa. Nawet kroków słyszać nie było. Czasem

tylko przewarzczała dorożka. Ale rzadko. Wcześniej było. Marysieńka wiedziała już, że późną nocą ściągać zaczną te pijane wehikuły, wypełnione po brzegi niesamowitemi postaciami mężczyzn. — Kiedyś im będą wołać: »złodzieje! złodzieje!« — myślała. I to napawało ją radością bolesną.

Tak, tak będzie dobrze.

Obelga prosto im w oczy, za to gnają dziś w te strony. Lecz nagle przyszło jej na myśl wyobrażenie, iż snuć się będą takie Marysieńki, jak ona smutne i w samo serce ukłute...

I co one winne za to, że ci wszyscy, ci z dorożek i te straszne — że oni wszyscy razem przestają w tej chwili i ściągają ku sobie, jak gromada robactwa. Tak — co one winne, te dziewczęta w panieńskich ładnych sukienkach, poczesane tak czyściutko, opięte, eleganckie na ciele i duszy — wyciągające tak chętnie i bezwiednie swe rączki po zaręczynowy pierścionek?

A to one właśnie będą tak bić czołem o szyby w pusty, smutny wieczór, gdy nie będą śmiały poprostu wyjść poza próg swego małżeńskiego legowiska.

Nie nad sobą jedną rozrzewniła się w tej chwili samotnej dusza Marysieńki. Ogarnęła jakieś tysiące, jakieś krocie cichych, spokojnych, milczących istot. Nie wymówiła ku nim jeszcze słowa solidarności, ale powiało od niej ku nim

tęsknotą wielką i smutkiem wspólnego cierpienia.

W jadalni pokojowa nakrywała do kolacyi, zaświeciwszy elektryczność. To jedno przywołało Marysieńkę do przytomności. Poszła do sypialni i zajęła się układaniem drobiazgów na tualecie.

Wejście w świat erotyczny stąpiło w niej wszystkie inne pojęcia i dążenia. Poza sferą miłosną nie interesowała się na razie niczem. To było zupełnie naturalne. Zbyt silnie uderzyły w nią te wrażenia, niespodziewanie spadły na nią, aby nie przygłuszyć jeszcze mało unormowanych warstw jej pojęć i myśli. Machinalnie ocierała kurz z małej skarbonki, w której mieściły się jej dziewczęce oszczędności, a którą uniosła z sobą z domu rodziców.

— Będzie tu kilkanaście rubli! — myślała, starając się w ten sposób oderwać myśl od trapiącej ją zmyry.

Lecz zaraz napadło na nią:

— A... ile on winien tamtej? ile?

Westchnęła ciężko. Postawiła skarbonkę. Oparła się o brzeg tualety.

— Ile winien... i... za co?

Zasłoniła twarz ręką.

— Gdyby, gdyby jej zapłacić. Ale jak? Kto ona? Gdzie mieszka? Pocztą posłać, czy jak? Może dać stróżowi, który mówił, że widział ją często na ulicy. Lecz... byłoby to wtajemniczanie

tego człowieka w tę straszną, ohydną sprawę. Ale zapłacić! zapłacić trzeba — za jakąbądź cenę. Niech go nie nazywa więcej — złodziejem.

Nabożnie prawie ujęła znów w rękę swoją maluchną skarbonkę. Była to gliniana, brzuchata puszka ciemno-bronzowa, lśniąca. Światło elektryczne migotało w niej. Szeroko rozwarta czeluść miała w sobie wyraz małej tajemnicy. Miłośnie patrzyła na nią Marysieńka. Śmieszne, drobniuchne zarobki — czyściuchne, motyle mieściła w sobie ta gliniana bańka. Umiane lekcye, wykończone robótki, zasiane grządki kwiatów, odegrane ładniuchno walce Chopina — takie tam drobiażdżki same. Życie cichutko przesuwałającej się po dobrze sprzątniętym pokoiku panienki, która ani wie, kiedy urośnie z dziewczynki w dziewczynę, przed której czystem wejrzaniem rumienia się bezwstydni.

— Rozbiję i przeliczę. Może wystarczy. Niech ona mu tylko nie wymyśla.

Nagle zdawało się jej, że posłyszała z ulicy wycie tak jej dobrze znane. Natychmiast zaczęła drzeć nerwowo.

— Napadła go... może oblała jakim kwasem. Boże, zlituj się!

Równocześnie do przedpokoju wszedł Zdzych, otwierając drzwi kluczem od zatrasku. Rzuciła się ku niemu, jak szalona.

— Nic ci? nic? — pytała, gorączkowo, wzdając ręką po twarzy męża.

Zaczął śmiać się.

— Cóż mi ma być? — zapytał.

Przytuliła się do niego.

— Ja się bałam, że znów... ona... — wyjęczała prawie.

Odsunął ją z niesmakiem.

— Czy ty masz bzika? — zapytał. I zwrócił się do jadalni.

— Dawajcie kolację! Głodny jestem.

Nie wiedziała, co ma zrobić z sobą. Ten pewny jego chód, głos naturalny, całe wzięcie się jego jurnej, zdrowej postaci — tak — dalekie było od tej abstrakcyjnej czerni, w jakiej ona się pławiła. Była przerażona i jakby dziecko przybite nagłą naganą za brzydkie postępowanie. Skurczyła się moralnie i fizycznie. Cichutko wsunęła się do sypialni i w głąb szuflady ukryła skarbonkę, która zdawała się jej teraz powiernicą jej myśli. Coś połączyło je obie ścisłym węzłem czystych, wytwornych przeżyć. Obie miały iść na ofiarę. Jedna już poszła z rozbitą egzystencją, jakkolwiek sobie z tego sprawy nie zdawała.

Druga iść miała roztrzaskana jej ręką. Cała zawartość przetoczyć się miała rynsztokiem ulicznego błota — zawartość, zbierana dziecinną, wymodloną, kochaną egzystencją. Zapadała ciemnia, gasło słoneczko dni drobnych, nawiąza-

nych na złotą niteczkę nieświadomości, jak paciorki różańca nowicyuszki klasztornej.

— Maryś! chodź do kolacyi. Przyniosłem nowy dobry koniaczek... Musimy się urządzić...

Po niej całej przeleciał skurcz — pociągnął ją ktoś za wszystkie struny serdeczne.

— Zapłacę! — myślała — zapłacę, żeby mu nie mówiła... złodzieju!

Zaczynała już wprawiać się w obłudę, bo gdy weszła do jadalni, miała wyraz twarzy prawie normalny.

Zdych nalewał umiejętnie kieliszki koniakiem. Nie przeszło mu przez umysł, że tam, przez tę istotę przesunęła się przez sekundę możliwość znienawidzenia — j e g o. Przemknęła się i zagasła.

Lecz niemniej — przesunęła się.

VII.

W kilka dni dopiero Marysieńce udało się dotrzeć do jądra sprawy. Jakimś bowiem układem niemych oboje doszli do tego, że nie rozmawiali w czasie dnia o sprawach »ciemnych« — jak je w duszy nazwała Marysieńka. Dopiero z nastaniem nocy, a zwłaszcza z chwilą, gdy znaleźli się w swem wykoronkowanym legowisku, wypływały na usta ich najprzód urywane aluzje, odpowiedzi niechętne, potem stopniowe zagrzebywanie się w otwartą skrzynię śmietnika. Lecz — czy Zdzych wreszcie nawet i przez męską gruboskórność odczuł jakiś proces dziwnego rozkładu rozpoczynający się w duszy Marysieńki, czy inną przyczyną wiedziony — dość, że podwoił ilość swych namiętnych objawów miłosnych i oszałamiał nowością sensacyi niespodziewanych drżące mu w ręku ciało żony. W zapamiętaniu swoim nie rozróżniał jednak odcieni, jakie mu oddawały w bezsprzeczne posiadanie Marysieńkę. Nie widział strwożonej i prawie gniewnej jej twarzyczki, gdy przychodziły na niego płomienie dreszczów, wydobywanych przez niego z głębin samych jej źródeł życio-

wych. Nie widział, że wsłuchiwała się ona bacznie w każde drgnienie, w każdą sensacyę i głębokim jej westchnieniom towarzyszyły czarne więdźmy rozpaczliwych myśli.

— Z tantemi tak samo... tak samo...

Była, jak każda świeżo w świat zmysłów wrzucona kobieta, niezdolna jeszcze do brania udziału w misteryach rozkoszy. On, typowy egoista, mało troszczył się o istotny stan rzeczy. Ogłuszony sam radosną rozkoszą, nie baczył, aby, powołując ją do współuczestnictwa, zagłuszyć w niej jakiegokolwiek inne silniejsze wrażenia. Nasyciwszy się, czuł do niej urazę za to, że nie wyrażała mu swej wdzięczności, i dziwił się temu. Nie przychodziło mu nawet na myśl, iż jest w niej coś potężniejszego, jakaś moc zwyciężająca go i dławiąca w niej rozegranie się swobodne napiętych przez niego pieśczętami strun miłosnych. Nie mógł przypuścić nawet, że do punktu kulminacyjnego dochodzi on sam tylko — a w pół drogi zatrzymuje się jej sensacya, zdławiona nagle straszna, brutalna, żelazną ręką widm, towarzyszek nieodłączonych i już nieutnionych.

— Z tantemi tak samo!...

Krępował się jednak trochę i nakładał więzy na rodzaj swych pieśczęt. Ona czuła instynktem, że nie daje jej wszystkiego, że jeszcze są inne bardziej wyrafinowane rozkosze. Nie dla ciekawości lub zadowolenia siebie chciała poznać

wszystko, lecz dlatego, aby wiedzieć, co działa się z »tamtemi«. Wiedzieć do ostatka.

Ale on na pewne jej nieśmiałe aluzye odparł prawie surowo:

— O! o!... panienko — jesteśmy zdeprawowani!... to nie dla uczciwych kobiet podobne zachcenia.

Tem samem podniecił silnie jej umysł chorowicie podrażniony.

Nie dla... uczciwych!

Więc znaczy — dla tamtych, dla tych nędznic, dla tych zwierząt, dla tej kohorty stworów.

Przybierał pozy człowieka, przepelnionego szankunkiem dla moralności ustanowionej i przyjętej.

U jego boku ona drżała cała i płonęła mieszanem uczuciem bólu i nienawiści. Nasycony, w kłębach dymu papierosa, rozpoczynał wykład o różnicy i obowiązkach, jakie powstają w samym świecie erotycznych wrażeń. Mówił głupstwa, utarte nonsensy, plątał się w nie — łamał logicznie.

I powoli — zatracał siłę panowania nad sobą w jednym kierunku. Oto, zakreśliwszy plan poszanowania świętości małżeńskiej instytucji, wypełniał tylko plan ten w czynie. Lecz myślą i słowem nie umiał nałożyć pęt. Brakowało mu tego wypełnienia nocnych uniesień. Przyzwyczajony do wolności słowa, dławił się wobec pensyonarskich nieświadomości Marysieńki i jej rumień-

ców słownych. Zahazardował jedno i drugie. Przyjęła skwapliwie, czując, że na tym terenie łatwo dojdzie z nim do porozumienia i cel swój osiągnie.

Dowie się choć, jak mówił z »tamtemi«, skoro mu będzie powolną partnerką.

I rozpoczęła się rzecz szkaradna, rzecz praktykowana z taką lubością w alkowach młodych, rozpoczęła się deprawacya słowna, deprawacya na zimno, mająca kiedyś w życiu najfatalniejsze skutki.

Powolnie przyjmowała w siebie Marysieńka tę wiedzę, te drobiazgowo szpetne określenia, niweczące cały pietyzm, jaki jej czystość i uczuciowość wniosła w sprawę małżeństwa. Kropla po kropli mężczyzna wsączał w jej samowiedzę jad, zebrany latami z ust sprzedajnych, zgniecionych od naśladownictw pocałunków, ust pełnych zgniłych wiadomości samego zła i trądu moralnego.

Rozzuchwalony powolnością, z jaką dziecięca ta kobieta zanurzała powoli swą liliową istotę w kultury błotne, wylewane na nią w formie dowcipów, anegdotek, piosenek, żartów, które z całą brutalnością dzikich zwierząt rozdzierały szponami bezwstydu białą szatę romantycznych uniesień, rozkwitłych dokoła samego aktu złączenia, jak ogród najpiękniejszych i najszlachetniejszych kwiatów. W czerń niezwalczoną i śmiertelną leciały

płatki tego kwiecica śnieżnych róż, wyrosłych na lodydze złudzeń i marzeń tajemnych. Z nogami założonemi za poręcz łóżka, z papierosem w ustach bezmyślny nauczyciel wytwarzał potworną akademię, której echo gdzieś po latach ozwać się miało destrukcyjnym echem.

Zmartwiła, prawie bezprzytomna, śmiała się u jego boku powolna uczennica.

— Jak? jak? — pytała cienkim, drżącym głosem.

To drżenie brał on za wyraz podnieconej namiętności. Bawiło go to. Winszował sobie, że znalazł sposób uświadomienia tej małej gęsi i uczynienia swych sam na sam małżeńskich mniej nudnemi. Zaczynała mu być tą koleżanką w rozpuście, do jakich przywykł w swem miłosnym życiu. Nie potrzebował krępować się. Mógł nazywać rzeczy po nazwisku i wypluwać z siebie ordynarny repertuar rozpustnych żartów, którymi zdumiewał dawniej swe partnerki. Brakowało mu tego, dławił się nimi formalnie. Ta Marysieńka, to coś niesformowane, chciało modelić się w chwili miłosnego dreszczu — zachwytem i ekstazą. Było więc to nieporozumienie — groźne dla niego i niemiłe. Tak — zacierała się różnica. Z radością witał tę zmianę. Lękał się bowiem, że nie wytrzyma. Mógł bowiem odmówić sobie niskiej rozpusty czynów, lecz słownej zbyt ciężko mu było. Miły, kochany chłopiec

właśnie z powodu rozpusty słowa tęsknił za tryumfem, odnoszonym brudem swych wyrażań. Obecnie miał przed kim i mógł się wygadać. Powstrzymywanie się przez czas jakiś usposobiło go wojowniczo. Cały arsenał najpotworniejszych, najnikczemniejszych ohyd, pozbieranych z szantanów, z kabaretów, z ust dziewczek po gabinetach i ich legowiskach, spadł huraganem na głowę Marysieńki i owionął ją obłokiem strasznej, potwornej moralnej nędzy. Przerazona — zaciśnęła usta i w pierwszych chwilach szukać zaczęła jakiejś ostoi w wierze, w wierzeniach idealnych, rozsnutych przed nią jako siła jej przyszłej egzystencji. Lecz tamto było silniejsze. Ulica zagłuszyła wyciem swoim głos cichy organów, grających na chórze kościelnym w chwili anielskiej komunii. Marysieńka zrozumiała, że jest bezsilna, że i to przyjąć będzie zmuszona. Z piersi jej wydarł się chichot, bardzo do łkania zbliżony.

— Jak? jak? — pytała, tonąc w kaskadzie swych włosów splecionych.

W odpowiedzi brzmiał refren jakiejś ohydnej piosenki o rydzach, o lesie...

Cicho powtarzała, wtórowała. Głos jej, sopranik wypieszczony, który wydzwaniał sola na chórze — sola Schubertowskich, naiwnych Ave — łamał się i gwał. O szyby bił rozpacznie, jak ptak, któremu ginie wzrok, któremu podcięli świeżo czarujące błękitne skrzydła.

Od ulicy zdawały się lecieć i odpowiadać echa nabrzmiałe radością... Jakieś gwizdy, wrzaski, sygnały, nawoływania. Cały chór, cała orkiestra — nieuchwytna i dla wchodzących w życie dusz niezrozumiała, wzmocniona turkotem pijanych dorożek, z których wypadły bezecne słowa, refreny druzgocących możliwość jakiegokolwiek piękna piosnek, repertuar najkrwawszej tragedyi, na jaką dla samobójczej śmierci zdobyła się do tej chwili ludzka dusza.

I oto wstawała Noc!

I oto spadała od wierchów firmamentu, zda się jednaka i wszystkim miłosierna.

Lecz, przypadszy do ziemi, rozpełzała kupą drżącego robactwa i śpieszyła się być bezecną, niweczyć cuda, druzgotać dyamentowe kaplice, w których modlić się miały ludzkie serca i uczyć się rozchyłać skrzydła.

VIII.

Za dni kilka puszka została przez Marysieńkę rozbita. Było w niej do dwudziestu rubli. Zawinęła ten cały biedniuchny dorobek do papieru i schowała w szufladkę tualety.

Nerwowo drząc, czekała.

Sposobność przyszła niebawem. Jednego dnia, gdy nawet w mieście pachniało wiosną wczesną i rozkoszną, Marysieńka, jak ptak w klatce, rozsnuła skrzydła do lotu. Zachciało się jej powietrza, przestrzeni. Odziała się pośpiesznie i, pod nieobecność męża, wcześniej przed południem wyszła na miasto. Wydostała się na ulicę chłodną jeszcze, lecz zalaną potokami słońca. Przypomnił jej się dom, rodzice, ogródek stacyjny na wiosnę, taki pracowicie kochany i strojny w grzędy złotych tulipanów. Jakiś szloch aż do głębi rwał się przez jej serce. Na lewo ciągnęła się ciemnawa wązka gardziel uliczna, prowadząca do Ciężarowej ulicy. Cisza stamtąd wionęła złowroga i senna. Marysieńka zwróciła się na prawo, gdzie sterczało kilka jeszcze kamienic osowiałych i brzydkich. Lecz poza nimi było coś naksztalt pola, pustki

i jakby jakieś pagórki, po których włóczyły się martwe szkielety krzaków.

— Wolę to! wolę — wyszeptwała do siebie Marysieńka.

Zaczynała pojmować szlachetność rzeczy niemych i szukać ich poczęła. Było to bardzo wczynie. Lecz było — nieodwołalnie. Chwilkę wszakże pozostała niezdecydowana. Przyglądała się trwożnie zamkniętym i cichym kamienicom. Kto wie, co w sobie kryją?

Może...

Zamknięte okna zdają się być uśpione. Nie mają żadnego charakteru. Czy nie są to także gniazda plugastwa!

Dreszcz przeszedł ją całą. Zdawało się jej, że otacza ją dokoła wał błota, który ona przecież przeżyć musi.

— Aby odetchnąć trochę.

Ta koronka bezlistna krzaków, czarna i cmentarna, mającą z oddali, wydała się jej jakby rodzajem oazy, do której zdążyć pragnęła całą duszą.

— Byle dojść tam!...

Lecz należało przejść pod ścianami domostw. Kto wie, co jest za nimi. Kto wie!...

Nagle otworzyły się drzwi jednej sieni i na ścieżkę ulicy z czeluści bramy wysunęła się małeńka karawana. Był to biały, czystociuchny wózek dziecinny, z podniesioną budką i szafiro-

wemi firaneczkami. Coś tam w głębi się różowiło. Jakaś jasna plamka dziecięcej twarzyczki. Błękitne kokardy pracowitej kołderki w jasne kwadraty tryumfalnie wiewały. Był to kwiat nagle zabłysły mozołu i pieczołowitości. Coś z uśmiechów i kochania. Ot — dziecko, owinięte w miłość i pragnienia.

Służąca, odziana czysto i starannie, krzątała się koło wózka. Jakaś druga jej dopomagała. Mały brzydki, pocziwy piesek podskakiwał radośnie. Na piętrze ktoś otworzył okno, jakaś kobieta w bieli, i dawał polecenia. Starsza służąca cofnęła się. Okno zamknęło się cicho. Piesek biegł przodem.

Biały wózek wyruszył i skierował się ku krzakom, ku słońcu. Marysieńka szybko iść jego śladami zaczęła. Przechodziła wzdłuż kamieniczek śmiało i bezpiecznie. W duszy jej zrodziło się przeświadczenie, że tam mieszkają równe jej kobiety, że »tamtych« niema, że nikt się tam nie wyleguje pijany rozpustą nocną. Wszak z bramy tej ukazało się... dziecko ochronione i ukochane.

Dla Marysieńki to wystarczało.

— W takich domach dzieci przecież niema... — myślała.

Lecz oto przypęzłało ku niej jakby coś niepewnego.

-- Czy takie kobiety dzieci nie mają?...

Zdławiło ją znów to pytanie. Starła się do-

ścignąć wózek, zajrzeć w twarzyczkę dziecka, uśmiechnąć się do niego.

— A jeżeli to takiej jakiej dziecko!...

Zwolniła kroku. Zagasła jej piękność wiosenna jasnego zjawiska.

— Czy ja wiem!...

Teraz nawet powstała w jej sercu odraza. Jeżeli bowiem to kobieta »złego życia« tak strojnie swe dziecko wyprawiała na słońce, tak zuzurpowiała całe otoczenie, właściwe dzieciom kobiet »dobrego życia« — to zuchwalstwo to było najwstrętniejsze i podłe. Ani to dziecko, ani ta matka nie miały prawa korzystać z dnia, jasności i słońca.

Dla nich wszak była noc — był cień, był opar mglistej egzystencji nietoperzy i sów.

Zawróciła się. Nie pragnęła już widzieć przestroni ani koronki krzaków, które wicher rozwiewał. Zanurzał się bowiem w tę jasność wózek, wiozący może dziecko, którego matka mogła być jedną z tych...

— Muszę się zapytać Zdzicha, czy one mają dzieci! — postanowiła.

Gdy wracała do bramy swego domu, była już zgarbiona i zgaszona. Dźwigała na plecach jakby ciężar jakiś. Nie było w niej wiosny. Nie przyniosła z sobą żadnego jej powiewu. A to, co miała z wiosny w sobie, zapadać zaczęło w głąb.

Wieczorem, zapomocą papierosów, pieszczot,

towarzyszenia mężowi w rozwiąłości słownej — znalazła się na zwykłym terenie.

Zaczęli mówić znów — o »nich«. Marysieńka udawała silne zainteresowanie i zaciekawienie. Nic więcej na razie, tylko zaciekawienie.

Zadawała tak zwane »głupie pytania«.

— Czy one umieją czytać?

— Jak która.

— ?...

— No tak. Są nawet bardzo inteligentne.

— ?...

— Ależ tak. Są takie, które były na pensyi.

Weź takie kasyerki. Często umieją po francusku.

Skrzywiła się.

— Każda kucharka mówi po francusku.

— No tak! Ale ja tylko konstatuje fakt.

Zaczęła drwić, bo złość w niej napływała do wnętrza.

— Nie wiedziałam, że te damy mają uniwersyteckie wykształcenie!

Aż się rzucił.

— No, dzięki Bogu — nie!

— Dlaczego dzięki Bogu?

— Bo są tem przyjemniejsze. Kobieta wykształcona to plaga w takim wypadku.

Zacięła gniewnie usta.

— No tak... — odparła wreszcie — stąd ich powodzenie u was. Swój swego znajdzie, chociaż nie szuka.

Odsunął się od niej.

— Zaczynasz się robić niesmacznie złośliwa! — wyrzekł, sięgając po papierosa.

Wyrwała mu jednak ten papieros z ręki.

— Nie pal!... — krzyknęła.

Czuła, że jest na fałszywej drodze. Nie umiała się przecież powstrzymać. Miała straszny żal za to słońce i za tę przestrzeń, zasłoniętą i umożliwioną od samego rana. Wszystko to składało się razem.

Popatrzył na nią ostro.

— Co to znowu znaczy?

Zachłysnęła się aż z uniesienia.

— To znaczy, że ja nie mam ani takiego wychowania, ani takiego wykształcenia, jak te damy! — krzyknęła.

Wzrok jego stał się jeszcze bardziej ostry.

— Nie masz przedewszystkiem taktu! — rzucił jej.

— One mają go więcej.

— Z pewnością!

Porwała się — zeskoczyła z łóżka. Oczy jej zaświeciły się niedobrym blaskiem.

— Taktem dla ciebie, gdy cię ktoś taki, jak one, złodziejem nazywa!...

Zamilkł i patrzył na nią zdziwiony, jakby sobie coś przypominał.

— Tak, tak — złodziejem! złodziejem! — nalegała w uniesieniu. — Nie pamiętasz? to dziwne!

Ta dystygowana dama, którą zbiłeś kijem, wołała przecież: »oddaj, coś winien, złodzieju!«

Parsknął śmiechem.

— Ach! tak!...

Było to dla niej zupełnie nieoczekiwane. Ten śmiech, podczas gdy ona sądziła, iż ta zniewaga zdruzgoce go moralnie.

— Ty... ty się śmiejesz?

— Naturalnie. Na takie rzeczy się nie zważa. To się nie liczy.

Zapadała w toń. Nie mogła zrozumieć. Nie liczy się! Dla niego. Może. Ale dla niej! Rzuciła się nagle poprzez łóżko, padając piersią na jego nogi.

— Ja nie chcę... nie chcę, by taka nazywała ciebie złodziejem!

Ten wybuch rozpaczny, którego on zrozumieć absolutnie nie mógł, rozbawił go jeszcze więcej.

— No, moja droga! to trudno, skoro się jej tak podobało.

— Ale ty jej winien jesteś.

— Co ty pleciesz?

— Powiedziała tak.

— Co taka gada. Czy ty przypuszczasz, że ja kiedy co od niej pożyczyłem? Choć one mają bardzo dobre serca, takie kobiety, i jak tylko poznają, że ktoś, w kim się kochają, jest w biedzie, zaraz starają się dopomóc!...

Podjęła się i spojrzała na niego szeroko rozwartemi oczyma.

— I są tacy, którzy od nich taką pomoc przyjmują?...

— Są! — wyrzekł głosem trochę niepewnym. — Ja sam znałem jednego kolegę, któremu taka dziewczyna bardzo pomagała.

Przejął ją dreszcz. Zdawało się jej, że oczy jego błędzą niepewnie, że unika jej wzroku...

Zeskoczyła z łóżka, pobiegła do toalety. Wyjęła paczkę z pieniędzmi. Rzuciła się ku niemu.

— Trzeba, trzeba jej zapłacić!... — zawołała gorączkowo.

Zdziwiony, przerażony odsunął pieniądze.

— Co ty robisz? czego ty chcesz? co to za pieniądze?

— Weź, weź, to moje, panińskie ze skarbonki... Ja już dawno chciałam to zrobić, ale ja nie wiem, jak ona się nazywa, gdzie ona mieszka... Oddaj jej... albo odeślij przez stróża... Ona się tu ciągle włóczy... proszę cię! proszę cię!...

Całowała go po rękach. Była cała w ogniu, w nerwach, w gorączce.

Zaczynała się wytwarzać tragikomiczna sytuacja.

— Zrobisz to? powiedz!... zrobisz? ty nie możesz być jej coś winien! to przecież straszne.

Ogarnęło go to, co pospolicie nazywa się złym humorem.

— Powtarzam ci, nie brałem nic od niej. Ona to »winien« inaczej rozumiała. I to w uniesieniu powiedziała...

— Ja nic nie wiem, w nic wchodzić nie chcę — za co, jak! Dość, że krzyczała: »złodzieju«. To dość! dość!... oddaj jej te pieniądze.

Rozsypała drobniak pieniędzy po kołdrze. Trochę monety spadło na ziemię, lśniło się na dywanie. Schyliła się. Zbierała skrzętnie.

— Wszystko! wszystko!...

Wzruszył ramionami.

— Ona nie weźmie.

— ?...

— Tak, nie weźmie.

— Dlaczego?

— Bo ona się we mnie kochała.

— Ona?

— No tak! Pamiętam teraz doskonale. Kochała się we mnie. Nie chciała nigdy nic brać ode mnie. Najczęściej uciekałem się do forteli. Podrzucałem pieniądze po kątach jej mieszkania. Naprawdę. Gdy na drugi dzień znalazła — płakała, robiła mi sceny.

— Ale... pieniądze schowała.

— Nie zawsze. Czasem kupowała mi krawaty, rękawiczki...

— I ty brałeś?

— Naturalnie. Byłbym ją obraził, odmawiając.

Czyniła to z dobrego serca... Miała bardzo dobre serce...

— Powiedziałeś już — przerwała gwałtownie.

— I dobry gust.

Przypomniała sobie, że zganil kiedyś jej gust w wyborze krawatki, którą mu z miasta przyniosła. Ten drobiazg dopełnił miary. Zerwała się i uciekła do ciemnego saloniku w koszuli i bosych. Tam padła wyczerpana na kanapkę i nagle uczyła się małą, drobną, nieszczęśliwą i opuszczoną. Poza nią był cały świat, który przedstawiał się jej teraz jako konglomerat jakichś wrogich sił, które nawzajem żarły się, z rykiem rzucały się na siebie, ociekały krwią po to, aby później złączyć się w jedną groźną potęgę, której nic oprzeć się nie było w stanie.

Załkała w ciemności bezsilna i znużona. Jej mała egzystencja traciła w ten sposób i tę odrobinę ważności, jaką zdawała się wyczuwać poprzednio. Buntu w niej na razie nie było. Znikł w jednej chwili. Chciała tak leżeć w samotności i ciemni z pustką lodową pod czaszką.

Lecz w sypialni powstał ruch. Zdych niechętnie wyłaził z ciepłego łóżka i siedł po nią do salonu. Przedtem zawołał kilka razy: »Marysieńko!« — lecz to wołanie wionęło koło niej bez skutku. Znużony był, bo senny i w pokojach był chłód, jak zwykle po ciepłym dniu wiosennym. Stawał wobec »sceny« po formie i z nie-

chęcią brał w niej udział. Nie mógł odczuć w takiej scenie charakteru i wychwycić jej tonu. Był sam bez wyrazu, tępo zrównoważony, to więc, co tylko ziało protestem, uporem, co się odcinało, wyodrębniało — wydawało mu się niebezpieczne.

Szedł więc ku Marysieńce, jak po szkłe — jęfen zdrowego sensu i postanowień zaprowadzenia w domu stanu »spokoju«.

Zbliżył się do niej ciepły jeszcze od gorąca pościeli i odczuł chłód lodowy tego biednego ciała, drżącego z zimna pod lekką osłoną batystu. Zrobiło mu się żal tej odrobiny, wciśniętej bezradnie w róg kanapy. Pociągnął ją ku sobie.

— Chodź stąd! przeziębisz się!

Wyłkała cichutko:

— Tem lepiej.

— Zachorujesz.

— Tem lepiej. Niech umrę!

Ukląkł przy niej. Nie znalazł na razie innego argumentu.

— Czego ty właściwie chcesz? — zapytał.

Nie odpowiedziała mu nic. Nie mogła sformułować swych pragnień. Czuła, że są bezsilne wobec lawiny, która wali się na nią nieubłagana. Co pomogłyby tu jej »żądania«, skoro to wszystko było, istniało, działo się...

— Chcesz, żebym wziął te pieniądze?

— !...

— No to wezmę. Dam jej!

Szarpnęła się w głębi. Lecz nic nie odparła.

— No... a teraz chodź!...

Zmarzły mu nagle łydki i bosc stopy.

— Chodź! bo wezmę cię na rękę i zaniosę, jak nieznośnego bachora, który zasługuje na to, aby mu różgą dać...

Pochylił się nad nią i próbował rzeczywiście wziąć ją na rękę. Był rostry, silny, o szerokich, nadmiernie rozwiniętych ramionach. W tej ciemności nocnej wyczuwała tę siłę i przewagę fizyczną. Instynkt ostrzegł ją, że niczego więcej od tego człowieka w tej chwili oczekiwać nie może. Bezwładnie zwiśla mu w ramionach.

— Zostaw mnie! ja tutaj będę spać — jęczała cicho.

— Ty mała waryatko! ty mała waryatko!... — upominał ją, niosąc już jak małe dziecko w stronę sypialni.

Na progu zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ty... powiedz mi jedno...

— Co?

Bosc stopy na zimnej posadzce sprawiały mu niemiłe uczucie. Stojąc na dywanie, był łagodniejszy.

— Więc... jeżeli ona ciebie kochała, to i ty...

Przerwał jej prawie brutalnie:

— Skończ już raz z tem głupstwem, proszę cię.

Położył ją dość gwałtownie na łóżku i narzucił kołdrę. Błękitne światło sypialni, całe otoczenie, jamy okien, poza którymi wyczuwała istność Ulicy — znów szarpnęło jej nerwy.

Zaczęła prężyć się i krzyzcć gwałtownie:

— Ja nie chcę, ja nie chcę!...

Nie mówiła dokładnie, czego właściwie nie chce — o co jej chodzi.

Stał przez chwilę bezradny — wreszcie nagle rzucił się na nią i objął ją stalowym, gniewnym uściskiem.

— Ja cię nauczę robić sceny — ty bachorze... ja cię nauczę!

Ustami ust jej szukał.

— Usta mi daj! słyszysz, usta!...

Zgniół jej wargi i zatrzymał w ten sposób jęk spazmatyczny, który dał się z jej wnętrza.

— Ja nie chcę!... ja nie chcę!... ja nie chcę!...

IX.

Po tej wyczerpującej scenie nastąpiło jakby zawieszenie broni. Marysieńka pogrążyła się w pełną apatyę. Była wyczerpana fizycznie i fatalnie upokorzona zakończeniem całej tej nocnej rozterki. Wolałaby nawet brutalne milczenie ze strony Zdzicha, niż takie zareagowanie na jej bunt i łzy. Nie miał więc nic z lepszych warstw swoich co poruszenia, do zmobilizowania, aby ją uspokoić choćby chwilowo, w takiej prawdziwej, głębokiej rozpacz, która nią miotała i ciskała w szalonych wysiłkach — ponad kurcze i spazmy zapamiętań zmysłowych?

Uległa mu i zamilkła. I to było najgorsze. Obecnie miała jakby zatarasowaną drogę do wznowienia tej sprawy. Byłoby to jakby wywoływanym z jej strony nowego napadu zmysłowych objawów — skoro wiedziała teraz, jak się owe »sceny« będą z jego strony kończyły.

Powoli przecież — niepokój nerwowy zaczął w niej budzić się i rosnać. Zdzich powiedział, że pieniądze »jej« wręczy.

Kiedy, gdzie, jak! — Mówić więc z nią będzie. Wejdzie w kontakt z tą dziewczką. I to ona sama

niejako stała się pośredniczką tego zbliżenia. Dlaczego nie uczyniła tego przez stróża! Raczej było zgnieść na nic dumę i wtajemniczyć tego draba w rdzeń całej sprawy.

Teraz już było zapóźno.

Od czasu owej nocy Zdzich także przestał owych rozmów na tle swego ubiegłego życia. Coś jakby w tym kierunku się przełamało. Natomiast zaczął bardzo gorliwie zajmować się Marysieńką i pieścił ją z odcieniem miłej serdeczności. Wymyślał coraz ładniejsze dla niej nazwy i ubierał ją w nie, jak w girlandy z kwiatów. Działo się to prawdopodobnie dlatego, że Marysieńka cofnęła się jakby w głąb i zachowywała się względem niego apatycznie i spokojnie. Instynktem wiedziony, czuł w niej urazę i to odsuwanie się. Nie umiał znaleźć inaczey drogi. Wybrał sposób naiwny i dziecięcy. Przymiłał się wtedy, gdy trzeba było rozjaśnić i przekonać.

Dlatego zapadał koło nich coraz większy mrok.

Jednego południa, o porze, w której Zdzich powracał z biura do domu, Marysieńka wyszła na balkon, ażeby strząsnąć na ulicę okruszyny popielniczki. Nagle — stanęła, jak wryta. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła idącą powoli w stronę miasta ową dziewczkę, która była zmorą i nieszczęściem jej życia. W jaskrawem oświetleniu wio-

sennem wydała się jej tak nędzną, tak marną, tak potwornie chudą i szkaradną, że aż cofnęła się w niewysłowionem uczuciu, które nagle przepełniło ją całą. Odzienie jej było zniszczone z wyjątkiem jasno-żółtych bucików, które uwidoczniły jeszcze chamski kształt jej fatalnych stóp. Snuła się pod murem kamienic, cicho. Nawet kroków jej słyhać nie było. Głowę miała spuszczoną na piersi. W opuszczonej ręce trzymała niedbale zamkniętą parasolkę, która wlokła się za nią, zataczając zygzaki.

W całej tej postaci było coś niewymownie przygnębionego, zamyślnego i jakby oderwanego od świata i otoczenia.

Marysieńka stała na swoim balkoniku, jak przyrośnięta, nieruchoma i ciągle niezdecydowana. Ogarnął ją podziw, że, mając tak blisko uwidocznioną tę, której tak bardzo, tak szalenie przez tyle dni i nocy nienawdziła — czuje w tej chwili jakiś ciężki, ołowiany spokój i trwogę. Lecz była to trwoga różna od tej, jaka nią dławiała wewnątrz mieszkania na myśl o istnieniu prostytutek. To był raczej lęk, aby ta dziewczyna nie dojrzała jej w słońcu ulicznym. Jakieś zmieszanie, zawstyżenie ogarnęło ją. Było jej tak, jakby nagle uczuła się czegoś winną i poza tem zmuszoną do obnoszenia jakiegoś kalectwa.

Czuła, że gdyby szła po ulicy, stanowczo byłaby się tamtej kobiecie ustąpiła z drogi. To jedno

uczucie miała w sobie wyraźne i doskonale zarysowane. I to jeszcze, że poza tamtą, która wlokła się samotna, był — tłum. Poza nią cicha i trwożna jakaś zbita masa, mająca w sobie niepewność i lęk.

Od strony miasta pojawiła się sylwetka mężczyzny. Był to Zdzych, powracający z biura do domu. Szedł bojko, żwawo, rozprostowując skurczone siedzeniem ciało. Dziwne to było, jak stawał się sobą w otoczeniu ulicy. Był to jeden z tych typów męskich, którym jest »do twarzy« ulica. Brał ją całą w posiadanie. Służyła mu za tło i podtrzymywała go. Marysieńce zamarło serce. Teraz spotka się z »nią«. Są tylko sami na całej przestrzeni. Zobaczą się. Jak postąpią? Kto wie, czy ona nie rzuci się mściwie na niego i nie uczyni zadość groźbom, któremi zionęła po nocy. Kto wie, czy on nie zareaguje znów uderzeniem i czy nie rozpocznie się znów to wycie, ten krzyk, ten gwałt, jak owej ohydnej nocy. Coś przecież stać się musi. Jakiś wybuch, jakieś starcie...

Bez tchu przytuliła się do muru. I lękała się o nich oboje — a to było najgorsze. Lękała się o swą własność, tego mężczyznę, który był »jej«, i zarazem lękała się o to coś drugiego, o... kobietę, czując ból i zniewagę, jaka spaść może na nią w formie kija w męskiej rozjuszanej dłoni.

Z tego drugiego uczucia nie zdawała sobie tak doskonale sprawy, a przecież fizyczny ból przebiegł jej plecy i krzyż. Coś jakby dreszcz właściwy zwierzęcemu oczekiwaniu na uderzenie, na gwizd bata.

Lecz, gdy tak trwała zawieszona na wyniośłości balkonu, z ustami wyschłymi i rozwartymi, z rękami zaciśniętymi w kułak na piersiach, tam, na dole, zaszła rzecz niebываła i nieoczekiwana.

Oto — tamci oboje, równocześnie dojrawszy się, podeszli do siebie i spotkali na pół ulicy. I tu mężczyzna obejrzał się poza siebie nałogowym ruchem, czy kto nie idzie, a ona nałogowym także ruchem pociągnęła go pod domy, w cień.

Za wiele było jasności, za wiele było słońca. Ci ludzie nie umieli patrzeć sobie w twarz w dziennem ożłoceniu świetlanych promieni.

Stanęli pod murem, wymieniając jakieś zdania. Nie dolatywały nawet do Marysieńki ich głosy. Mówili z przyzwyczajenia szeptem. Jakby zbrodnię knuli. To jasno jednak widziała Marysieńka, że wszelki gniew nie ma pomiędzy nimi miejsca. Ton ich porozumienia był normalny. Zdawali się być dobrymi znajomymi, którzy mają sobie coś do powiedzenia po dłuższem niewidzeniu się. Tylko dziewczyna wyprostowała się, zbywając się swej apatycznej, zdeformowanej postaci. Ujęła się pod bok, wysunęła tors. Nagle w tem zbli-

żeniu się do mężczyzny odmłodziła i przetrzymała się nagle. Jakieś przewrażliwienie na okoliczności sprzyjające widoczne tu było i łatwo dostrzegalne. Marysieńka jednak nie pojęła i nie zrozumiała istoty rzeczy. Nie wiedziała, że ta dziewczka byłaby tak samo przetrzymała się w zbliżeniu do każdego innego mężczyzny. Marysieńce zdawało się, że tu działa specjalnie istota Zdzicha i zaszumiło w niej całej od bolesnego ucisku. I to porozumiewcze, spokojne zachowanie się Zdzicha dopełniało miary. Zaciśnęło się w niej od skurczu nerwów wzdłuż szyi. Skrzywiły się jej szczęki. Nieledwie pragnęła teraz, chciała, aby dziewczka z czeluści swego żakietu wydołała jaką fłaszczkę z gryzącym płynem i bluzgnęła nim w twarz mężczyzny. Aż drżało w niej od pragnienia, aby ci oboje rzucili się na siebie, bili, gryźli, tarzali w prochu ulicznym. Niechby powstał oślepli, zalani krwią. Zasłużyli oboje na to — za owe ciche, spokojne porozumiewanie się w cieniu uśpionych kamienic...

Jakby było mało tego szeptu, tego pochylenia się ku sobie wyćwiczonego i charakterystycznego, nagle śmiech dziewczki, śmiech historyczny, troszkę spazmami podszyty, przeciął powietrze.

Coś musiał Zdzich powiedzieć, coś ze swego repertuaru, z tych znanych już Marysieńce dowcipów, ociekających błotem, które ona chłonęła

w siebie nocami, jak torturę i mus, wynikające ze składowych części brodzenia w życiową egzystencję.

To dopełniło miary. Gdy śmiech ten przeciął powietrze i uderzył ją w twarz, jakby policzkiem stalowych, cienkich palców, Marysieńka cofnęła się w głąb swego gniazda i pośpiesznie zamknęła drzwi balkonowe.

— — — — —
Zdzich, wszedłszy do mieszkania, zastał żonę stojącą na środku pokoju, nieruchomą i bladą. Chciał się do niej zbliżyć, ale zastanowił go wyraz jej twarzy. Dziecinny poblask tej drobnej twarzyczki znikł, jakby zmieciony podmuchem wiatru. Patrzyła na niego tępo i dziwnie.

Mimo to przecież przysunął się i wyciągnął rękę. Odczuła nagle szalony ból w całym ciele, ból fizyczny, taki, jak odczuwała w chwili nadciągania piorunowej burzy. Porwała się z krzykiem i zastawiła rękami, jak przed grożącym niebezpieczeństwem. Zrozumiała, iż niema mowy, aby mogła znieść jego zbliżenie się fizyczne.

Zaczęła krzyczeć:

— Idź! idź sobie!...

Jak zawsze, odpowiedział jej banalnym pytaniem:

— Czyś ty oszalała?

Wylkała z trudem:

— Widziałam... widziałam was!

— Aha!

Wzruszył ramionami i bardzo naturalnie zapytał ją:

— No i co z tego?

Przez chwilę milczała. Trudno jej było zebrać w jedno i wyrazić, co jej »było z tego«. Wreszcie zdołała powiedzieć:

— Takeście z sobą przyjemnie rozmawiali.

— Och, przyjemnie!... trudno, żebyśmy się bili.

— Nawet ona się śmiała.

— Czy wołałabyś, ażeby mi wymyślała?

Nie odpowiedziała nic. Trzymała się wciąż odpornie w roli obrażonej w swej godności. Tylko wpiła sobie w rękę paznogie tak silnie, iż powstała długa, krwawa pręga.

Dostrzegł to.

Porwał ją za rękę.

— Maryśka, co to?

Wyrwała mu rękę z krzykiem:

— Nie dotykaj mnie!

— Bo... przed chwilą... może podałeś jej rękę... jej...

Pokiwał głową z litością.

— Co ty? co ty? Jakże ja mógłbym w biały dzień podawać rękę takiej, jak ona? Jak ty możesz przypuszczać coś podobnego.

— A rozmawiałeś z nią!

— Musiałem. Chciałem ją udobruchać. Musiałem coś zrobić, aby zaprzestała chodzić pod

naszym domem. Wprowadziłem ją w dobry humor. Przynękała mi, że więcej tędy chodzić nie będzie...

Marysieńka wzgardliwie wyduła usta.

— Wielka łaska.

— No!... Nie łaska, ale grzeczność. Ulica jest dla wszystkich i skoro się ktoś przyzwocie zachowuje i nikogo nie zaczepia, ma zupełne prawo do chodzenia po niej!

Marysieńka zagryzała wargi.

— Taka nie ma prawa do chodzenia w dzień... niech chodzi po nocy! To dla n a s jest w dzień ulica, dla n a s...

Uderzyła się w pierś, aż jęknęła. Zaakcentowała dziwnie to »dla n a s«.

— Przecież i dla n a s coś być musi... — zawołała wreszcie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Dla jakich... n a s?

— Dla nas... dla... kobiet...

— No przecież i one są kobiety.

Protest wydarł się z jej ust:

— To nie są kobiety!...

Skierował się w głąb mieszkania.

— Nudna jesteś. Powtarzasz się. Lepiej zajmij się obiadem. Głodny jestem.

Tem oświadczeniem przywoździł ją. Rzuciła mu mściwa i chmurna:

— Daleś jej pieniądze?

Zatrzymał się na progu jadalni.

— Wiesz! zapomniałem! — rzucił dobrodusznie.

I zaraz dodał:

— Ale kupiłem dwa bilety na jutro do teatru. To będzie z tych pieniędzy.

Tupnęła nogą gniewnie.

— Ja nic nie chcę z tych pieniędzy, rozumiesz?

Znudzony był naprawdę i głodny.

— Piła jesteś nieznośna! — wyrzekł — więc to z moich pieniędzy! A teraz każ dawać zupełnie bo ciebie połknę z głodu. Rozumiesz?

X.

Do teatru poszli i w Marysieńce rozegrała się pewna radość, gdy weszła do oświetlonej, wyłączonej salki, w której grała właśnie muzyka. Grano jakąś farsę tłumaczoną, jedną z tych, o których wzmiankarze piszą, że jest »sukcesem«.

Zdzich prostodusznie obiecywał sobie kąpiel śmiechu.

— Podobno »nieprzyzwoite!« — mówił, zacierając ręce.

Marysieńka nie z tego punktu brała rzecz. Ona poprostu chciała zmienić choć na chwilę środowisko i otoczenie.

Z przestrachem bowiem zauważyła, iż dom jej, to »gniazdo«, zaczyna powoli dławić ją emanacją jakichś rzeczy smutnych i brzydkich.

— Może w teatrze myśleć o tem ohydztwie nie będą.

Usiadła w fotelu rada i dobrze ubrana. Sukienkę miała jasną, gustowną, elegancką. Zwłaszcza ładne boa, strojne w wiele gazy i wstążek. Miała wygląd małego ptaszka, wyglądającego cie-

kawie z misternie uplecionego gniazodka. Zdzich także przedstawiał się korzystnie w doskonale skrojonym żakiecie. Miał prawie fizyonomię i wyglądał, jak ktoś, liczący się z sobą samym. Stanowili ładną parę i odczuwali to. Ciągnęli spojrzenia, pod którymi było im dobrze i które łaskotały ich duszę.

Marysieńka ucieszyła się tym nastrojem. Dawno go nie czuła. Zdawało się jej, że wraca do swego świata z dalekiej drogi błotnistej i nużącej. Świat tamten czarny i smutny pozostawiła za sobą. Nic jej nie przypominało, że istniał. Uśmiechała się do siebie i do tych ludzi, otaczających ją. Dziecięcy, rozkoszny wyraz okraślił jej usta. Przytuliła się do ramienia Zdzicha, rozgospodarowała, zawiesiła afisz, otworzyła pudełko z cukierkami. Było jej nad wyraz dobrze. Oddychała. Wszystko tu było prawidłowe, jasne, jak być powinno.

Zdawało się nie być miejsca ani na brud, ani na kłamstwo.

Powoli zapelniła się cała sala. Tylko dwa miejsca obok Zdzicha pozostały niezajęte. Muzyka umilkła i kurtyna poszła w górę. Rozpoczął się banalny, drobiazgowy obraz życia przeciętnej francuskiej burżuazyi.

Jakaś młoda mężatka przychodzi do biura adwokata — żąda, aby ten prowadził jej rozwód. Naturalnie adwokatowi podoba się młoda dama,

przysiada się, robi »oko«. Słowem, wszystko w porządku.

Są jacyś komiczni koncypieni, naturalnie woźny, słowem wszystko, co potrzeba do podtrzymania od samego początku niewybrednego humoru na widowni.

Nagle Marysieńka wstaje, wyprowadzona z równowagi. Coś zaszumiało, narobiło hałasu. Jakieś dwie damy spóźnione przedzierają się do miejsc wolnych obok Zdzicha. Czynią to hałaśliwie, podśmiewając się głupawo. Potykają się, przepraszają, dzwonią łańcuszkami, aż wreszcie siadają.

Równocześnie jednak nieznośny, mdły zapach nadużytych perfum przesycę powietrze. Zapach ten łączy się z wonią potu, jaki czasem wydzielają przepoczone jedwabne staniki kobiet. Jest to coś niepokojącego, drażniącego nerwy i Marysieńka odczuła to w niemiły sposób. Cień, panujący w sali, nie dozwalał jej przyrzeć się dokładnie nowoprzybyłym. Przytem cofnęły się głęboko w fotele. Widzi tylko ich uda i kolana silnie opięte angielskimi spódnicami. Widzi także, iż Zdzich, zapatrzony na scenę, spojrzął kilkakrotnie na swe sąsiadki.

I to ją zaniepokoiło.

Lecz oto i na scenie zmieniło się coś — jakoś. I tam zaszumiało i zadźwięczało. Owa dama, pragnąca rozwodu, minęła się właśnie we drzwiach

scenicznych z drugą damą, wchodzącą właśnie do płóciennego gabinetu adwokata. Obie aktorki wytrzymały pauzę. Jedna zrobiła sobie wyjście efektowne, druga efektowne wejście. Były jakieś różne, pomimo że obie były bardzo modnie ubrane i bardzo eleganckie. Ale różniły się bardzo, tak stojąc obok siebie. Coś tam było w podniesieniu głowy, w spojrzeniu, w linii nóg. Owa mężatka była bardziej skoncentrowana w sobie, melancholijna i dystygowana. Ta druga wdierała się na okopy życia taranem, *en dehors* cała, roześmiana urzędowo, wabna, jak gablotka jubilerska dobrze obsadzona klejnotami.

I gdy po wyjściu mężatki piruetowym krokiem podbiegła do adwokata i wyszeplenila po cichu (prawdopodobnie ze względu na koncypientów):

— Jak się masz, stary!

Zdzich pochylił się ku Marysieńce i roześmiany, rozjaśniony, objaśnił:

— To... kokotka!

— — — — —
I nagle zrobiło się jakoś jasno, pełno w sali. Wszystko zadźwięczało i roześmiało się dokoła. Wszyscy poprawili się, jakby załaskotani *au bon endroit*. Znikła melancholia i gruntowne pojmo-
wanie życia. Ktoś podawał ze sceny szklaneczkę szczypiącego napoju. Koncypieni znikli. Kokotka zręcznym susem usiadła, jak małpa, na kolanach

advokata. Zaczęła mu poprawiać krawat. Aktorka, grająca tę rolę, miała swawolny typ obnoszącej dobrze swą płeć kobiety. Śmiała się, przechylając w tył bardzo powabnie. Zadzieriała wtedy wysoko założone jedna na drugą nogi, obciążone w cienkie gazowe pończochy. Lakierowane szampańskiego koloru pantofelki, zdobne olbrzymią kokardą i strassową błyszczącą klamrą, wiewały w górę na tle zielonawej podszewki spódnicy. Bardzo to było dobrze skombinowane, obmyślane i podniecające. Marysieńka uczyła się nagle dziwnie pomniejszona i zgnębiona. W jednej chwili zmierzyla i zrozumiała różnicę, jaka była pomiędzy jej ubogą elegancją, z której przed chwilą była tak dumna, a tem czemś błyszczącym i ciągnącym, w co spowite było ciało tej kokotki na scenie. Wszyscy byli zapatrzeni na tę strojną, tę błyszczącą prostytutkę, jakkolwiek ugodą przyzwoitości na »kokotkę« przechrzczoną. Dowcipy jej, nawet niedwuznaczne, roztaczały wesołość. Mężczyźni rozpromieniali się coraz bardziej. Brała ich w posiadanie zupełne.

Marysieńka spojrzała ukosem na Zdzicha. Rozchylił usta bezmyślnym wyrazem zachwyty. Całem ciałem podał się naprzód, jakby rwało go coś tam, w przestrzeń, na scenę. Powoli, delikatnie Marysieńka odsunęła się od jego ramienia. Nie uczył nawet tego braku. Ona przygasłym wzrokiem patrzyła przed siebie. Czuła doskonale, że

cała zagasa, że to, co się w niej rozłilo chwilowo radością życia i poczuciem swej urody i wartości, gdy weszła do tej sali — dogorywa i cofa się w cień.

Zdrętwiała — oczekiwała końca aktu.

Gdy wreszcie na tryumfalnym szastnięciu spódnicą kokotka zakończyła swą scenę i kurtyna zasłoniła jamę sceniczną — Marysieńka doznała uczucia ulgi. Wreszcie zniknęło jej z oczu to uosobienie eleganckiej prostytutki. Idąc do teatru, nie przeczuwała, że zmuszona będzie asystować pokazowi właśnie wykwinu frymarczących sobą dziewczek.

— Takie są... — myślała — takie więc są. Aktorka, grająca tę rolę, musiała przecież studyować taką kobietę, aby odtwarzać tę postać dokładnie i z całą prawdą. Słyszałam, że artyści sceniczni muszą robić studia z natury. I tym razem tak być musiało...

Rozgoryczenie wypełniło jej duszę. Zapomniała nawet o cukierkach, które leżały na jej kolanach. Przypomniał jej Zdzych.

— Nie jesz cukierków? — zapytał.

Machinalnie otworzyła pudełko. On sięgnął łakomie i wziął jedną czekoladkę.

— Doskonała sztuka! — zaopiniował — wesoła. A ta aktorka, co gra kokotkę, ma sznit...
prawda? co?

Nachmurzyła się.

— Nie podoba mi się.

— Dlaczego?

— Jest bezczelna. Wstrętna.

— Tworzy typ.

— Jaki typ?

— No... kokotki. Tam we Francyi kokotki tak wyglądają i tak się zachowują.

— A ty skąd wiesz? przecież nie byłeś we Francyi, to nie możesz sądzić!

Roześmiał się.

— Cóż ty myślisz, że my to jesteśmy odcięci murem od cywilizowanego świata? Francuskie kokotki często i do nas zagląдают, jadąc do Petersburga albo do Moskwy.

Spojrzała na niego z pogardą.

— I ty pewnie znałeś się z niemi? — spytała ironicznie.

Uczuł się dotknięty.

— Dlaczegożby nie? cóż to trudnego?

— Och, nie wątpię o tem!... ale... zawsze...

Wzięła lornetkę i zaczęła udawać, że z zajęciem lornetuje osoby, siedzące w łóżach. On powstał i, odwrócony twarzą do sali, stał ze skwasniałą, złą twarzą. Uczuł, że Marysieńka taksowała go dość nisko na targu miłosnym, i to go zirytowało. Jak śmiała ta smarkata przypuszczać, iż strojna kokotka była nieprzystępna dla jego osoby i kieszeni!

Z kolei Marysieńka, znudzona lornetowaniem,

zaczęła rozglądać się po sali. Zauważyła, że przeważna ilość mężczyzn patrzy uparcie w ich stronę. Lecz nie do niej dążyły ich spojrzenia. Nikt się nie zatrzymywał na jej nikłej postaci. To obie sąsiadki Zdzicha wzbudzały ogólne zajęcie. Spojrzenia mężczyzn biegły ku nim ciągle, ale jakies ukośne i niepewne. Lecz mimo to kołowały i wracały ciągle. Marysieńka zaczęła obserwować te kobiety. I nagle zrozumiała.

Były to z pewnością także kokotki.

Bo strój ich miał tę cechę posklejanych i przygodnych tualet, na które składa się czasowy dorobek i niespodziany przybytek. Była tam nieumiejętność aż bijąca w oczy.

Takie bluzki prawie balowe, amalgamat gazy, perel, galonów, tiulu, przez który przeświecało ciało dużymi szmatami — i spódnice angielskie, proste krojem i materiałem. Jedna miała buciki lakierowane czarne, stosowne do płaszcza aksamitnego na ulicę, druga — pantofle płytke, wycięte, półwieczorowe. Uczesanie ich głów było specjalnie staranne, lalkowate, fryzyerskie. Żadna z kobiet w teatrze nie była tak starannie, tak wykwintnie, a zarazem brzydtko uczesana, jak one obie.

Czuć na tych fryzurach było rękę żydowskiej fryzyerki, która zjawia się co rana, cuchnąca brylantyną i denaturowanym spirytusem.

Fryzury te klóciły się zupełnie z charakterem twarzy tych kobiet i raczej uwidoczniały ich wady, niż je zakrywały. Brzydkie, nieforemne chłopskie nosy uwidocznione były ściągnięciem włosów z czoła i nawinięciem ich na podkładki. Fryzury, odpowiednie dla jakichś dam ze sztychów Dufoura z XVIII wieku, szpeciły i ujawniały chamskie pochodzenie tych istot. Lecz one dumne były ze swego stroju, piękności i tych spojrzeń, które biegly ku nim. Siedziały bardzo spokojne i wyprostowane. Tylko nogi miały charakterystycznie założone jedna na drugą, tylko oczy ich latały skośnie na prawo i lewo, tylko bezustannie oblizywały językiem ukarminowane wargi.

Marysieńka już instynktem wiedziona odczuła, że pomiędzy typem kokotki na scenie a pomiędzy temi dwoma kobietami jest stanowczo coś wspólnego. Była przekonana, że gdyby dane im było odezwać się w tej chwili, poruszyć się — uczyniłyby to w tem tempie i w tym tonie, co ta aktorka na scenie. Tylko były o wiele grubsze, ordynarniejsze, bardziej pospolite.

Były bardziej... dziewczki. To było jasne.

Odezwał się dzwonek. Publiczność zajmowała swe miejsca. Zdzich, siadając, potracił jedną ze swych sąsiadek i rzucił ich afisz. Rzucił się pospiesznie, aby go podnieść, i z pięknym uśmiechem zaczął przeproszać za swoją niezręczność.

— Och! nic nie szkodzi! — odparła dama — proszę pana!...

Roześmiali się oboje. Zawtórowała im towarzyszka. Marysieńka uczuła na twarzy płomień. Poderwało ją, ażeby zerwać się i wyjść z teatru, ale powstrzymała się. Zresztą może się myliła.

Może to były uczciwe kobiety! Przecież »takim« chyba nie sprzedają biletów do krzeseł, gdzie mogą siedzieć porządne kobiety i całe rodziny uczciwych ludzi.

Lecz zbudzona jej uwaga pracowała już ściśle w tym kierunku. Przestała zajmować się sceną. Tembardziej, że w tym akcie kokotka nie pojawiła się na scenie. Rzecz się działa w domu kobiety zamężnej, która chciała się rozwodzić. Akcja zaczynała trochę się wlec, mimo usiłowań aktorów. Za uczciwie było na scenie, poprostu publiczność zaczynała tęsknić za atmosferą bardziej swobodną i podniecającą. Niezadowolenie przyzwoitej i kochającej męża żony nie wzbudzało zainteresowania. Zaczęto zajmować się sobą i lustrować się wzajemnie. To samo uczyniła i Marysieńka.

I oto, co dostrzegła.

Przed nimi siedziała jakaś para małżeńska nadzwyczaj *correct*, pięknie i poprawnie się przedstawiająca. Oboje nie byli nazbyt młodzi. Mężczyzna był siwiejący, ale bardzo czerstwy i do-

skonale zakonserwowany. Dama trochę zbyt pełnej tuszy w ślicznej, ciemnej, koloru caroubier sukni, cały wdzięk miała skoncentrowany w doskonałych rysach twarzy i niewymownie słodkim i pięknym uśmiechu.

Marysieńka widziała dokładnie tę twarz z profilu, gdy cokolwiek przechyliła się bokiem. Dostrzegła również, iż w czasie antraktu mężczyzna, stojąc oparty o poręcz krzesła, zamienił kilkakrotnie spojrzenie z podejrzanymi sąsiadkami Zdzicha. Zdawało się jej nawet, że one odpowiedziały uśmiechami, jak komuś znajomemu, lecz do czyjej znajomości przyznać się nie można. Pilnie więc zaczęła śledzić, co się dalej dzieć będzie. Przeczucie jej bowiem mówiło, że na tem nie skończy się porozumienie pomiędzy tymi pięknymi duchami. Po upływie pewnego czasu siwy jegomość przełożył rękę za plecy żony i niedbale opuścił ją za poręcz foteli. Ręka ta, rasowa, dobrze utrzymana, ujęta w biel mankietu, spoczywała przez jakiś czas nieruchomo, odcinając się dobrze na tle aksamitu. Zdawał się ten gest być wypadkowym i bez celu. Lecz nagle palce owej ręki zaczęły się poruszać, jakby coś sygnalizując, i wreszcie ułożyły się w ten sposób, że stanowiły najwyraźniej liczbę dwa.

Manewr ten powtórzył się kilkakrotnie, jakby ręka domagała się odpowiedzi. I otrzymała ją. Oto jedna z tych dam, do których znaki owe

były skierowane, afiszem, ułożonym w kształcie wachlarza, musnęła niby niechcąc dwukrotnie rękę mężczyzny. Wszystko to odbyło się składnie, sprawnie i zręcznie. Obie strony zdawały się wyćwiczone na tej drodze i nie po raz pierwszy występowały na tym terenie. Zaraz ręka mężczyzny, spełniwszy swe zadanie telegrafu bez drutu, cofnęła się dyskretnie. Cofając się, mężczyzna potracił lekko ramię żony. Przeprosił z całą galanterią. Ona uśmiechnęła się łagodnie i wytwornie. I znów siedzieli tak oboje bardzo poprawni, *correct*, szlachetni w liniach i wyrazie, przedstawiając idealną parę małżeńską doskonale ułożoną w zaprzęgu i chodzącą równo w manerze życiowym.

Po ciele Marysieńki przeszedł mróz.

Ten układ obrzydliwy, dokonany poza plecami ufającej kobiety, był czemś chyba najbardziej podłym, na co się ta banda zdobyć mogła. Nie miała teraz żadnych złudzeń. Te dwie były właśnie »takie«. I tu od nich wolną być nie mogła!

Nuda wiała ze sceny, nuda uczciwości i noszonej w paradzie godności własnej. Mimowoli dyalektyka nabierała przeważnego znaczenia. Kobieta, która chciała się rozwieść, oskarżała swego męża sucho i bez wzruszenia. Wysuwała swą nieskazitelną na plan pierwszy i żądała zaraz za nią natychmiastowej nagrody. Uważała to za normalne, konieczne i tem samem występowała

jako sędzia i strona poszkodowana, żądająca lichwiarskiej zapłaty. Ponieważ było to źle podane, surowo i bez wdzięku, zaczynało zakrawać na głupią konieczność.

Marysieńka to mimowoli odczuwała, jakkolwiek starała się wmówić w siebie, iż uznaje najzupełniej rację tej konieczności. Mimowoli przecież przestała się interesować tą całą sprawą. Co innego zaczynało ją żreć. Piekący niepokój.

Oto, jeśli te kobiety zdołały porozumieć się z tym siwym panem, siedzącym w rządzie następnym, to z jakąż łatwością mogą ucześcić i porozumieć się ze Zdlichem, który siedzi obok. Wystarczy trącenie łokciem, szepnięcie jakiegoś słówka. Jej obecność była słabą zaporą. Widziała to dokładnie. Na twarz jej uderzyły silne rumieńce. W głowie jej huczało. Zaczęła się dla niej prosta męczarnia rzeczy nieznanych. Wreszcie kurtyna spadła na tyradzie kobiety uczciwej, która głośno reklamowała swoją nagrodę i żądała, aby wszystkie jej popędy i pojęcia były uświęcone i uszanowane. Wszystko to roztaczała właśnie przed aktorem, grającym rozpustnego adwokata, lecz który w salonie »pani hrabiny« zdawał się najzupełniej zapominać o tem, że kolana jego w kancelaryi służą z całą sprawnością za taboret kokotkom.

Pobożnie wchłaniał w siebie tyradę damy, głoszącej z całą pewnością siebie, że ma p r a w o

do wszystkiego za swoje posłuszeństwo względem praw, ustanowionych przez społeczeństwo. Przytakiwał z obleśnym uśmiechem.

Niemniej przeto powiedział »uf!«, gdy pani hrabina mówić przestała.

Za nim powiedziała to »uf!« cała publiczność i przede wszystkim Zdlich.

— Uf! a to się rozgadała!

— Ma rację! — odparła twardo Marysieńka.

— Może... ale nudna... niech ją dyabli.

Rozległy się słabe oklaski, żadne w porównaniu do tych, jakimi obdarzono akt poprzedni, rozjaśniony przez humor, werwę i wdzięk kokotki. Marysieńka z goryczą zauważyła, iż nikt nie podtrzymał owych rekryminacji kobiety uczciwej. Wszyscy zachowywali się obojętnie, a kobiety trwożliwie i jakby wstydziły się przyznać do solidarności z mówiącą. Marysieńka odczuła, że i ona nie złożyła rąk do oklasku. I ona również siedziała niema i jakby przytłoczona tem, że owa cnotliwość przedstawiała się tak szaro, sucho i nie pociągająco.

— Pójdę na papierosa! — rzucił jej Zdlich — zaraz wróć.

Wyszedł, przeciskając się po kolanach kokotek. Nie wstały, aby uczynić mu wolne przejście, tylko uśmiechały się, podczas gdy je przepraszał. To wywołało pewien bunt w Marysieńce. Nic zdając sobie poprostu sprawy z tego, co

czyni, powstała ze swego miejsca i zajęła krzesło Zdzicha. Gdy to uczyniła, zrozumiała przyczynę.

— Tak... przedzielę ich!

Kokotka, sąsiadująca z nią, spojrzała na nią ze zdziwieniem. Potem zaczęła przypatrywać się jej nieznacznie, ukosem, rozbierając każdy szczegół jej postaci i stroju. Była to tortura dla Marysieńki, którą wytrzymywała, zacisnąwszy silnie wargi. Muzyka grała hałaśliwie jakiegoś walca. Jedna z kokotek kiwała do taktu nogą. Druga uśmiechała się bezmyślnie, parując tym uśmiechem spojrzenia mężczyzn, które znów ku nim biedz zaczynały.

Marysieńka chciała demonstracyjnie odwrócić się od swych sąsiadek, ale poprostu nie śmiała się poruszyć. Należała do rzędu kobiet, które odznaczają się w swej budowie tem, że mają krótki tułów, a długie nogi. Kokotki owe, przeciwnie, miały budowę proletaryatu: krótkie nogi i tułów długi. Siedząc, Marysieńka wydawała się dziecinnie mała. One dominowały nad nią i zdawały się o wiele wspanialsze. Czuła to, i miała nagłe wrażenie, że dźwigała garb na sobie. Z ulgą powitała ściemnienie się światła i rozpoczęcie widowiska. Równocześnie powrócił Zdzich. Zadziwił się, widząc żonę siedzącą na jego miejscu.

— Posuń się! — wyrzekł do niej szeptem.

— Nie! — odparła ostro.

— Dlaczego?

— Tutaj lepiej widać! — odrzuciła mu gwałtownie.

Chciał jej powiedzieć, że sąsiedztwo tych dam jest najzupełniej dla niej nieodpowiednie, lecz dojrzał na jej twarzy taki wyraz zaciętej stanowczości, iż usiadł w milczeniu na jej miejscu. Zaraz radośnie pograżył się w kontemplacji sceny. Aż biło bielą i masą *fraise* tkanin od tej sypialni kokotki, w której miał się rozgrywać akt tej sztuki.

I ona tam była, radosna i zabawna we fruwającym dokoła niej szlafroku z lekkiego *fraise* jedwabiu. Gdzie się zaczynało ciało tej kobiety, gdzie kończył jedwab, dostrzedz nawet nie można było, takie to wszystko było gładkie, miłe i lśniące.

W głębi sceny, na podwyższeniu, królowało łóżko o jedwabnej różowej kołdrze i szerokich wykoronkowanych poduszkach. Pawilon koronkowy na złotych sztangach zwieszał się nad łóżkiem. Złote parawaniki strzegły go. Białe skóry rozwłóczono po posadzce. Tualeta klasyczna »duchesse«, ze srebrnym lustrem stała w kącie. Było to *milieu* kokockie, tradycyjalne i uświęcone — *milieu* domów publicznych lepszego sortu i utrzymanek gorszego gatunku. Powiało od sceny ku mężczyznom tem znanem, ku kobietom nieznanem. I zaraz obudziło się zaciekawie-

nie i pewne ożywcze prądy przeniknęły salę. Wszystko, co było mówione na scenie, śmiało się, łaskotało, drażniło. Kokotka kręciła się, fruwała, pokazywała zęby, ramiona, łydki. Sklep był dobrze zaopatrzony, wystawa zrobiona należycie. Koncepty, ruchy, gesty, słowa witane były przez widownię, jako rzeczy dobrze znane i uznane. Grube, łaskotliwe śmiechy przebiegały dreszczem. Na scenie oczy aktorek, grających kokotkę, jej matkę, przyjaciółkę, subretkę, połykiwały, jak porcelanowe, piersi wydymały się.

— Zaraz będzie się rozbierać — poinformowała półgłosem jedna z kobiet, siedzących obok Marysieńki, drugą — powiadam ci, ma śliczną formę majtek. Zupełnie rodzaj plisowanej spódnicy, a przecież to majtki...

— Zobaczę!

Marysieńka, cała w ponsach, kurczyła się coraz więcej. Nie śmiała przysunąć się do męża. Czuła, iż jest cały wzięty przez prądy, bijące ze sceny. Od tych dwóch ćwierćświatówek były ku niej jakieś dojmujące ją bólem gorąca i przygwałdzwały ją do miejsca. Coraz więcej odczuwała w nich to fatalne uczucie, które przeszło ją przy zbliżeniu się do Zdzicha po jego rozmowie z dziewczką uliczną. I ten jakiś wstyd niepojęty, jakaś chęć zapadnięcia się w ziemię, aby nie być widzianą, aby nie asystować tryumfowi

tamtych, rozpanoszonych i pięknych w swem bezecnem zuchwalstwie.

— O widzisz!... widzisz! to są majtki!

— Nie, to spódnica.

— Majtki!

— Gadasz! policya-by nie pozwoliła.

— Głupia jesteś. Ma pod majtkami trykoty.

Jak ma trykoty, to wszystko wolno...

Na scenie aktorka powoli zabierała się do snu. Zdejmowała swoje łąchy umiejętnie. Była to pornografia dla pornografii. Celu w tem nie było. Ona sama była celem. Mężczyźni, którzy obojętnie przyjmowali rozdzielanie się swoich żon (często piękniejszych i stokroć więcej interesujących), dyszeli i otwierali usta. Sam Zdzich wysunął się naprzód i pożerał wzrokiem owe »trykoty«, podśmiechując się lekko.

Aktorka ujęła w rękę wstążki koszuli i dreszcz przebiegł widownię.

— Co będzie? co będzie?

Lecz ona z uśmiechem cofnęła się za parawanik.

— Szkoda!

Subretka wyciągnęła rękę. Przez parawanik spadać zaczęły części ubrania — jedwabne wężę pończoszek, płomienne kokardy podwiązek.

Drażniło to jeszcze więcej, niż poprzednie rozbieranie się.

Wszyscy byli radzi. Na scenę wpadł adwokat. Teraz będzie zabawa!

Zdzich odwrócił się rozplomieniony ku żonie:
— Doskonała sztuka!

Nie odpowiedziała nic. Była bez zdania, bez słowa, bez wiedzy. Wyschło jej w gardle. Zdało się jej, że naokoło ogarniają ją płomienie.

Gdy kurtyna zapadła na tryumfie dowcipnej rozpustnicy, gdy u nóg jej złożono serca, umysły, majątki, czas, pragnienia, słowem wszystko, co dać było można, widownia wybuchnęła gromkim aplauzem. Roześmiana sfrunęła raz jeszcze i lubieżnym uśmiechem dziękowała za uznanie. Pełnym wdziękiem wyczarowywała resztę złudzeń, kładąc wszechwładną dłoń na ludzkie egzystencye.

— Miałś rację... to były majtki! — zawyrokowała prawie głośno jedna z kokotek.

Zupełnie zuchwale patrzyły teraz te obie, biorąc część tryumfu scenicznego dla siebie. Z arogancją patrzyły dokoła. Siwy jegomość, z którym były w porozumieniu, rzucił im poza plecami żony rozbawione spojrzenie. Odpowiedziały mu prawie otwarcie, drażniąco, przyrzekając wzrokiem to samo, co scena przyniosła. Jakaś niecierpliwość ogarnęła cały teatr. Widoczne było, iż zaczyna kielkować naokół inne zakończenie wieczoru. Do Marysieńki nagle przylgnął ramieniem mąż.

— Doskonała sztuka! — powtórzył.

— — — — —

Gdy wracali do domu dorożką, miało ich kilka powozów, jadących w stronę ulicy Ciężarowej. Marysieńka zauważyła, iż byli to mężczyźni, którzy wsiedli, wychodząc z teatru równocześnie z niemi. Zdzich w ciemni podrzędnych uliczek objął ją miłośnie i przygarnął do siebie. Pochyliła głowę. Nie odsuwała się, lecz i nie przygarniała. Takie różne w niej kłębiły się wrażenia. Potrzebowała w tej chwili zupełnie czego innego, a nie zmysłowego uspokojenia. Właśnie tych zmysłów się wstydziła i jakby zapomnieć o nich chciała. Tymczasem Zdzich, podniecony, przypominał jej i czynił ją prostem narzędziem. Nić ją wiązała wspólna z tem łaskotaniem, wyniesionem z sali teatralnej. Chciała ją zerwać. Nie mogła. Gorzkniła cała. Jakaś głębia w niej powstawała, zarysowywała się...

Dziecko konało powoli. Lampka błękitna »nursery« migotała, ale już dogasając.

Wskazała ręką na mijające ich powóz dorożki.

— Jak dziś dużo w tę stronę jedzie! — wyrzekła jakimś dziwnym, ochryplym głosem.

Przycisnął ją bliżej. Ręka jego swawolnie zaplątała się pod jej płaszcz.

— Nie każdy ma taką śliczną, kochaną żonczkę!... — odparł filuternie.

Martwo poddała się i temu gestowi. W oczach jej pociemniało. Ogarnęły ją niewysłowione nudności. Jakies szpony ścisnęły jej serce. W tym

względnie była przez matkę poinformowana. Kto wie, czy nie były to oznaki ciąży. Chciała krzyknąć, rzucić się do Zdzicha w trwodze i jakimś uczuciu nieokreślonego rozrzewnienia, lecz nadleciała nowa dorożka, w której dwaj mężczyźni z wysoko podniesionymi kołnierzami u pałt zdawali się pędzić bez woli, wiezieni zuchwale i z obrzydzeniem przez silną, chmurną postać dorożkarza. W ciemni, w błocie pędzili ku jasnym jamom rozświetlonych domów, gdzie oczekiwały na nich bandy istot roztarganych, zionących perfumami, tytuniem i ciepłem, walających się w nigdy niewystygłej pościeli ciał.

Coś tragicznego było w tych brudnych rydwanach, wleczonych przez głodne i kościste konie. Czarniawemi masami zaznaczały się i zanikały z szumem zatapiających się w kałuże kół. I znów nadciągała nowa banda, milcząca orkiestra żalonych w swej szpetocie wesel. Pędzili oblubieńcy do oczekujących oblubienic, aby wyciągnąć z grobowych urn los, często znaczone śmiertelnym stygmatem zarazy. Kościste widmo ze skórą, napiętnowaną pieczęciami rozkładu, wabnie kusilo z poza otwartych gościnnie bram. O ciężkich, ohydnych połączeniach, chamskich palcach ręce wyciągały się z poza płomiennych firanek, które wicher rozwiewał...

Marysieńka przechyliła się nagle bezwładnie na skrzydło dorożki. Nudności, silnie zaakcento-

wane, odebrały jej prawie przytomność. Myślała przecież.

— To to samo, jak mama mówiła... jak mama mówiła...

Spazm szarpnął nią.

Ktoś z przelatującej znów dorożki zakrzyknął:

— Na zdrowie panience!

Zdawało się jej, że dostała oplutą ręką w twarz. Przeogromna duma wezbrała w niej. Zrozumiała, że ci ludzie mieli ją za pijaną dziewczkę. Drżącemi rękami przycisnęła łono, szalejące w niej spazmatycznie. Wyprostowała się hardo, jakby broniąc nie tylko siebie przed obelgą i zniewagą.

— Co tobie? — zapytał Zdzych.

— Nic! — odparła zuchwale.

XI.

Marysieńka zapragnęła »domu«, atmosfery rodzinnej, innej — koniecznej dla niej teraz, ażeby mogła w ciszy i odosobnieniu przetrwać wszystko to, co tak niespodziewanie zważyło się na jej biedną istotę. Zająście w ciążę przyjęła bardzo normalnie i naturalnie z fizycznej strony. Matka powiadomiła ją o tej sprawie i niespodzianką dla niej nie była ta »macierzyńskość«, która na nią czekała. Jak miało przyjść do tego — o tem matka nie uznała za stosowne i przyzwoite jej powiedzieć. Dość już, że i tak poszła z »postępem« — i mówiła z dziewczyną o rzeczach tak »nieprzyzwoitych«, jak ciąża i poród. Na zapytania jej, dotyczące związku zblżenia się do niej tego obcego mężczyzny a urodzenia dziecka, odpowiadała jej stereotypowo:

— Dowiesz się w swoim czasie!

I stąd wypadły te sceny nieświadomości posłubne, które tak zdziwiły Zdzicha. Stąd wypadło obecne jakieś nieporozumienie w głębi duchowej części Marysieńki. Nie umiała połączyć cudu zapłodnienia z faktem swego przyszłego macierzyństwa. Popadłszy nieszczęściem w samo centrum

zohydzenia aktu połączenia kobiet i mężczyzn i sprowadzenia go do prostej zabawy obcych sobie istot — odosobniła to, co było przyczyną i następstwem i rozerwała ten łańcuch ze zbrodniczą jakąś zaciekłością. Nie mogła pojąć, ażeby dziecko jej powstać mogło z takich samych za-pędów, jakie ongi gnały Zdzicha ku dziewczkom, jakie wiodły w noc czarną te tragiczne wehikuły, pełne mężczyzn, ku jaskrawo oświetlonym oknom.

— To — nie z tego! Dziecko nie z tego!.. — powtarzała uparcie w jakimś zapamiętaniu, tworząc ze swego brzemennego łona jakby kaplicę świętość chroniącą.

I dla tych samych nieokreślonych powodów zmilczała swą tajemnicę przed Zdzichem. Bohatersko ukrywała fatalne niedyspozycje, przesładujące ją bezustannie. Śmiała się i sugestyonowała sobie wesołość. Zdawało się jej, że spełnia jakieś heroiczne czyny, i uczyła się kłamstw — doskonalcąc się w graniu całodziennej komedyi. Dopiero nocą, gdy Zdzich zasypiał z ręką już nałogowo przerzuconą przez jej nieruchome ciało — leżała cicho, z oczyma wlepionymi w sufit, na którym odcinał się krąg jasny nocnej lampki. Wsłuchiwała się wtedy w swą własną istotę — dwoiła ją — asystując powolnie wielkiemu misterjum, które się w jej łonie odbywało. Nawet sformułować tego nie mogła. Za drobne, za za-

dne wydawały się jej znane dotychczas pojęcia. Nie mogła ich przystosować do tego ogromu tajemniczego, który ją wchłaniać w siebie zamierzał.

— I tylko matce to powiem... — postanowiła — matce najpierwszej i jedynej. Ona tylko jest godna... nikt więcej. Gdy ona wiedzieć będzie, niech się inni dowiedzą. Ale później — i od niej. Ode mnie tylko ona...

Ręka męża, opasująca jej ciało gestem posiadania, ciążyła jej niewypowiedzianie. Na łonie jej rozłożona bezwładnie kurczyła się chwilami, jak zwierz uspiiony, wpijający pazury w ciepłe podścielisko. Miała w sobie moc ślepych, nasyconych potęg. To, co w głębi łona kobiety kiełkowało w tej chwili, było tak delikatne, przesubtelne, prawie zdmuchnięte duchowo z regionów nieosobowości, że tłok tej ręki opadłej ciężko był raczej odruchem wrogim zamiast ochronnym, pomocnym gestem.

— Tylko matce jednej i to w jej domu, u niej — przy jej łóżku klęcząc, powiem...

Równocześnie przesuwali się w jej myśli wrażenia wielkiej czystości tego wnętrza domowego — tego całego miasteczka, o uliczkach cichych, wieczorami pustych — obramowanych ogródkami, pełnymi wonnych kwiatów, jak kadzielnice. Gdzieś niedaleko migotały latarnie, z okien najczęściej niepozastawianych płynęły równe światła dobrze

w ruch puszczonej, uczciwych wnętrz. Ludzie, żyjący w tych domach, nie kryli się z treścią swego istnienia. Razem z wonią kwiatów dozwolali jej wypływać w świadomość uliczną całą seryą gestów i czynów nieszkodliwych, nie czających się na całość i dobro tych, którym obok nich żyć było przeznaczone. Było to na pozór ciasne i bez polotu — a przecież w łańcuch spójne i zebrane urastało w wielką, niezaprzeczoną konieczność. Miejsca tam nie było zwłaszcza na »małe pokazy«, z których się tworzą wielkie szczyby życiowej równowagi. I to było główne.

I nagle Marysieńce, wpatrzony duchowo w atmosferę tego cichego miasteczka, o białych dworach z kolumnkami ganków, na wzór miniatury świątynek dla domowych bóstw stawianych, przyszła taka myśl do głowy:

— Tam... ich niema! Tam takich kobiet niema! Co oneby tam robiły! Gdzieżby się mieściły!... Dlatego tam tak rozkosznie, miło, czysto!...

I cała pierś jej wezbrała jedynym pragnieniem. Odetchnąć tem powietrzem wiosennem tak jej znanem, tak ukochanem! Drobniuchna zieleń krzewów i drzewek, zielone mieczyki irysowych liści — trawka leciuchna, jak puszek, i świergotanie gnieźdzących się delikatnie jakichś tajemniczych ptaszków. Wszystko to, gdy się okienko wieczorem otworzy, przez biel śnieżną muśli-

nowych firanek bije prosto w twarz, łagodnie muska, pieści, kocha...

Wszystko to — takie blizkie, uśmiechnięte, rozmodlone, własne.

Gdzież tam mogłaby sunąć wzdłuż sztachet prostytutka — czarna, straszna, grozy pełna? Gdzież tam mogłyby zajeżdzać dorożki, a z okien o czerwonych firankach wychylać się ledwo odziane dziewczki? Czy z tych dworków białych o czterech kolumnkach, pomiędzy którymi widać zielone skrzyneczki z przesiewaną płomienną nasturcją?

Tam i c h niema!!! — niema!!! — niema!!!

— — — — —

Wypadek usłużył Marysieńce. Dostała kartkę, w której siostra jej młodsza donosi, że matka nie ma się dobrze i od dwóch dni leży w łóżku.

— Influenza — a może co płucnego.

— Pojadę! — zadecydowała gorączkowo.

Zdych się nie sprzeciwił. Był w fazie, gdy mężczyzna nagle przesyca się ciepłą obecnością kobiety. Jest w każdym pożyciu dwojga taki nagły zwrot. Faza przejściowa. Potrzebują zostać sami — wyparować ze siebie to wchłonięcie drugiego. Zejdą się znów chętnie i z tęsknotą. Ale rozejść się muszą.

— Będiesz codzień pisać! — upomina ją przez grzeczność.

A potem zapewnia:

— Wezmę dzienny urlop i przyjadę po ciebie.

— Tak! tak!...

Gdy znalazła się sama w wagonie, przeraziła się pustką, jaką doznała nagle obok siebie. I zrozumieć nie mogła, czy to był brak Zdzicha, czy właśnie przeciwnie, nieodczucie zupełne tego braku. Czuła tylko, że nie jest tak, jak być powinno i jak się spodziewała. Ponuro zasunęła się w kąć wagonu. Sylwetka męża, który uśmiechnięty powiewał ku niej kapeluszem na peronie, nadzwyczaj szybko znikła z jej pamięci.

Jakby coś zerwało się pomiędzy nimi, jakieś codziennie zadzierzgane pęta. Nie podeszła do okna, nie patrzyła na znikające miasto. Przeciwnie zacisnęła powieki. Otworzyła je wtedy, gdy poczuła, iż idzie ku niej świeży powiew od pól.

— Nareszcie!... — wyszeptala, otwierając szeroko oczy.

Wchłoneła szerokie przestrzenie, po których szmaty młodej zieleni już się rozsnuwały. Zdaleka majaczyły ciemno-szafirowe płyty lasów. Jakieś kilka krów pasło się nieśmiało i dwie małe bosc dziewczynki przypatrywały się naiwnie przelatującemu pociągowi.

— Boże mój! Boże mój! — łkało coś w głębi piersi Marysieńki — wiosna, ludzie... inny świat... inny... inny...

Dziecinnie, jasno załśniły się jej oczy. Dwie łezki zadrgały na jasnych rzęsach i pozostały jak

kropelki rosy, czekając na słońce, ażeby je wy-
piło. Ręce zacisnęła na piersiach gestem miluch-
nej, dziewczęcej ekstazy. Nagle odmłodziła, dzie-
cko jakby powstało z uśpienia.

Była piękna tą pięknością, którą ma w sobie
każda kobieta w chwilach, gdy oswobodzi się
z zewnętrznych wpływów i rozkrawnieje pry-
mitywną jasnością wewnętrzną. Taka, jak była
w tej chwili, Marysieńka nie mogła być tą, która
wiedziała o istnieniu prostytutek, której mąż całe
długie godziny opowiadał, jak tam jest w tych
norach patentowanych i tolerowanych — przed
którą roztaczał swój repertuar, pozbierany z ustek
tych dam i ich otoczenia. To dziecko, wpatrzone
w ruń wiosenną, rozmodlone poprostu ekstazą
żywą, nie miało nic wspólnego z ciemnią ulic
o charakterze dwuznacznym, po których jęcząc
łamała swe skrzydła jej dusza.

I gdy wbiegła na próg domu rodzicielskiego
w swym nowym szarym, podróżnym płaszczyku —
i przypadła im wszystkim do ramion, piersi, matce
do nóg — było coś w tym pośpiechu, tej radości
bardzo znamiennego, coś z ptaka, chroniącego
się w gniazdo, które niebacznie opuścił.

Lecz nikt tego nie odczuł. Nikt nie rozumiał
tego spojrzenia, z jakim Marysieńka ogarnęła
krąg lampy, bielejący się na ceracie stołu, z jaką
ulgą oczy jej odpoczęły od brutalnego światła
elektryki i jak ona cała przypadła ze złożonymi

skrzydełkami do tego domowego kręgu, gdzie
tak cicho, tak dobrze, tak jakoś czysto było...

— Znoś rzeczy panienki! — wołała z łóżka
matka już zdrowsza i widokiem córki uszczęśli-
wiona.

Pokojowa, rosła dziewczyna, uczesana śmie-
sznie, pretensjonalnie, parsknęła śmiechem na
to »panienka«. I roześmiali się wszyscy zdro-
wo, wesoło. Roześmiała się i Marysieńka. I w je-
dnej chwili odczuła, że nie mogłaby uczynić to,
co postanowiła. Oto chciała poskarżyć się im,
powiedzieć, że dławi ją zmora win niepełnio-
nych, że kroczyć musi teraz w tak dalekich, ba-
gnistych terenach, iż zgroza-by ich ogarnęła,
gdyby odczuli jej nędzę. Lecz ten spokój naiwny
i bezdenny, który każdy z tych ludzi zdawał
się nosić w sobie, jak lampę kryształową i ró-
wno płonąca, stanął nagle na straży i nie do-
zwolił Marysieńce zedrzyć zasłony, poza którą
weszła.

— Nie powiem im nic! nic! — postanowiła —
nic z tego bagna. Oni o tem wiedzieć nie mogą,
nie powinni.

Natomiast inna w niej chęć zbudziła się całą
siłą. Chęć przyznania się, pochwalenia jakoby,
że ma stać się — matką! Tu właśnie, w tej cza-
rującej rodzinnej ciszy, słodka jej tajemnica na-
bierała odpowiedniej świętości i wagi. Zdawało
się jej, że już składała białe dzieciątko o złotych

włoskach w kręgu tej domowej lampy, a wszyscy pochylali się nad niem, śląc mu uśmiechy i dobre słowa. Z poza otwartych okien płynęła rozkoszna cisza nocna, a małe ogródki znaczyły się kępkami wczesnie rozkwitłych stokrotek, jakby płatami zastygłego śniegu. I chciała zawołać: — »Przynoszę wam wielką, cudną nowinę, wam cichym i pokornym, o czystych, dobrych duszach w tym białym, skromnym dworeczku. Wy ją odczujecie, ukochacie wraz ze mną. Dzieciątko moje niosę! dzieciątko!...«

Ale jedno spojrzenie, jeden uścisk, zamieniony z matką, powstrzymał ją od tego. Błada była ta matka i nagle postarzała, z piętnem zmęczenia na twarzy. Dziś Marysieńka wczuła się w tę bladeść i pojęła jej przyczynę.

Matka była zmęczona życiem, zmęczona staraniem, które dokoła nich podejmować musiała. Marysieńka uklękła przy łóżku i patrzyła długą chwilę w duże, zrezygnowane, siwe źrenice. Taki wyraz oczu mają zwykle istoty, zbratane ze wszystkimi rodzajami smutku. I choć chciała radośnie przywitać swą córkę, smutek już przeważał. Bolesne opuszczenie kącików ust przywarło się dośmiertnie. Objęła córkę za szyję. Zbyt krochmalny kaftanik czyściuchny zaszleściwał.

— Szczęśliwa jesteś? — wyszeptwała.

W pocałunku utonęła odpowiedź Marysi. Za łóżkiem matki stanął nagle ojciec. Stroskany da-

wał jej jakieś porozumiewawcze znaki. Zrozumiała instynktownie, iż matkę oszczędzać należy.

— Zdzich ma wyjazd na linię, więc skorzystałam z urlopu... jestem, stęskniłam się za wami... przyjedzie po mnie! — szczebiotała.

Odzyskała swój pieściwy, dziecinny ton mowy.

Ojciec uprowadził ją z pokoju pod pozorem zdjęcia z niej wierzchniej odzieży.

— Słuchaj! — wyrzekł złamanym głosem — z matką jest źle. Influenza jesienna ją zjadła...

— Płuca?

— Nie — badano mocz — jest biało. Organizm zniszczony. Lękamy się o serce. Należy chronić ją od wszelkich wzruszeń.

Zamilkł. Patrzyli oboje na siebie zgnębieni. Dostrzegła, że miał oczy całe podbiegnięte krwią.

— Chwała Bogu przynajmniej, że wydaliśmy ciębie już za męża! — westchnął.

Wziął za czapkę.

— Idę na służbę!

Wyszedł — zgarbiony. Sylwetka jego miała cechy zbliżającej się starości. Czuć było, iż nie będzie jej stawiał oporu.

Do pokoju wsunęła się służąca.

— Wielmożna pani pozwoli, ja rozepnę bluzkę.

Zaczęła szybko i sprawnie rozpinać zatrzaski. Palce jej dotknęły nagich pleców Marysieńki. I przez krzyż młodej kobiety przebiegł znów stra-

szny prąd, tak jej znany. Sieczenie rozpalonej różgi. Wyrwała się z rąk służącej.

— Nie trzeba!...

Dziewczyna patrzyła na nią przez chwilę zdumiona. Nie zrozumiała gestu Marysienki. Co więcej, i Marysienka go nie rozumiała.

— Dziękuję ci — rozbioreę się sama! — wyrzekła, usiłując być uprzejmą.

Dziewczyna wyszła. Marysienka patrzyła za nią przez chwilę. Była duża, rosła — blondynka — piegowata, z włosami podniesionymi na podkładce w formie abażuru.

— Ot... typowa sługa! — powiedziała prawie półgłosem Marysienka, jakby sugestyonując się.

Obejrzała się. Był to jej paniński pokój. Delikatnie migotała świeca, postawiona na rogu umywalni. Zmieniono trochę ustawienie mebli. Młodsza jej siostra »wprowadziła się«. Była to sportowa panna. Trochę z tego nacechowało wnętrze pokoju. Marysienka otworzyła okno i wychyliła się. W ciemnych koronkach krzewów i czarującej woni ziemi odnalazła swą młodość niezmienną.

— Matka! matka chora!... — było główną jej troską.

Przynajmniej usiłowała, aby tak było.

— Ojciec powiedział... że dobrze, iż mnie za mąż wydali... och!...

Od wnętrza zawył w niej i porwało ją w tę

ciszę bezdenną, jaka szła ku niej od usypiającego miasteczka.

— Gdyby mnie byli nie wydali, żyłabym w tej ciszy... nie wiedziałabym nic, nic, nic! — jak matka, jak siostra!... Teraz wiem! Jezu! Jezu!

Z oddali zabrzączały ostrogi. Ciemne dwie sylwetki żołnierzy przesunęły się wzdłuż sztachet i znikły. I to nie było obce Marysienice. Miasteczko było pełne żołnierzy. Koszary. Nie przeszkadzali jej. Wchodzili niejako w pejzaż. W dzień barwne ich stroje dodawały kraszy zieleni małych ogródków.

We drzwiach stanęła siostra.

— Mama cię prosi!

— Idę!

Lecz idąc, nie miała już tej radości, co dawniej. Czują, że nawet obwieścić nie wolno jej w pocałunku i u dłoni matki — radosnej tajemnicy jej łona. I radość zabija — wiedziała, że dla tej szarej, spracowanej, biednej egzystencji to »do-czekanie się« wnuka może być wielkim, epokowym zdarzeniem. I nagle zawiąło jakimś smutkiem — jakby się coś skradało wzdłuż ścian i czarnym cieniem rozwianych skrzydeł dokoła łóżka matki się kładło.

XII.

Ale nazajutrz matka siłą woli podniosła się z łóżka i z uśmiechem zaczęła snuć się po pokojach. I odetchnęło wszystko. Łatwo odczuć można było, że na tej pajęczej istocie zawisła dusza całego domu. Wszystko przybrało inny pozór — nabrało cech żyjących. Ona uśmiechała się do tego wszystkiego i szła cicho z kącika do kącika, budząc uśpione dobre moce. W ślad za nią szła Marysieńka, nie chcąc ani na chwilę rozstać się z matką. Dziś, gdy poznała, jak ściśle łączy się istnienie dziecka z duchową stroną kobiety — matka nagle wstąpiła w jej oczach na jakiś piedestał świątynny. Opromieniała ją ponadto możliwość niebezpiecznego cierpienia — to »odejście« w nieznanie i niepowrotne drogi.

— Ukochana! nasza!... — drgało w piersiach Marysieńki — ukochana! święta!

I cały ten dom, w jasności dziennej skąpany, wydał się Marysieńce taki święty, godny schronienia myślom i czynom z czystej wyrosłym podstawy. Te sprzeczki, tak gorliwie chronione od zniszczenia, ubogie dywaniki czyszczone staran-

nie, cerowane firanki, kwiatki sadzone w wazonikach, fuksye z drabinkami, garnuszki malowane na owe wazoniki — cały ten wdzięk, wypływający z przeżyć, w których nie było miejsca na kłamliwe oszustwo fałszywej moralności. I co więcej, Marysieńka czuła, że tu jest brak zupełny pożądania i skradania się po »niemoralność«, która w pojęciach istot płaskich nadać miała moc i odwagę wartościowym jednostkom. Wszystko było tu proste, skromne i naturalne. Ta skromność i naturalność były tak ściśle z sobą sprzęgnięte, iż wytwarzały same przez się Ideał. Dlatego o fałszywy ideał nie chodziło tu nikomu. Zdawało się, iż nikt tu nie grał — i nie poniżał się tem graniem.

Marysieńka, która przez jakiś czar, w domu męża i w środowisku miejskiego bagna wchłonęła w siebie usiłowanie dowiedzenia jej, że podły gatunek zadowolenia chuci jest koniecznością i musem — z rozkoszą i radością witała to, co brała za dowody, obalające tamto przekłete dla niej »dowiedzenie się«. I czarem rzeczy prostych odegnać zdołała to, co, zdawało się jej, wrosło tak strasznie jakby trujący grzyb w jej mózg, w jej duszę. Zajmować ją zaczęły drobiazgi i wdzięk ledwo wyczuwalny ślicznych, nieśmiałych spraw, poczętych i rozwijających się w czystych wyobraźniach, niezwalczanych złym smakiem bezczelnego ironizowania. Dzień cały, roz-

jaśniony dźwiękiem sygnaturki, której nie kładź żaden zaspany nocny włóczęga, płynął lekko, nie niosąc za sobą żadnych zbłoconych i gnijących trupio odpadków egzystencyi. Dawała unieść się tym drobniuchnym, dzwoniącym o brzegi falom z rozkoszą i gdy podano jej list męża, leniwie sięgnęła po dużą, biurową kopertę.

— Co pisze? — pytała siostra, trochę śmieszna w swej zbyt krótkiej paskowanej sukience — co pisze?

Z koperty wypadła pocztówka. Na niej rozpanoszała się bardzo ładna francuska dziewczka przy tualecie — w majtkach koronkowych, czarnych długich pończochach i z cacanie ufryzowaną główką. Śmiała się do siebie samej w lustrze, pudrując się.

»Maryś!« — pisał Zdzych — »znalazłem tę kartkę — podobała mi się, więc ci ją posyłam, ale kładę w kopertę, aby się tam nikt u ciebie nie zgorszył. Znajduję, że ta na kartce ma trochę podobny pyszczek do Marysia. Co? Jak myślisz?« Marysieńka zmarszczyła brwi. Tak daleko była w tej chwili od tego światka... Chciała czytać dalej, lecz wzrok jej dostrzegł, iż następujące zdania były całą falą rozpustnych słów, poskładanych w formę pieszczoty. Był to zwykły, naturalny sposób, w jaki traktował ją mąż. Czyniąc to, postępował zupełnie naturalnie. Lecz na nią podziała to, jak iskra elektryczna. Przez te kilka dni

odwykła od tego. Zadrżała i mimowoli upuściła z ręki kartkę.

Siostra jej rzuciła się łakomie, podniosła i podawała jej powoli, usiłując przeczytać.

Porwała się — wydarła jej z ręki kartkę i poszarpała ją w strzępy.

— Nie czytaj! dość, że ja...

— Dlaczego? Przecież to od twego męża.

— Tak... właśnie...

Pozbierała kawałki, lękając się, aby ciekawe dziecko nie poskładało z nich całości.

— Co on ci mógł takiego napisać? Obraził cię — co?

Zacisnęła zęby.

— Tak, obraził mnie!

Odeszła. Zamknęła się w swoim pokoiku i leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszki. Przedtem spaliła skrzętnie poszarpany wizerunek dziewczki w majtkach.

To *autodafé* uspokoiło ją trochę.

— Och, gdyby tak i ten kąt mózgu, w którym jest wiadomość o nich...

Powoli cisza poobiednia, rozkoszna cisza wiosenna ogarnęła ją całą. Tonęła w niej, jak w falach młodego zboża. Bardzo daleko — w ogrodzie któregoś dworku pracowały dziewczyny wiejskie i śpiewały na dwa głosy jakąś monotonna piosenkę. Marysieńce zdawało się, że to ktoś nuci dla niej kołysankę. Uśmiechnęła się

i zamknęła oczy. Zdawało się jej, że jest małą dziewczynką i że wszystko czuwa nad tem, aby nie przerywano jej spoczynku. Zaczęło jej być znów słodko, dobrze, miło.

Usta jej rozchyliły się do uśmiechu. Zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, matka siedziała przy jej łóżku. Spojrzały na siebie z miłością.

Wyciągnęła ręce.

— Mamo! — wyrzekła zaspanym głosem.

— Nie śpisz już? — zapytała matka.

— Nie!

— Mówiła mi Jadzia, że dostałaś list od męża... że...

— Tak!

— Że coś tam było, co cię ubodło?

— Ach! drobnostka. Nie mówmy o tem.

Twarz matki pobladła w półcieniu.

— Jak chcesz!... nie będę wdzierać się w twoje tajemnice.

Marysieńka przylgnęła matce do ręki.

— To są drobnostki nie warte rozmowy — usiłowała uspokoić matkę.

Otworzyły się drzwi.

Weszła pokojowa. Była ubrana, jak do wyjścia, w kapeluszu — w bluzce liliowej i kostyumie granatowym. Jej ogromna, dziwnym serwilizmem napiętnowana twarz rozlała się bladą maską pod rondem dużego kapelusza. Pochyliła się nad ręką matki Marysieńki.

— Idę!

Obojętnie odparła jej pani domu:

— Idź, ale wracaj prędko, żeby kucharka na czas zdążyła.

— Dobrze.

Dziewczyna wyszła, skrzypiąc bucikami. Marysieńka śledziła ją z niesmakiem.

— Gdzież one idą? — spytała — czy do spowiedzi?

Smutny uśmiech okrążył usta matki.

— Do spowiedzi! — powtórzyła — moja kochana... do spowiedzi! Teraz jesteś już zamężna, życie nie ma dla ciebie tajemnic. One idą... do rewizyi, tygodniowej rewizyi.

Marysieńka wielkimi oczyma patrzyła na matkę.

— Jakto, mamó? jak to rozumiesz?

— Prosto zupełnie. Są meldowane w policyi, mają książeczki i muszą stawiać się co tydzień do rewizyi.

Marysieńka porwała się i usiadła na łóżku. Ruchy jej, wyraz jej twarzy cechowały zgrozę i przestrasz.

— Więc... one są...

Matka poważnie skinęła głową. Na jej twarzy napiętnowana była rezygnacya.

— Tak... niestety! są! — odparła.

— I wy je trzymacie tu!... w domu!

Bezradnie rozłożyła matka ręce.

— Musimy, moja droga! Co więcej, staramy się mieć takie właśnie zarejestrowane sługi. Pomyśl tylko — koszary, mnóstwo żołnierzy. Żadna dziewczyna nie ostoi się przed nimi. Strach i groza przed nieszczęściem, zarazą. W ten sposób jest choć cień bezpieczeństwa...

Z piersi Marysieńki wydarł się głuchy jęk.

— I tu... i tu...

Upadła na łóżko. Lecz łez nie miała, tak jak tam, w domu męża. To było stokroć gorsze. Zdławiło ją i zeżarło w jednej chwili. Zdawało się jej, że jedyny dach, jaki miała nad głową, zawalił się i przygnoił ją swym ciężarem. Powtarzała tylko niesamowitym, dziwnym głosem:

— I tu! i tu...

Matka zdziwiona nachyliła się nad nią.

— Co tobie, Marysieńko? co... i tu?

Porwała matkę za rękę. Wpiła się w nią oczyma.

— I ty znosisz tak spokojnie ich obecność obok siebie, obok ojca, obok dzieci?

— Jakich... ich?

— Tych przeklętych, tych podłych dziewczek, tych...

Łagodnie matka przesunęła rękę po czole Marysieńki.

— Powiedziałam ci, że to konieczne. Muru głową nie przebije! Wszystkie panie zgodziły się na to. Uznałyśmy, że to jeszcze najlepsze. A potem cóż? Ojca to nie razi, dzieci nie wiedzą...

— A ty? a ty?

— Moja droga, ja mam o czym innym myśleć i czym innym się kłopotać. To trochę ważniejsze, jak koniec z końcem związać. I coś ci więcej powiem. Taka sługa jest nawet uczciwsza — nie bierze koszykowego. W naszym biednym budżecie to jest rzecz nie do pogardzenia...

— !...

— No tak, tak.

Marysieńka usiadła na łóżku, jak posąg zimna i zdrętwiała.

— Tak, tak. Zapewne! — potwierdziła z ironią — to są rzeczy ogromnej wagi. Ale powiedz mi, matko, czy w twojej głębi tak aż na samym spodzie twojej duszy nic się nie buntuje — nic nie krzyczy ze wstrętu?...

Szeroko rozwarłe źrenice wpatrywały się w matkę, jak źrenice kamiennych figur. Na pozór martwe, ale tak surowe i błagalne zarazem.

— Och! — odparła matka — może dawniej z początku tak było, ale przyzwyczyłam się.

— Przyzwyczyłaś się?

— Skoro inaczej być nie może — skoro tak być musi...

— Powiedz... powiedz... więc o ne być muszą na świecie? Muszą?

— Widocznie, skoro są od wieków.

— Skoro są od wieków!

Ręka Marysieńki nerwowo zaciskała się około ręki matki.

— A kto to postanowił? Czy mężczyźni... czy może one same, kobiety?

Matka milczała długą chwilę. Po raz pierwszy podobna kwestya stanęła jej przed oczyma.

— Kto je wytworzył? skąd one się wzięły?...

Bezsilnie opadła matka na krawędź łóżka i cichym szeptem odparła:

— Nie wiem, nie wiem nic! dość, że są. Musimy je przyjąć, jak dużo innego zła, Marysiu! Dość, że są!

Objęła córkę rękami.

— Dlaczego się tak tem denerwujesz? Nie myśl o tem, moje dziecko!

— Jak nie myśleć!... jakże nie myśleć! przecież one są pomiędzy nami, przecież one się ocierają o nas moralnie, fizycznie... one...

— Ach! co też ty mówisz. Powtarzam ci, najlepiej nie myśl o tem. Zapomnisz nawet, że są.

Marysia krzyknęła ostro:

— Nie można, nie można zapomnieć!

— Chciej, to zapomnisz.

— Ale ja nie chcę!

Oczy jej zaświeciły ostrym blaskiem. Łagodne światło zachodzącego słońca, płynące przez okno, przyćmione liliową bielą czystych firanek, przeszył ten ostry i buntowniczy blask oczu młodej kobiety. Zacerwienione, smutne,

zrezygnowane źrenice matki sparowały uległe ten buntowniczy odblask wewnętrznej, strasznej rozterki.

— Cóż ci to pomoże? — spytała przygaszonym tonem — siebie zdenerwujesz a stanu rzeczy nie zmienisz. Dziać się będzie tak zawsze. Wszyscy się na to zgodzili, zaadoptowali. I ci tam w górze — słowem wszyscy! Nie nasza rzecz badać przyczyny. Widocznie mądrzejsze, niż nasze, układały je głowy. Nie nam iść przeciw ustawom i rozporządzeniom władz w tym kierunku. Zresztą, gdyby to nie było konieczne, pomyśl tylko, co by się działo! Tylu mężczyzn nieżonatych... Boże drogi!

Marysieńka czuła, że każde słowo powiększa jej szal i rozterkę, która w niej szaleje. Prawie bezprzytomna ścisnęła rękę matki z niepojętą dla niej siłą.

— Dość już, nie mówmy... tylko jeszcze jedno... Czy, gdy byłam dzieckiem, podlotkiem, dziewczyną — te — te... istoty były już w domu?

— Prawie od chwili naszego sprowadzenia się do tego miasteczka! — odrzekła pokornie matka — musiałam przyjąć ten stan rzeczy. We dwa lata ułożyłyśmy się ze znajomymi paniami, iż nie będziemy się sprzeciwiać godzeniu się na służbę tolerowanych dziewczyn... Główną przyczyną były dwa straszne wypadki zaraźliwej choroby, którą dziewczyny nie podlegające przepi-

som zawlokły do domów swych służbodawców. Cóż miałyśmy wobec takich groźnych faktów zrobić? powiedz sama!

Marysieńka milczała. Powoli bladość okrywała jej twarzyczkę. Oczy jej gasły. Taka sama, a może bardziej wzmozona bladość okrywała i twarz matki.

Zapadło milczenie. Nad oknem cichły powoli szczebioty ptaszków. Ziemia słała coraz silniejsze i bardziej upajające wonie. Gdzieś, z oddali dziewczęce głosy podjęły znów swoją monotonną piosenkę. Do drzwi zapukał ktoś lekko.

— Proszę pani, Zosia już wróciła. Ja idę!...

Marysieńka nerwowym ruchem wtuliła głowę w poduszki. Matka podniosła się szybko, na ile ją stać było sił, i wyszła z pokoju.

Drzwi zamknęły się.

Marysieńka pozostała sama.

— — — — —
I teraz zapadła na nią najcięższa może chwila. Druzgotało się w niej to wszystko, co ją podtrzymywało i było dla niej świętością. Płonął jej... rodzinny dom! Wiedźmy z chichotem przeklętym podniecały ten pożar i rozżarzały go. Lata jej dziecinne, tulenie się do kolan niańki, zasypianie na jej rękach, ta opieka łagodna, zastępująca matkę — wszystko to zawdzięczała piętnowanym prostytutkom! Przypominała sobie następnie z ironią dalsze lata, te chwile, gdy szła na pensję

konwojowana dla przyzwoitości przez służbę, która była tolerowaną ulicznicą! I wszystko, wszystko czerniało w tej chwili, przybierało okropną barwę — zapadało w błotniste kałuże. Nie miała się do czego zwrócić, do czego uśmiechnąć, do czego rąk strzelistym ruchem modlitwy złożyć. Całe jej rodzinne gniazdo zdawało się otoczone wałem z błota cuchnącego i nieprzeniknionego. Światło, jasność, blaski, do których z taką radością przygarnęła się zgnębiona — przyćmione były zupełnie i zamaryły.

Gdy poproszono ją na kolację, zawlokła się do rodzinnego stołu i milcząc zajęła swoje miejsce. Była tak blada i zmieniona, że wszyscy zauważyli tę zmianę. Z troskliwością zaczęli wypytywać się, co się z nią dzieje. Wymówiła się bólem głowy.

Matka jedna nie zapytała jej o nic. Marysieńka czuła jej wzrok smutny w nią utkwiony, lecz nie zareagowała uspokajająco. Koło stołu kręciła się Zośka wystrojona, w sukni, w której chodziła na rewizję. Gdy zbliżyła się do Marysieńki z półmiskiem, ta odsunęła ją gwałtownie.

— Nie będę jadła! — odrzekła twardo.

— Napij się herbaty! — zaproponował troskliwie ojciec.

Zośka rzuciła się do samowara, lecz Marysieńka zwróciła się do siostry:

— Jadziu! ty mi nalej! proszę!

Powoli piła herbatę, nalaną przez siostrę. Całe kółko rodzinne pozostawiło ją w spokoju, sądząc, że naprawdę cierpi na silny ból głowy. Zajęto się codziennymi, drobnymi sprawami i szybko utonięto w nich. Ona z bólem serca śledziła ten rozwijający się tak miło tok życiowy, w którym już wziąć nie mogła udziału. Światło bowiem, które rozjaśniało ten dom, dla niej zagasło. Stukot obcasów u lakierowanych pantofli Zosi dziwnym echem odbijał się w jej mózgu. Dojrzała, iż najmłodsza jej siostrzyczka specjalnie garnęła się ku tej dziewczce. Ona łagodnie, miłośnie zwracała się do dziecka. Nałożywszy kompotu na kryształowy spodeczek, pogłaskała małą po głowie. Marysieńka porwała się od stołu.

— Czy ci gorzej? — zapytał ojciec.

— Tak! źle mi bardzo. Nie mogę już wytrzymać.

— Ach, tak! najlepiej połóż się! Zosiu, idź, pościel pani łóżko.

Szybko wysunęła się Marysieńka z jadalni. Za nią szła Zosia. Gdy dziewczyna zbliżyła się do łóżka i dotknęła kołdry, Marysieńka krzyknęła zmienionym głosem:

— Nie trzeba! ja sama!

— Ja pościelę...

— Nie rusz! idź stąd!

Na progu stanęła matka.

— Marysieńko!... — zaczęła, lecz widząc zmienioną twarz córki, zwróciła się do sługi:

— Odejdź!

Gdy zostały same, matka zbliżyła się do Marysi, która prawie nieprzytomna stała z oczyma przymkniętymi, oparta plecami o ścianę.

— Nie bój się jej! Dziś ona właśnie jest zupełnie bezpieczna.

— Ja się jej nie boję! — odrzuciła przez zęby Marysia.

— Więc czemu?

— Ja jej... nienawidzę.

XIII.

Do okna znów się dowlokła i przegięła przez nie w milczeniu. Owiął ją czarowny chłód wiosennej nocy. Świeżo skopane grządki ogródka rozkosznie pachły, obietnic pełne. Oczy jej dojrzały w ciemni lazuruwej białe filarki uspionych dworków. Szarpnęła się cała nienawiścią i wstrętem. Odwróciła się i położyła na ramie okiennej, zwrócona twarzą do nieba. Ręce jej rozkrzyżowane zwisały bezwładnie. Twarz pobladła i wydłużona przywitała tępo miliardy gwiazd, świecących nad jej głową.

Gdzieś — w oddali zaznaczał się wążuchnym rąbkiem nów księżycy. Bezmiar ciszy, majestat ogromu rzeczy niedoścignionych pochwylił ją. W ten sposób odcięła się spojrzeniem od błotnego terenu drobiazgów codziennych. W ślad za spojrzeniem pobiegła myśl. Dostawała skrzydeł, wyodrębniała się. Zdawało się Marysi, że w ten sposób zdobywa prawo obywatelstwa i dopiero teraz staje się sobą.

Bunt w niej stygł, przycichał, lecz nie marł. To czuła. Jednak i za to była wdzięczna światło-

ści gwiazd i czystym przestworom, które ją chłoneły. Wraz z dzieckiem w łonie »zrywała ugode«, którą jej jako mus do wyżywienia się podawano. Przyjmowała raczej trutkę głodu w swoim i jego imieniu, jak dostatnie jadlo, złożone z przegniłych i sokiem trupim ociekających pierwiastków. Usta jej drżały i rozprężyły się w jakiejś zamierającej skardze, przechodzącej w modlitwę. Nie miała komu powierzyć swej rozkosznej tajemnicy, z którą przyszła w progi tego cichego domu. Uciekła z nią z gniazda małżeńskiego, sądząc tę wieść zbyt czystą, aby obić się mogła o tamte, skalane słowną rozpustą ściany. I oto — tutaj — stokroć gorzej opadły ją wyszczerzające kły zjawiska wykrętnej moralności, tem straszniejszej, że usankcyonowanej i piętnem tolerancyi oznaczonej.

Co do tolerancyi tych, którzy prowadzili cały olbrzymi system społecznej gospodarki, siła ta była tak olbrzymia, że jej drobiazg nie mógł zdobyć się nawet na pomyślenie odmienienia powziętego i zakreślonego już planu. Co najwyższej mogła trwać w pytaniach: skąd — dlaczego — na co? Lecz to, że popadła w tolerancyę drobnuchną, codzienną, w to zaadoptowanie tych monstrualnych zjawisk z całą świadomością i wnikięciem w to, z czego były złożone. A co więcej, nawet takie naiwne pociąganie dla swej korzyści płaszcza, okrywającego nagość zła, i zabezpieczanie siebie i swoich przed następstwami ego-

istycznie i cicho, byle tylko cało i dobrze wyjść z sytuacji życiowych...

Nie — dla niej nie było tu miejsca. Ani dla niej, ani dla jej tajemnicy. Świętą się czuła i podniesioną w przestworza. Płynęła na rozpiętych skrzydłach, pozostawiając daleko poza sobą welon swej ziemskiej szaty. Postanowiła na razie pozostać tak sama tylko i wyodrębniona. Rozumiała bowiem doskonale, że gdyby te drobiazgi właśnie, tak łatwo i z poddaniem przyjmujące ohydny układ społeczny w sprawie płciowej, podniosły bunt, mogłyby wielkim, zbiorowym krzykiem i masową siłą uderzyć w mur, wzniesiony dokoła na prawnym gruncie postawionej i marką ochronną opatrzonej prostytutki. Jak fala, na pozór miękka i jedwabnie głaskająca skalisty, mocny, brutalny brzeg, wyżera z czasem, kruszy i rozbija na nice kamienne, zda się niewzruszone zwały — tak samo mogło odrzucenie owych przyjętych i utartych ohydztw wyżyć i zniszczyć je na nice i precz poza społeczny wyrzucić. To Marysia czuła i rozumiała doskonale. Ktoś powinien był pierwszy głos podnieść. Taka jej matka, taka rodzina, taki dom, takie właśnie gniazdo! Jeżeli nie można było w znieprawionem miasteczku dostać sług, które bezpiecznie mogłyby przebywać w domu, nie grożąc zarazą i nie roznosząc tej moralnej ohydy, jaka tkwi w atmosferze duchowej, otaczającej

dziewki — dlaczego raczej jej matka, zamiast kazać jej grać godzinami na fortepianie, uprawiać bezpotrzebne i karykaturowane kunszty, nie wtajemniczyła ją w ohydę sytuacji i wspólnie z siostrami nie zużyła, celem podniesienia domu, w codziennych, drobnych, koniecznych staraniach! O ileż łżej byłoby tej samej Marysieńce w tej chwili obrachunku, gdyby miała to przeświadczenie, iż młodość jej, dzieciństwo całe kwitło rozkosznie w świeżej, kochanej atmosferze przeczystej, świętej miłości! Jakież żal, jaki głęboki żal do tej matki czuła w tej chwili, jakże odosobniała się i uciekała wzwyż, na razie nie postanawiając jeszcze nic, nie chcąc zakreślać sobie ścieżki, po której iść miała.

Od ziemi wilgotnej i chlebnej płynęły rozkoszne opary, zdawały się słyszeć szmery pęczniących, dojrzewających ziarn. I w jej ciele dojrzewało także ziarno miłości, i ona miała w sobie tabernaculum, w którym dokonywał się największy Cud — spełniało się misteryum, przed którym umysł ludzki drętwieje. Wcześniej zbudzony w niej duch rozumiał już ogrom tego Cudu i korzył się przed nim. Otoczył go wonią delikatnych uniesień i ekstazą rzeczy świętych.

.....
Na usta Marysieńki wykwitł powoli uśmiech.
Znalazła kogoś, komu mogła powierzyć swą

O CZEM SIĘ NIE CHCE MYŚLEĆ.

tajemnicę, ogłosić tryumfalnie to, co w jej łonie się spełniało.

Z pod półprzymkniętych rzęs posłała ku gwiazdom długie, promienne spojrzenie.

Z ust jej wybiegł radością napojony i dla gwiazd, brylantami drgających, przeznaczony łagodny, miły, bardzo kobiecy głos:

— Dzieciątko wam niosę! dzieciątko!

XIV.

Postanowiła powrócić do domu, do męża.

— Tak! — pomyślała — tam przynajmniej, gdy zamknę się w domu, odgradzona jestem od... nich — murami.

Z uczuciem ulgi myślała o swej kucharce, starej, nieznośnej dewotce, i pokojowej, niemłodej, dziobatej wdowie po malarzu pokojowym.

— Zatrzymam je tak długo, jak tylko będzie można. Będę im podwyższać, będę im dawać prezenty, będą u mnie siedzieć latami!

Z radością prawie nad wieczorem znalazła się na stacyi. Pożegnała rodzinę, dom, jak ludzi obcych, a co więcej, odczuwając jakby jakieś uczucia nieokreślonego wstępu w zetknięciu się z niemi. Czuli, że ten wstęp będzie rósł z każdą chwilą, i wołała nie dozwolić mu na to rozrastanie się i wypełnienie w niej resztek tego, co było najwyższą jej ostoją i świętością. Gdy wsiadła z ojcem, odwołującym ją na stację, do dorożki i ruszyć miała z przed ganku, ogarnęła smutnem spojrzeniem spłowiałą postać matki, kreślącej za nią znak krzyża. Ten znak, ta drżąca, schorowana ręka

szarpnęły nią miłośnie. Chciała wyskoczyć z dorożki, rzucić się do nóg matce i we łzach dozwolić rozjęczeć się swemu sercu.

Lecz — oto pomiędzy nią a matką stanęła rosla postać pokojowej, która przyniosła pled do otulenia nóg »młodej pani«. Rozlana jej twarz, ściągnięte impertynencko włosy i jakby cięciem pałasza rozwarłe usta przejęły Marysienkę wstrętem i zbudziły w niej tę nienawiść, jaką dławiała w sobie. Jakiś zapach lewandy i potu wydierał się z pod pach dziewczyny. Nudności ogarnęły młodą kobietę. Wyrwała jej z ręki pled i rzuciła go na ziemię.

— Nie trzeba! — krzyknęła ostrym, fatalnym głosem.

Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni. Tylko jedna matka zrozumiała. Znak krzyża jakby zastygł w przestrzeni. Nie łaknęła go w tej chwili Marysienka. Głos jej ostry, nienawistny, wstrzymał go w pół drogi.

Pomiędzy nim i nią stanęła... dziewczka.

To wystarczyło.

Szybko wpadła Marysienka przez kuchnię do swego mieszkania. Kucharka układała się do snu, pokojowa cerowała sobie pończochy.

- A!... pani nasza! — zdziwiły się obie.
- A pana niema...
- Tak?

— Tak. Wziął klucz, powiedział, że znów późno wróci.

— Jakto... znów...

— No tak. Kilka dni temu pan wrócił bardzo późno. Może nad ranem. Jużeśmy spały.

— A!...

Powoli weszła do wnętrza mieszkania Marysia. Niosła z sobą jakąś troskę. Pokojowa poszła za nią, troszcząc się.

— Może herbaty?

— Dziękuję ci. Zmęczona jestem. Położę się! Stróż przyniósł z dorożki walizkę, pokojowa przyklęka i zaczęła ją otwierać.

— Szkoda, że pani nie telegrafowała o przyjeździe, pan byłby na kolej wyjechał.

— Tak się złożyło.

Marysienka starała się mówić miękko i łagodnie. W ten sposób przynosiła ulgę samej sobie. Potrzebowała jakichś sprzymierzeńców. Te dwie ciche i odsunięte od »życia« kobiety nadawały się do tej roli. Przytem czuła się przez nich lubioną. Rzeczywiście, kanciaste i ostre w charakterze, miały sympatyę do jej dziecinnej jeszcze bezradności. Nie była im »panią« — więc wrogiem. Była raczej im podległa i krzątana jej gospodarcza nie przeszkadzała im, a bawiła raczej.

Tolerowały ją uprzejmie.

Natomiast nienawiść swej bezpłciowej egzy-

stenci zwróciły przeciw Zdzichowi. Ten mężczyzna silny, rosły, uśmiechnięty, biorący życie garściami, urażał je. Odgłos jego zwycięskiego głosu, kroków w mieszkaniu denerwował je. Podniecały się wzajemnie w tej nienawiści. I teraz w nieobecnościach nocnych Zdzicha uknuły cały pretekst żalów i potępień. Cieszyły się radośnie, że »smarkata« wróciła niespodziewanie.

— To go nauczy latać po nocach! — rzuciły do siebie w przechodzie, krzątając się w przesadnym zaferowaniu po domu.

Marysieńka zaakcentowała potrzebę spoczynku. Ogarnęło ją pomieszanie pojęć i wrażeń. Ta nieobecność Zdzicha wprawiała ją w szum jakiś i męt, z którego wydostać pragnęła ton zasadniczy.

Ode drzwi odchodząc, pokojowa rzuciła:

— A pan poszedł na miasto we fraku. I tak samo pierwszy raz, jak na bal...

Zamknęła drzwi. Marysieńka została się sama.

We fraku? dokąd? Nie mieli na razie żadnych znajomych. Wreszcie to była wiosna. Zielony karnawał jeszcze się nie zaczął. Rauty umilkły. W pierwszej chwili jednak doznała pewnego uspokojenia. Jeżeli »we fraku« — to znaczy, że szedł do jakiegoś domu na prywatną zabawę. Lecz brak znajomości zniweczył to uspokojenie. I w jednej chwili zawyło w niej od bólu. Przypomniała sobie, że Zdzich opowiadał jej, że wy-

kwintne demimondówki wydają wspaniałe wieczory, na które każdy mężczyzna, elegancko ubrany, dostać się może z łatwością.

Nigdzie indziej, tylko tam poszedł Zdzich ubiegłej i tej nocy.

— Ach! ach!... — zajęczała rozpacznie, opadając ciężko na kanapkę, stojącą w rogu sypialni.

I tak zmartwiła na razie, z oczyma wbitemi ponuro w światło nocnej lampy. Stojący na komódce zegar w skórzanym etui wydzwaniał koronkowo minuty. Z dziwną dokładnością zaczęła go słyszeć i czepiła się jego miarowego dzwonięcia.

— U dziewczek! u dziewczek!... — myślała.

Kto wie, byłaby może właśnie dziś upadła w ramiona, jak nigdy, po tej ucieczce z rodzinnego domu. Miała wszystkie pragnienia, aby znaczyć, że z tego małżeńskiego gniazda czyni sobie jedyne schronienie na całe swoje życie. Lecz wobec tak ustawionej sytuacji jakież mogły być jej myśli i pragnienia? Wystarczyło jej kilkodniowej nieobecności, aby Zdzich znalazł się znów w bagnie i pomiędzy nikczemnicami.

Może tam, u tych dwóch z teatru. Porozumieli się wtedy, gdy przy nich siedział, albo wychodząc! Potrafią wszystko... Mają pomiędzy sobą masońskie znaki mężczyźni i prostytutki! Mogli wybornie za jej plecami, tak, jak ten siwy pan w teatrze za plecami żony...

Porwała się z kanapki podniecona, zazdrosna, rozplomieniona. Rozegrały się w niej wszystkie kobiece, tak zwane »nizkie popędy« i wyły bez śladu godności. Gdyby miała możność, pazurami byłaby wydarła męża z rąk dziewczek. Poczucie własności olbrzymią zagrało tu rolę.

— Jak on śmie? jak śmie?

Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju, odbierając sobie w ten sposób resztę spokoju. Zapomniała o tem, że jest w ciąży, i cała skoncentrowała się w jednym cierpieniu. Nadsluchiwała z chorobliwym natężeniem turkotu dorożek. Skręcały jednak wszystkie w ulicę Ciężarową. Jedna zdawała się wjeżdżać w ich zaułek. Poskoczyła do okna i otworzyła je. Pomyliła się jednak. I ten powóz pojechał śladem innych, kierując się do publicznych domów.

Od tamtej strony ciepły, ciężki, parny wiatr przyniósł zgłuszone dźwięki fortepianu. Wpiły się w mózg Marysienki, przewieszzonej przez ramę okienną. Odwróciła się ku niebu, ku gwiazdom, tam szukając znów ulgi i ochrony. Jednak niebo było całe zasnutę czernią chmur.

Nie było gwiazd!

Nie było dla niej nic, prócz tych ech rozpuśty, płynących z oddali. Zatrzasnęła okno i cofnęła się w głąb pokoju. Upadła znów na kanapkę, bo podniecenie gniewne wyczerpało ją. Drżała cała i zęby jej dzwoniły, jak sygnaturka.

Założyła pomiędzy szczęki palce i gryzła je w tem drzeniu, nie czując bólu. Od czasu do czasu toczyła obłędny wzrok po pokoju i ściągała napowrót oczy, zapadając w tępą ciemność.

Bardzo była nędzna i marna w tej chwili.

Chrobot klucza w zamku przedpokojowym dotarł jej uszu z dziwną precyzją. Zanim zdołała podnieść się, już Zdzych stał przed nią, rzeczywiście ubrany po balowemu. Ładna jego twarz cacanie odbijała od białego gorsu koszuli.

Zdumiony nieoczekiwanym widokiem żony, poskoczył ku niej prawie radośnie.

— Maryś? z powrotem? co się stało?

Chciał pochwycić ją w ramiona, lecz ona powstrzymała go wyprężonym ruchem rąk.

— Skąd wracasz? — wycharczała.

— Skąd? z pożegnalnego bankietu dla Ekielskiego... wiesz, szefa biura...

— A!...

— No tak... Trzy dni temu on nas zaprosił na kolację, aby pożegnać się z nami, bo już idzie na emeryturę, a dziś myśmy dali mu składkową bibę w Europie. Przecież wypadło!

Szczerłość była w jego głosie. Lecz w nią się wżarł już robak niewiary, podejrzeń. Ciągłe sztywnymi rękami trzymała w oddaleniu pachnącego dobrem winem męża.

— Prosto... stamtąd idziesz? — sformułowała wreszcie dławiące ją pytanie.

Czuła, że razem z tem pytaniem zatracą swą godność w jego oczach, lecz działały w niej jakieś silniejsze czynniki, z którymi walczyć nie chciała.

— Prosto? stamtąd idziesz?...

Spojrzał na nią zdziwiony. Wzrok miał trochę mętny, podniecony winem.

— Co ty? co ty? — zaczął.

— Prosto? stamtąd?...

— Byliśmy jeszcze w kawiarni — na czarnej kawie.

Ostro patrzyła mu w twarz. Nie poznawał jej. Szczeka dolna wydłużyła się — postarzyła ją. Twarzyczka jej była prawie brzydka. Ciało jakby całe zdrętwiało. Było szczere wzruszenie, które nie miało w sobie śladu kobiecych zalotności.

— W kawiarni? — podjęła — w kawiarni... tam, gdzie są kasyerki, albo przywłóczą się takie... nocne...

Parsknął szablonowym śmiechem.

— Ach, ty niepoprawna! znów zaczynasz swoje?...

— Takie... nocne... — powtarzała z obłądnym uporem.

Lecz rzecz dziwna, mówiła to głucho i tępo, nie czując tego nienawistnego dreszczu. Przeczucie nerwowe jakby w niej zamarło.

On nagle spowaźniał.

— Cóż ty sobie wyobrażasz? co ty przypuszczasz?

Miała ochotę ukryć twarz mu na piersiach z krzykiem i płaczem, ale jakaś tępą tarczą dzieliła ich i odpychała. Jeszcze chwila, a stałoby się coś nienaprawionego — coś, czego już potem niczem z duszy wyrwać nie można.

Czy on to zrozumiał, czy poprostu znudził się tą ryzykowną sceną, dość, że brutalnie prawie — tak, jak była, w halce, w matince, rzucił ją na ciemne tło kanapki.

— Przekonam cię... przekonam... ty rozkoszna wiedźmo — szeptał łaskotliwie, śmiejąc się nerwowo.

I znów mu uległa.

Tym razem jednak nie było to bierne poddanie się, jak zwykle — pochodzące z wyczerpania. W tym akcie złączenia się całą siłą Marysieńka chciała znaleźć dowód wierności męża.

— Nie śmiałyby! — myślała — nie śmiałyby zbliżyć się do mnie... nie śmiałyby!

I tak wielkie było jej pragnienie jakiejś wiary, czegoś lepszego, że gorąco, prawie miłośnie tulił się do niego zaczęła.

XV.

A jednak nie powiedziała mu, że jest w ciąży.

Przygarnęła się tylko do niego pozornie, jak małe psie, które jakiś czas było bez pana. Oddała mu się powierzchownie w posiadanie, ale dusza jej cofała się poza opłotki, które koleczastym drutem opasywała ręka losu.

Zajęła się natomiast bardzo serdecznie domem i drobiazgami, wyściełała wygodnie codzienną egzystencję. Nie chciała wychodzić poza mury domu. Przemyśliwała, w jaki sposób skłonić Zdzicha do zmienienia mieszkania.

— Nie chcę, aby dziecko moje tutaj na świat przyszło! — postanowiła.

Gorąca fala biła wiosennie w powietrze. Zdzich wieczorem uchylał okna. Turkoty dorożek, dźwięki fortepianów wpływały wtedy do wnętrza ich mieszkania.

— Nie pozwolę — myślała — nie pozwolę!

Nie wiedziała, jak zwrócić się z tem żądaniem do męża. Od owej pamiętnej nocy jej powrotu do domu wydał się jej jakiś jakby skłopotany i czemś niemile przygnieciony. Zaniechał nocnych śmiechów i pogawędek. Co więcej odsunął się

od niej w objawach swej zmysłowości, co ją ucieszyło niepomiernie. Pod pretekstem zmęczenia, wyczerpania pracą pozostawiał ją w zupełnym spokoju. Kąpała się niejako w tej ciszy zmysłowej, jak w letniej, dobroczynnej wodzie. Z uśmiechem zadowolenia wyciągała się samotna na pościeli. On na swoim łóżku wzdychał ciężko. Podchwyciła raz to westchnienie. Sądziła, iż ma jakieś moralne troski, do których przyznać się nie chce. Zapytany przez nią, powiedział jej, że cierpi na reumatyzm w kolanie i lęka się zapalenia. Złożył to cierpienie na ohydną pogodę, która się rozpoczęła. Ciepły, kleisty deszcz snuł brzydkie szare nitki od chmur do ziemi. Jakby miliardy pajaków przędły w ten sposób nieskończone, wilgotne siatki. Mimo to powietrze było ciężkie i duszne. Nerwy były nieposłuszne. Robiły wrażenie koni z porwaną uprzężą. Jakaś chorobliwa melancholia wypełzała z kątów. Ludzie, kryjąc się przed sobą, płakali. Po parkach pieszcząły słowiki, nadymając gardła. W mgłę deszczowej drżały rewerberie ulicznych światel i werezowska zieleń prześwietlonych czarująco liści.

Na Marysieńkę ten melancholijny nastrój nie reagował moralnie. Krzepiła się dziwnie silnie i trzymała się z jakąś rozpaczliwą ochoczością. Zasnuła okna pospuszczanemi koronkami firanek. Oddzieliła się od ulicy i przez kucharkę postarała się o dużą ilość batystu i koronek. W ciszy

i odosobnieniu zamykając się zazdrośnie na klucz, zaczynała trochę przedwczesną ale rozkoszną i tajemniczą pracę. Pragnęła, aby dziecko, mające się narodzić, było dziewczynką. I to pragnienie zbożne przemieniło się w chorobliwą pewność. Ze słów Zdzicha wynioskowała, iż nie zdołałaby wywalczyć w swym synu odrazy do utartej egzystencji. Z przestachem pomyślała, iż syn jej, chłopię przejasne swem zjawiskiem, wniósłby jej kiedyś w dom takie ohydne prądy, jakie wiały na nią zawsze od tych, którzy z prostytutką mieli do czynienia.

— Przeszedłby ucałować mnie na dobranoc... pchnęłabym go od siebie z pewnością... Musiałabym... Och! niech lepiej będzie córka!

Zdzich niepokoił ją. Zmienił się, pożółkł, poruszał się z trudem. Często z sykiem chwycił się za kolano. Przestał pić koniak, piwo. Stracił humor, osowiał. Unikał jej spojrzeń. Gdy spotkały się ich oczy, mętniały mu źrenice i odwracał szybko głowę.

W cztery dni Marysieńka uczuła się nagle chora. Jakieś przejmujące bóle u samych źródła życia przeszywały ją. Było to coś żrącego, okrutnego, coś zwierzęcego. Chwilami miała ochotę wołać: »łaski!« Tak straszny, dojmujący był ten ból, biegnący wzdłuż jej lędźwi i zanikający w połowie krzyża. Gorączka nią owładła i podniecała ją. Przyłączyły się do tego nudności i te sprawiły, że Marysieńka wszystkie swe objawy zło-

żyła na karb rozwijającej się ciąży. Wobec choroby męża postanowiła siłą kontrastu być mężną i nie okazywać zewnętrznem przygnębieniem swej niedyspozycji. Kilkakrotnie dostrzegła, że śledzi ją lękliwie i przygląda się jej ruchom badawczo. Sforsowała więc nutę nonszalanckiej swobody, mimo że cierpienie jej było dojmujące i domagało się odpoczynku. Śpiewała, śmiała się — czego już oddawna nie czyniła. Dogadzała mężowi i troszczyła się o stan jego zdrowia z wielką starannością. Namawiała go, aby wziął urlop i wezwał lekarza. Wzruszał ramionami, twierdząc, że są to drobnostki, o których mówić nie warto. Lecz jednego dnia znalazła w kieszeni zarzutki receptę ze świeżą datą. Widocznie więc był u lekarza i nie chciał tylko mówić jej o tem, aby jej nie martwić. Zapamiętała wydrukowany na kartce adres lekarza. Nazwisko było nagryzmołone nieczytelnie. Tryumfująco pobiegła do męża, wywijając kartką, trzymaną w ręku.

— Kochany, grzeczny, był u doktora, jak ona prosiła!...

Na jego wyblakłą twarz uderzył jakiś cień rumieńca. Ze złością wyrwał jej receptę z ręki.

— Byłem.

— Grzeczny, cacany!

— I jutro do biura nie pójde.

— Jeszcze bardziej cacany.

Ale nie całowała go, nie wieszala mu się

u szyi. To już zniknęło bezpowrotnie, te pędy śliczne, które w miłości mają wdzięk niezgrabnych pojawiań się pierwszych liści na gałęzkach drzew.

Zdzich leżał w domu nawpół odziany, skwaszony i beznadziejnie smutny. Marysieńka jednym skokiem znalazła się w roli pielęgniarki. Z robótką w rękę i minką seryo siedziała opodał gotowa na każde skinienie, wchodząc już w tę macierzyńskość, tak drogą każdej kobiecie. Podawała mu wodę Vichy, doglądała kompotu, dęty — miała łyżę w oczach, gdy jęczał z bólu. Zapomniała o swoim cierpieniu, które przesywało ją nawskroś ostrymi bólami, podobnymi do pchnięć noża. Nieznośny ból głowy nie opuszczał jej. Nie jadła prawie nic i piła tylko bezustannie wodę sodową, w której ostrym, szczypiącym smaku znalazła chwilową ulgę i przyjemność.

Z prawdziwym bohaterstwem znosiła fatalny psychiczny nastrój Zdzicha. Albo całymi godzinami leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit i paląc papierosy, albo rzucał się w zdenerwowaniu i rozstroju gorączkowym. Nie wiedziała, jaki stan był jej bliższy. Czy ta depresja psychiczna, czy podniecenie chorobliwe. Gdy milczał, i ona zapadała mimowoli w rodzaj odrętwienia, wstuchując się w swój ból i oceniając dziwne

rozłamanie całego ciała, które ją gnębiło. Lecz już siłą woli wydzierając się z tego stanu i czyniła postanowienia udoskonalenia się stopniowego i powolnego. Stawiała to sobie jako warunek egzystencji. Gdy dziecko bowiem się zjawi, chciała być gotowa moralnie, aby mózdz poprowadzić je odpowiednio i bez wysiłku.

Deszcz spływał teraz strugami po szybach z cichym, dziwnym szelestem. Dżdżysta pora zamieniała się w katastrofę. Czuć było w oddali szalejące na oceanach wiosenne roztopy płynących lodowych skał. W tym zaułku miastowym jęczały echa żywiołowych potęg i wstrząsały organizmami ludzkimi do głębi. Drzewa gięły się pokornie, za szybami zjawiały się chmurne i tępe twarze. Jakieś maluchne dziecko w barchanowej błękitnej sukience bezmyślnym ruchem przez taflę szyby starało się pochwycić płynące strugi deszczu. Za niem majaczyła senna sylwetka niańki. Marysieńka posłała ku nim miłosny uśmiech, który okrążył głowinę dziecka.

Gdy Zdzich, porzucając swój stan depresyjny, porywał się nagle w jakimś zbuntowaniu przeciw niemocy, która go gnębiła — Marysieńka w głębi swej jakby akompaniowała mu w jego uniesieniach i nienawistnych rzutach. I czuła w tem ulgę egoistyczną, bo każdy jego wybuch znajdował w niej milczące uznanie i echo. Gdyby nie ta siła woli, która przeżyła się dziwnie w tem

młodziuchnem stworzeniu, byłaby równocześnie ze Zdlichem ciskała się w gniewie i szarpaniu gorączkowym. Lecz ograniczała się do roli świadka, komparsa i przedmiotu, do którego zwracały się gesty pełne ukrytej jakiejś wściekłości męża. Czekala przejścia kryzysu sama tak pełna bólu, iż zdawało się, że nie wytrzyma dłużej. Jednego dnia Zdlich nagle objawił jej chęć posiadania koszuli z surowego jedwabiu.

— Chcę, muszę mieć taką koszulę, musisz mi ją pójść i kupić.

Deszcz lał tak samo, lecz on akcentował to żądanie kaprysem chorego. Ujął jej rękę, przycisnął do ust.

— Pójdziesz, kupisz dla męża... prawda? pójdziesz o jedenastej — on bardzo prosi...

Patrzył jej w oczy, przymilając się, uśmiechając. Był tak blady, mizerny, zmieniony, iż nie chciała odmówić jego żądaniu. Przyrzekła, pomimo iż sama ledwo włóczyła się po domu. Dołożył jeszcze kilka sprawunków. Nie śmiała mu zwrócić uwagi, iż są to sklepy oddalone od siebie wielkimi przestrzeniami. Postanowiła wziąć na godzinę dorożkę, aby być prędzej z powrotem. Zaczęła się ubierać z wysiłkiem. Gdy, rozpiąwszy parasol, wlokła się później pod deszczem i po oślizgłych płytach ulicznych, poczuła się nagle bardzo biedną, chorą i opuszczoną. To udoskonalenie swego świata moralnego, na które

kładła tak wielki nacisk, przedstawiło się jej jako próba niedołączna i bez wartości. Dokoła niej przewalała się i kłębiła musowo fatalność losowa. Jak te liście, drgające pokornie na zmoczonych gałęziach drzew, czuła się zszarpana siłą i mocą nieznaną a niezwalczoną. Wlokła się powoli, nie osłaniając się nawet dobrze przed deszczem, mijając zatrzymujące się tramwaje, skulone pod ulewą dorożki. W pośpiechu, z jakim Zdlich wyganiał ją z domu, uczuwała poprostu egoizm człowieka, który nie liczy się z tem, iż zadowolenie jego kaprysu sprawia komuś dojmującą krzywdę. Gnał ją poprostu na tę słotę i wichurę z najwyższą niecierpliwością.

Uczuła do niego silny żal.

Załatwiła wreszcie sprawunki i, wzięwszy dorożkę, powróciła do domu. Stało się to jednak wcześniej, niż się spodziewała, gdyż obsługiwano ją w sklepach szybko a dorożkarz jechał prędko. Dojeżdżając do domu, zastała przed bramą karetkę jednokonną. W bramie stróż naprawiał miotłę. Zobaczywszy Marysienkę, ukłonił się nisko.

— Pan doktor przyjechał i poszedł na górę.

— ?...

— Tak! pan doktor. Pan mnie posłał po niego z listem zaraz po jedenastej. I pan doktor się pośpieszył.

— A... gdzie mieszka ten doktor?

Stróż wymienił ulicę i numer domu. Był to

ten sam adres, który Marysieńka wyczytała na recepcie, znalezionej w kieszeni męża.

Szybko weszła do mieszkania przez kuchnię, jakaś zmieszana, nie wiedząc właściwie, jak postąpić. Czy wejść do sypialni, skąd dochodziły ją ściszone głosy lekarza i Zdicha, czy oczekiwać w salonie na wyjście lekarza. Sama nie wiedziała dlaczego, ale wybrała to drugie.

Usiadła na fotelu, nie zdejmując płaszcza i kapelusza. Formalnie bała się poruszyć. Wlepiała tylko oczy we drzwi sypialni.

I czekała.

Niedługo potem wyszedł przez nie lekarz. Wysoki, chudy, czarny, spokojny. Powitał ją ukłonem eleganckim. Wąskie usta miały jakby zastygły uśmiech zdawkowej ironii. Zdaleka biła od niego leciuchna woń jodiny, słodkawa i nudząca. Pochwyciły ją chorobliwie wyczulone nozdrza Marysieńki. Opanowała się jednak i skłoniła uprzejmie.

Lekarz drzwi od sypialni zamknął. Marysieńka podeszła doń powoli.

— Pan doktor pozwoli, jestem...

— Zapewne żoną pacjenta.

— Tak.

Wzrok jego stał się bardziej stalowy i przesywający. Kąciki ust ściągnęły się natomiast. Wyraz ironii niewiadomo, czy zniknął, czy przyczaił się tylko.

— Czy mój mąż bardzo chory?

— Nie.

— Ale jego boli ta noga bardzo.

— Tak... wierzę. Dlatego też radzę, aby mąż pani wyjechał.

— Gdzie?

— Do Teplitz.

— Tak wcześnie? To nie sezon.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Tu nie chodzi o sezony — odparł z niecierpliwością — tu chodzi o kurację...

Patrzył na nią jakoś wzgardliwie i litośnie zarazem.

— A... czy to konieczne?

— Tak!... Niech jedzie sam, bez pani!

Ucieszyła się prawie i coś w niej się zaniepokoiło. Ogarnął ją już ten bezradny lęk mężatek, mających pozostać same na czas jakiś.

Lekarz nie odchodził jednak. Postąpił tylko kilka kroków ode drzwi w głąb pokoju. Zdawało się, że ma coś Marysieńce do powiedzenia, a wobec jej bezbronnej dziewczęcej postaci nie wie, jak sobie poradzić.

— Czy pani ma swojego lekarza?

— Jako — swojego?

— No... od chorób kobiecych.

Nie wiedziała sama, dlaczego oblał ją krwawy rumieniec.

— Mam! — wyszeptała.

— Radzę pani iść do niego bezzwłocznie!

Sądziła, iż czyni jakąś aluzję co do jej odmiennego stanu. To wdarcie się w jej tajemnicę przejęło ją jakby niechęcią i podrażnioną dumą.

Nie odpowiedziała nic. Zacięła usta. Patrzyła w bok, w szybę.

— Pani musi być chora! — nacierał lekarz.

— Pan doktor się myli! — odparła grzecznie — jestem zupełnie zdrowa.

Ściągnął brwi — ironia jego zaakcentowała się w całej pełni. Jakaś atmosfera nienawiści wionęła pomiędzy nimi. Właściwie, z jej strony jakaś siła obronna odezwała się nagle i tarczą głupiego uporu osłaniać zaczęła jej istotę.

On odczuł jej nieprzystępność i pogarda objęta w nim wzrosła. Wypełnił jednak dalej swój obowiązek.

— Raz jeszcze nakłaniam panią do udania się do swego doktora. Może pani zechce mu powiedzieć, aby skomunikował się ze mną.

— ?...

— Tak jest. Cierpienie pani ma pewną styczność z cierpieniem pani męża.

Przerwała mu gwałtownie:

— Ja nie mam reumatyzmu.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, wreszcie odrzucił niedbale:

— Pani nic nie wie.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Przepraszam, zdaje mi się, że to ocenić potrafię. O jedno bardzo proszę pana konsyliarza. Możeby zechciał powiedzieć memu mężowi, żeby zgodził się na wyprowadzenie się z tego mieszkania. Kamienica zupełnie nowa... mury wilgotne... Ten reumatyzm to z pewnością z tego. Co? Prawda?

Lekarz kierował się już ku drzwiom. Zatrzymał się na progu i raz jeszcze ironicznie obrzucił wzrokiem spokojnym i zimnym rozgorączkowaną, nieprzystępną postać młodej kobiety.

— Zapewne... z tego! — odparł, kłaniając się grzecznie.

B. Jozefowicz.

XVI.

Od kilku tygodni Marysieńka jest sama.

Mąż pojechał do Teplitz skrzywiony jak półtora nieszczęścia. Całe usposobienie jego było teraz mieszaniną pokory, czułości i jakiejś głuchoj, nienawistnej złości. Zbrzydł i zaniedbał się. Zrządził i stał się bardzo wymagający. Przestał być »mężem«, a stał się niewygodnym lokatorem. Gdy dorożka, uwożąca go na kolej, ruszyła z domu, odetchnęła Marysieńka i służące. Zniknęła niewysłowna jakaś uraza, którą Zdzych zdawał się włóczyć z sobą po domu. W spojrzeniu, w geście, w tonie mowy przebijają się to, gdy zwracał się do którejkolwiek z napelniających mieszkanie kobiet. Pomieszane z jakąś pokorą i chwilowo objawiającą się niemą prośbą o przebaczenie, stanowiło amalgamat nieznośny i fałszywy. Instynktowo, nie znając przyczyny, wyczuwały go kobiety domowe i denerwowały się tem nieprzyjemnie, nie śmiejąc przecież głośno wyjawiać właściwej przyczyny zdenerwowania.

Gdy wreszcie zniknął im z oczu razem ze swą walizką, sztylającą się nogą, żółtą twarzą i tą jakąś nieuchwytną brzydota swęj nie-

wyznanej choroby — zdawało się, że wszystko w domu, zaczawszy od niemych ścian, odetchnęło szerzej i z szeptów tajemniczych przeszło w swobodny ton głosu.

— Trzeba porobić porządki! — zawyrokowała pokojowa.

Marysieńka przyjęła ten wyrok w milczeniu. Ona sama czuła, iż musi porobić porządki nie tylko w mieszkaniu, lecz i w swej istocie wewnętrznej, która w dziwny nieład i niedorozumienie popadła w ostatnich czasach. Przestała znać siebie i swoje myśli, przestała zwłaszcza przebywać w pobliżu swej tajemnicy — i strzegła jej teraz jakby nałogowo bez tego uswięcenia, jakie cechowało ją poprzednio.

W ciszy i osamotnieniu spodziewała się powrócić znów do poprzedniego nastroju. Z rozkoszą zamknęła się wieczorem w sypialni. Zmęczone jej i chore ciało domagało się spoczynku. Wyciągnęła się z ulgą w milczeniu i przymknęła poźółtkie i ciężkie powieki. W bładem świetle lampy miała wygląd postarzałej i zniechęconej przejściami fizycznymi kobiety. To dotyczyło jej zwiędłej prawie cery i zaostzonego profilu. W kącikach ust opadła i zacząła się już niedomoga moralna. Leżąc tak nieruchomo, równo, w trumiennej pozycji, z rękami złożonemi na pierśsiach, nabierała powoli siły do wniknięcia w siebie, rozdzielenia swego fizycznego i moralnego

stanu i zrozumienia, co jest chwilową naleciałością, a co z gruntu jej samej powstaje i jako część nieodłączna jej istoty się objawia. Nie otwierając oczu, widziała jednak drugie łóżko puste i wyczuwała nieobecność męża. Coś naksztalt żalu przemknęło się po niej, jakby rodzaj nagłego zatęsknienia. Lecz blade to było i dalekie od tego, co odczuwać właściwie była powinna. Przypomniała sobie ten pamiętny wieczór, gdy powróciła niespodziewanie do domu i nie zastała Zdziucha w sypialni, tę rozpacz, gniew, zazdrość na myśl, że gdzieś u innych kobiet tuła się i obnosi swoją chęć zadowolenia miłosnych dreszczów. Teraz wszakże również poszedł gdzieś w świat i zginął w przestrzeni. Dlaczego jednak nie odczuwała tego samego wrażenia? Czy jedynie powstawało to z przyczyn, iż była tak wycieńczona i osłabiona niedomaganiem fizycznym? Nie mogła nadążyć myślą za odjeżdżającym. I myśl jej znużona opadła skrzydłami wzdłuż ciała. Jakas pewność i spokój ogarniały ją.

I powoli zasnęła.

Nazajutrz zbudziła się złamana i chora. Postanowiła »wyleżeć się«. Przez kilka dni odpoczywała i odżywiła się. Służące dogadzały jej obleśnie. Czuła ich fałsz, lecz tolerowała go chętnie. Kartki z podróży Zdziucha czytała uprzejmie i składała je obok łóżka. Nie wracała jednak do nich. Powoli ciąży i dziecko absorbowało ją

w zupełności. Ciężkie, męczące objawy zaczynały być jej drogie i witała je radośnie. Jeśli którego ranka budziła się zdrowsza, myślała z przestraszeniem, że może cały ten »stan odmienny« jest uludą. Nieodmiennie jednak razem z rozwijaniem się dnia zjawiały się cierpienia i znane jej objawy. Znosiła je dzielnie i teraz zajęta tylko sobą znajdowała dość siły, aby je dźwigać z pewną odwagą. Gdy wstała, wymówiła mieszkanie, spieniężyła wyprawny złoty zegarek z łańcuszkiem i za otrzymane pieniądze wynajęła mieszkanie inne, na ulicy bocznej, rozchodzącej się drugą linią z ulicą Ciężarówą. Starannie badała sklepiarky, zajmujących sklepy w tej ulicy, chcąc dowiedzieć się, czy niema prostytutek w tych stronach. Zapewniano ją o solidnem zamieszkanii tego zakątka. W domu, w którym wynajęła pomieszkanie, na parterze mieściła się introligatornia i akuszerka. Dom był piętrowy, starszy, jakkolwiek podreperowany »komfortowo«. Mieszkanie było próżne, Marysieńka postanowiła zaraz się przenieść. Zawiadomiła o tem listownie Zdziucha. Zdziwiła się sama, iż uczyniła to jakimś to-nem imperatywnym, sucho i arbitralnie. Podała jako motyw wilgoć i jego zdrowie. Zastawiła się zdaniem lekarza. Zamówiła wozy meblowe i z uczuciem bezmiernej ulgi oczekiwała dnia wyprawadzki. Nachmurzenie i poirytowanie sług nie obchodziły jej, czuła również, że nie obejdzie jej

gniew męża, gdyby odniósł się do jej gwałtownego kroku niezbyt przychylnie. Zdawało się jej, że spełnia obowiązek jakiś, że chroni czystość swej moralnej atmosfery, z której formować się teraz będzie dusza jej dziecka. Zdżich jednak odpowiedział dość obojętnie, cały pogrążony obecnie w powrocie do zdrowia, który się tryumfalnie anonsował w tonie jego listów.

Z całą energią zabrała się do przeprowadzki i, nie zważając na pogarszający się skutek zbytniego natężenia stan zdrowia, pracowała gorączkowo. W kilka dni znalazła się już w obcych ścianach, pomalowanych na szkaradne i rażące barwy. Imitacja secesyi wstrętem przejmowała uczucie wzroku. Lecz Marysieńka pławiła się w pierwszych chwilach w zadowoleniu. Grobowa prawie cisza panowała dokoła. Zwłaszcza z nadejściem nocy nie słychać było ani łopotu nóg końskich, ani turkotu dorożek. Marysieńka, upadłszy na łóżko, doznała jakiegoś uczucia odosobnienia. Nie miała pojęcia, iż w mieście tak ludnym i przepelnionem może znaleźć się taki zaulek, przepojony ciszą i przesycony spokojem. Wyszowała sobie, że właśnie tu ściągnęła swe gniazdo. Z rzutem bezdennej nienawiści odwróciła się od opuszczonej przez siebie dzielnicy rozpusty. Całą siłą przygarnęła się do spokoju, panującego w nowem siedlisku.

— Zapomnę o tamtem wszystkim, zapomnę! — myślała.

Lecz oto po ciężkim śnie, który przespała, zaczął w niej powstawać i budzić się cały świat uczuć tem intensywniejszych, że nic z zewnętrznego świata nie rozbijało ich i nie zwracało w rozmaite punkta.

Przedewszystkiem skonstatowała, że nowe mieszkanie jej było jednym z tych, po których włóczy się widmo straszne, dławiące, silne i mocarne.

Widmem tem — chandra.

Ze ścian spływa, z podłogi, ze szczelin podsadzki się wydobywa, z sufitu opada, z kątów wypełza.

Cicha, pokorna, a złośliwa. Nie ustępująca na krok. Na kark siada, za gardło chwyta, biciem serca kieruje. W szmerze zegarka szepcze, po szafach wśród melancholijnych odzieży szczyrzy zwiewną maskę. Jest, jest... wciąż, wciąż. Oto w nocy po łóżkach się snuje, na krawędzi siada, z garści szarych i bezpłciowych podaje do wyboru sny wyplute i beznadziejne. Każdy wysiłek zdławi w zarodku i nosi różaniec takich embryonów, jak pasek dokoła bioder kościstych. Nadziei o weronezowskiej szacie główny i nieublagany wróg, czepia się jej i z chichotem pod rękę parzyście włóczy się, przedrzeźniając śmi-

głość rączych stóp, aż w kąć jakiś wszystkie wiosenne szatki, podarte na strzępy, rzuci i tak ze szkieletem nagim i bezbarwnym, sobie podobnym, w tan pusty się rzuci. Wreszcie nadzieję w zgniłą mgłę zwątpienia rozwieje, na grobie tym powietrznym postawi rozpaczliwy cień przydrożnej, tragicznej brzozy o rozłamanych, potarganych włosach. Jest... jest... wciąż...

Chandra!

Z nią to przywitała się Marysieńka w ścianach nowego gniazda. Zaczaiła się chandra i skończyła wprost na kark, na piersi, na łono. Przemieniła wdzięk i poezję rzeczy martwych, które miał przychylności zaszczrzyły się złośliwą nudą. Płaskie, brzydkie twarze sług zaakcentowały jeszcze silniej swą brzydotę. Kwiaty straciły blask, drobiazgi swój przyjacielski czar. Marysieńka unikała spojrzenia na siebie w lustro. Zdało się jej bowiem, że ma na twarzy maskę z szarej, bezbarwnej krepy.

W pierwszych chwilach chciała walczyć. Zajęła się gorliwie upiększaniem mieszkania. Lecz złośliwość tego Wnętrza była zbyt silną. Zwalczyła ją. Meble nie trzymały się miejsc, draperye nie chciały przyjąć zakreślonych im linii. Barwy ohydne ścian zabijały delikatny ton sztychów i kilku pasteli, które Zdzych wypadkiem przed ślubem nabył. Nawet kołyski w myśli nie mo-

gła Marysieńka przytulnie ustawić. Żaden kąć nie obejmował jej dość miłośnie.

Przytem dziwne to było mieszkanie. Miało światło, nawet okna przeważnie wychodziły na południowy wschód, a mieszkanie to było jakby wiecznie ciemne i mrokiem przesycone. Okna tego Wnętrza były... ślepe.

XVII.

— Wszystko jedno — myślała Marysieńka — wszystko jedno... ale jestem daleko od... nich! Nie widzę, nie słyszę, nie spotykam, nie wyczuwam! A potem dziecko przyjdzie, dziecko wszystko rozjaśni, rozstłoneczni...

Lecz oto stała się rzecz niespodziewana.

Nagle, w nocy zbudziła się Marysieńka tak, jakby ktoś ją za ramię targnął.

Usiadła na łóżku. Cisza była ta sama. Ta grobowa, ponura cisza. Zaczęła życzyć sobie jakiegoś hałasu, bo przejęła ją rozpacz nieokreślona. Gdyby ktoś wrócił później do domu, gdyby jakaś brama zawarła się z łoskotem. Lecz nic. Jakby na dnie zastygłego stawu. I z tego dna ku niej zaczęły brutalnie, arbitralnie wypęłać myśli, przed którymi pokrył ją pot i porwała nudności. Oto z całą mocą zaczęła zawracać do opuszczonych przez siebie miejsc.

— Co się tam dzieje, u... nich, w tych domach, oświetlonych jaskrawo, z rozwianami na wicher storami? Czy ciągle te same polki brzęczą uparcie i łaskoczą podle ciemnicę nocną? Czy dużo dziś przejechało dorożek i czy męż-

czyźni, przepelniający te dorożki, są bardzo pijani? Co robi ta znajoma jej dziewczka? Czy ciągle nosi różę za podwiązką, czy śmiech jej i wrzask przecina ciągle powietrze wyciem pustynnej higieny?

Jak dobre znajome i wierne towarzyski, opadły ją te myśli i usunąć się nie chciały. Porwała się za włosy i tępo wpatrzyła w martwe ściany. Wszystko to, przed czem uciekła, przywlekło się za nią, zaakcentowane silniej, wzrosło do potęgi. Z rzeczy bowiem żywych nabrało większej grozy i przewagi, stając się — Upiorem.

Jak nieprzeliczone rzesze wiedźm rozwyrzonych, o odkrytych, zgniecionych, znieważonych łonach, z włosami rozrąganymi w pijackim szale, z plugawą pieśnią na wydętych i zsiniałych od pokąsań wargach, tak przywlokły się widmem w ślad za nią i nocą zawyły pod jej ślepymi oknami, niosąc z sobą wrażenie trujące Sabatów, odprawianych na trzęsawiskach, z których biły ofiarne, trupie wonie przepadłych, zabitych młodych egzystencyi.

Porwała się, przykłękała na łóżku, oczy wlepiła w ślepe, bez blasku okna.

— Są tam... są tam. Cóż stąd, że trochę dalej, ale są! są! odprawiają swe misterya, wrzeszczą, krzyczą, pienią się, wabią nawoływaniem głodnych higien! Kobiety, kobiety, jak ja, jak moja matka, jak córka moja, która w tej chwili

ssie moją krew i którą rzucę w momencie porodu w to plugawe gniazdo, dokoła którego widmowy taniec zawiodą... One! Och! legendo mej młodości, legendo jej młodości! Rozdarły cię one na strzępy i wychleptały twoją krew serdeczną. Napróżno uciekłam, aby kołysanki mej pierworodnej nie zgłuszyły oddźwięki trajkotu lupanarów. Oto są, stukają do mej czaszki, dobierają się do mych myśli, serca i wnętrzości. Jeszcze groźniejsze, jeszcze straszniejsze, bo owiane mgłą oddalenia... Nie zwalczę, nie zwalczę. Przepadnę!

Wyciągnęła ręce, straciła poczucie, iż ciało jej istnieje. Zdawało się jej, iż tylko głowa planuje w przestrzeni. Wydała głuchy, przestraszny krzyk. Rozległ się w ciszy z ostrością niezwykłą. Przerazona padła na wznak, tracąc przytomność.

Zemdlała.

Gdy otworzyła oczy, olśniło ją światło zapalonych elektrycznych lamp. Dokoła niej krzątały się służące i jakaś nieznajoma, dość elegancka kobieta. Nacierала jej skronie wodą kolońską o podejrzanym, nieprzyjemnym zapachu. Długa jej końska twarz zasypana była piegami. Włosy pretensjonalnie uczesane do góry, usta zasznurowane w klasyczny kurzy wdzięk. Ręce miała białe i sprawne. Kręciły się dokoła niej, jak dwa gospodarczymi zapędami przesycone ptaki.

Marysieńka usunęła je ze swych skroni z pewnym rodzajem trwogi.

— Proszę się nie bać! — wycedziła kobieta przez próchniejące zęby — jestem akuszerka... mieszkam na dole...

— Przeraziłyśmy się... pani zemdląta, więc na razie... — tłumaczyła pokojowa.

Tępy ból przeszył Marysieńkę. Przestрах ją ogarnął. Złękła się poronienia. Porwała akuszerkę za rękę.

— Pani... pani... ratuj!...

— Tak, tak...

Pochyliła się nad nią. Miętowy nudzący zapach wionął chorej prosto w twarz.

— Pani w ciąży?

— Tak!...

— Domyślałam się. Proszę się uspokoić. To minie. Chwilowa niedyspozycya...

Zwróciła się do służących, które stały, jak wbite w ziemię, oszołomione niespodziewaną wiadomością, działającą zawsze wstrząsająco na każdą kobietę.

— Proszę nas zostawić same!

Przybrała jakiś ton imperatywny, arbitralny. Zdawała się rozsuwać skrzydła i otaczać swoją siłą to łóżko i leżącą na nim kobietę.

Służące wyszły, pochylając głowy.

Wtedy akuszerka wpatrzyła się uważnie inteligentnymi oczyma w twarz Marysieńki.

— Pani chce to stracić? co? — zapytała przyciszonym głosem. — Czy pani robiła jakie zabiegi?

Marysieńka w jednej chwili otrzeźwiała. Zdjął ją kurczowy lęk. Zdawało się jej, że pochyła się nad nią w tej nocnej pustce jakaś zdecydowana zbrodniarka, godząca na jej życie i życie jej dziecka. Przycisnęła ręce do łona i z poza pobladłych warg rzuciła:

— Co pani... co pani!... Jak pani może... ja chcę, ja muszę urodzić.

W jednej chwili wyraz twarzy tamtej zmienił się na łagodną, dobroduszną maskę.

— Ślicznie! ślicznie! — zaczęła, szepleniąc radośnie — urodzimy! urodzimy! Naturalnie. Mamusia będzie miała córeczkę albo synka, takie coś cacane, jak ona... A proszę się nie bać. Kuglerowa będzie pilnować, czuwać, strzedz... ażeby ani mamusi, ani dzidziemu nie stała się krzywda. Ot... Bozia sprowadziła paniusię do naszej kamienicy. Wszystko będzie dobrze...

Sprawne ręce znów rozpoczęły swe gospodarstwo dokoła Marysieńki, która zapadła ponownie w osłabienie, zdając się na łaskę obłąkanym staraniom Kuglerowej. Wyczerpana, obojętna, pozostawiona w swych przykrych i ciężkich ostatnich przejściach samej sobie, z jakąś uległością dziecka przyjęła zabiegi tej kobiety, umiędającej z dziwną łatwością naginać się do prawie

macierzyńskiej tkliwości, pokrywając wybornie swą interesowaną obleśność. Przytuliła nawet na chwilę głowę Marysieńki do swego wydatnego biustu. Marysieńka nie zaprotestowała, przyjmując uległe już spełniony fakt odkrycia swej tajemnicy przez tę właśnie kobietę. Nie usuwała już swych rąk z białych dłoni o ściętych dokładnie po klinicznemu paznogciach. Na krawędzi łóżka przysiadła Kuglerowa i rozpoczęła prząść słodkawym głosem swe nieskończone opowieści, zbierane u łóżek położnic.

— Nie trzeba się bać! — mówiła — nie trzeba. Ze mną niema trwogi. Ile ja pań ocalałam od operacyi, od kleszczów, od zgruchotania głowy dziecka! Nie trzeba się bać!... Nie dopuszczę. Pamiętam, zawołano mnie na ulicę Pawią. Tam była taka młodziuchna, jak paniusia, mężateczka. Już śmierć za progiem...

I dalej, dalej snuje się głos o fałszywych akcentach i intonacyi prowincjonalnej aktorki. A z głębi myślowych Marysieńki powstają nowe kłęby, nowe fale. Wsparta na łokciu, blada, z oczyma rozszerzonymi, przeżywa ubiegłe momenty.

I to, co Kuglerowa powiedziała półszepsem:

— Pani chce to stracić? Czy pani czyniła jakie zabiegi?...

I w spojrzeniu jej krzyżujących się z jej wzrokiem oczu wyczytała czającą się zbrodniarczą propozycję.

— Ja mogę dopomóc... to dziecko może się nie urodzić... ja potrafię, ja umiem...

Tak mówiły oczy Kuglerowej, w tem niepewnem świetle nocnem zawieszone nad źrenicami Marysieńki.

— Więc dziecko z mej woli mogłoby się nie rodzić! — myślała — mogłoby nie rozpocząć istnienia wśród tej ohydy, tego bagna... Dziewczyna padać będzie z rozpaczliwego zniechęcenia, jak ja upadam, chłopiec weźmie udział w tej zgniliznie i sam zostanie gnijącym półtrupem. Czy nie lepiej zdławić to życie w zarodku? Czy nie jest to właściwie moim obowiązkiem wobec stanu rzeczy, jaki się przedstawia? Dać nową, nieskalaną duszę dziecku po to, aby powoli następował straszny, tragiczny proces rozkładu i zapadania w nicość! — Szarpanie się, walka i wreszcie ulegnięcie przemocy. Straszne!... straszne!...

Zamknęła oczy. Osunęła się na poduszki. Kuglerowa wzięła to za senność i, ścisząc głos w kołysankę, kończyła opowiadanie o dziwnym porodzie, w którym matka męczyła się czterdzieści osiem godzin, profesor i ona, Kuglerowa, cały czas...

I tak snuł się obleśny głos.

I tak snuły się w takt terkotu powiązane krwawą, smutną, beznadziejną nicią myśli Marysieńki.

XVIII.

Od Zdzicha zaczęły nadchodzić nie listy, ale kartki bardzo znamienne i jakieś crescendo w sobie mające. Rozpoczęte skromnymi, uczciwymi krajobrazami, podobiznami hoteli, kurhauzu, przemieniały się w ordynarne, niemieckie, szpetne pocztówki, przedstawiające fotografie istot żywych. Zaczęło się to od zwierząt, taksów, kotów, głów końskich, przeszło wreszcie na jakieś czule pary, siedzące na ławkach ogrodowych, to znów na kanapach w pozach rozanielonych lub sprytnie kokieteryjnych. Marysieńka z najwyższym niesmakiem ujmowała te przesyłki w rękę. Naturalna jej kultura estetyczna znieść nie mogła dulskiej szpetoty, rozlanej szeroko i tolerowanej.

— Jak on może wybierać coś podobnego! — snuło się jej po głowie.

Nagle szarpnęło nią. Jedna z kartek nosiła na sobie najwyraźniejszy typ dziewczki. Prosty typ dziewczki w majtkach, pudrującej się przed lustrem. Podobną kartkę otrzymała wtedy w domu rodziców i podarła ją na strzępy. Wskoczyła nagle ta rozpusta szpetna wśród burżuazyjnej estetyki. Na kartce dopisane były słowa: »Całuję

pyszczek«. Nic więcej. Marysieńkę przeszedł dreszcz, mróz. Jakieś ukryte myśli, pragnienia były prądem z tego wizerunku, z tych słów. Ukryte... może spełnione...

I nastąpiła przerwa w korespondencji. Nie pisał on, nie pisała ona. Nie mogła. Coś zatrzymywało jej rękę, pióro. Dziwna rzecz. Nie niszczyła jednak kartki. Przeciwnie. Schowała ją do komody, owinąwszy starannie w papier i starając się, aby nie dotknęła niczego, co ma bezpośredni kontakt z jej ciałem. Lecz schowała ją jakby jakieś corpus delicti, coś, co świadczy, co ją samą oświeca, przekonywa o prawdzie, o rzeczy niezaprzeczonej.

Nagle dano jej znać, że przyjechała jej matka z siostrą i zamieszkały w chambres garnies w śródmieściu. Przyjechały tylko na jeden dzień i noc, aby zasięgnąć rady lekarskiej. Bez pośpiechu udała się pod wskazany adres. Zastała tam matkę już po wizycie lekarza pokrępioną i dziwnie spokojną. Uradzono wyjazd do jakiegoś sanatorium w lecie i perspektywa odzyskania sił nęcąco działała. Marysieńka zabawiła długo u matki, która miała wyjeżdżać rannym pociągiem. Mizerny jej wygląd, zmienione i zgaszone usposobienie minęły bez wrażenia. Egoizm, cechujący ludzi chronicznie chorych, przewyższył nawet wrażliwość matki. Marysieńka rada była z tego, iż pozostawiono jej sprawy w spokoju

Późno, koło dwunastej, pożegnała matkę. Sprowadzono dla niej dorożkę, która czekała na nią przed bramą. Wyszła zmęczona i rada, że pozostała sama. Nie pragnęła ręki matki, nie chyliła się ku niej z tęsknotą.

Wyszedszy z bramy, która zatrzasnęła się za nią, ujrzała, iż dostęp do dorożki utrudniony jest dla niej przez jakąś bandę kłócących się ludzi, zalegających wilgotny od świeżego deszczu trotuar. Ciemna gardziel ulicy, poplamiona ćmiacemi żółto latarniami, zdwajała charczące głosy. Było tam kilka kobiet, dwóch mężczyzn i jądro całej gromady stanowił jakiś młody człowiek w habigowskim, eleganckim kapeluszu i angielskim długim raglanie, koło którego cała banda skupiła się ciasno i złośliwie.

— Zapłać pan!... zapłać pan!... — słychać było przeważnie i wybitnie ponad wszystko.

— Tłumaczę wam, że zapomniałem pieniędzy. Gruby, ordynarny śmiech rozległ się dokoła.

— On zapomniał! on zapomniał!...

Jakiś głos kobiecy ochryply wyrwał się wśród chóru:

— To czego pan idzie na górę, kiedy pan zapomniał?...

I znów banda rzuciła się zuchwała i straszna.

— Płać pan!...

— Płać pan!...

Nie było tam nawet zwierzęcości. To było

coś o wiele niższego, coś nieokreślonego, coś, co żyje, pławi się, wysysa najniższe chwilowe namiętności ludzkie. To już było nawet poza życiem, poza jego objawami.

Mężczyzna, który był przedmiotem napaści tego ciemnego stada, w tonie, dźwięku swego głosu ujawniał zupełną nicość środków obronnych i był tym, który przedewszystkiem zależy od wypadku. Pochylił głowę, wkułił ją w ramiona, czuć było, iż drży ze wstydu i upokorzenia.

— Daj pan zegarek albo co... — wycharczał pojednawczo któryś z alfonsów.

— Nie mam! — glucho odparł napastowany.

I znów podniósł się wrzask:

— Nie ma!... zegarka nie ma!... on nic nie ma.

Co on ma!...

Marysienka zadygotała cała, jak w febrze. Od tej bandy aż biły ku niej wstrząsające ją dreszcze. Nienawiść ku ulicznicom rozplomieniła się w niej z całą potęgą. Miała je przed sobą, o krok tylko. I rzecz dziwna, właśnie to, co powinno było w niej wzbudzić równą dozę nienawiści, to jest ten mężczyzna, który właśnie szukał płatnej miłości w objęciach jednej z tych hijen, został przez nią jakby ocalony z krańcowego pogardliwego uczucia. Cały gniew chorobliwie silny zwrócił się ku dziewczkom i ich adlatusom.

— Zdzielę ich batem... to wielmożna pani

siądzie! — zawyrokował z kozła dorożkarz, powstając i ujmując biczysko w garść.

Wyciągnęła rękę szybkim gestem.

— Czekaście!...

Zwróciła się w stronę bandy.

— Proszę pana tutaj! — krzyknęła rozkazująco.

Taki był imperatyw w jej głosie, taka dziwna moc, iż wszystko ucichło na razie, a z ciemnego, oślizgłego światła, które padało z latarni dorożkarskiej, wbiły się w nią źrenice mętne, ohydne, pół żywe całej bandy napastniczkiej.

Wzrokiem swoim precyzyjnym i jasnym wydobyla z tego mroku skurczonego, kryjącego się mężczyznę. Podszedł ku niej, wahając się, zakrywając twarz ręką.

— Czem mogę pani służyć? — zapytał.

Wydobyła banknot pięćiorublowy i podała mu.

— Proszę to wziąć... zapłacić tych ludzi.

Skurczył się bardziej jeszcze.

— Pani? co? jak?...

— Odda pan ubogiemu jutro! Proszę wziąć. Nie patrzyła na niego. Oczy jej biegły w górę po wystyglych oknach przeciwległej kamienicy. Wziął pieniądze.

— Dziękuję.

Chciała go zapytać, czy wystarczy, ale teraz zbudził się w niej jakiś straszny wstyd. Wskoczyła do dorożki i rzuciła drżącym, zgorączko-

wanym głosem adres. Gdy odjechała, ogarnęło ją przerażenie.

— Może postyszał adres... będzie wiedział, kim jestem... pomyśli, że umyślnie głośno podałam miejsce, gdzie mieszkam!

Było jednak już zapóźno. A całą duszą pragnęła tylko jednego. Zapomnieć o tem zajściu, które wydało się jej czemś potwornem, czemś, jakby jakaś gigantyczna ropucha w czerni nocnej napadła ją i wyciągała poza nią swe oślizgłe, obłocone łapy.

— — — — —
Na drugi dzień w południe weszła pokojowa z miną wielce zadowoloną i uśmiechniętą. W rękach niosła prześliczną żardinierkę z białej porcelany w empirowym stylu, ozdobioną dyskretnie pasczkami ze złota. Cała żardinierka była wypełniona świeżą, wonną, operloną konwalia. W środku do łodyg kwiatu przypięta była nowa pięciorublówka.

Więcej — nic.

— To przynieśli! — wyrzekła dziewczyna zdziwiona i zaintrygowana.

Marysieńka, która leżała jeszcze w łóżku, podniosła się niechętnie.

— Ach! kto to przyniósł?

— Posłaniec. Ale już uciekł.

— Dobrze... postaw.

Dziewczyna postawiła kwiaty i wyszła. Ma-

rysieńka wyskoczyła z łóżka i gwałtownym ruchem wyszarpała konwalia ze środka żardinierki. Podarła je w strzępy i równocześnie z niemi banknot pieniężny. Otworzyła piec i wrzuciła te resztki w czarną czeluść. Potem tępo wpatrzyła się w białą, czystolinijną żardinierkę. Wyciągnęła rękę, aby ją zniszczyć. Jednak tego dokazać nie mogła. Znadto było to artystyczne i bezbronne.

Zadzwoniła.

Weszła pokojowa, która musiała czyhać za drzwiami.

— Weź to, wyrzuć! — rozkazała.

Pokojowa wyniosła białe cacko do kuchni.

— — — — —
I Marysieńce zdawało się, że już wszystko, co ją wiązało ze wspomnieniem ubiegłej nocy, zniszczyła.

B. Zarefowicz

XIX.

W kilkanaście dni później, w najpiękniejszy dzień letni, gdy aż drżało złotem i przepychem urody w powietrzu, Marysieńka, spowita w bladoniebieskie kimono, siedziała pochylona nad robotą spokojnej, nieskalanej bieli, orientując się dziwnie łatwo w puszystości kłębków włóczki, taczających się u jej nóg ze zwinnością małych kotków. Było w tem coś wesołego, coś dzieciennie czającego się i Marysieńka po raz pierwszy od długich dni pozwoliła wykwitnąć na ustach swoich uśmiechowi lat młodych.

Nóżką, obutą w zgrabne meszcki połyskujące złotym haftem, trącała kłębki, rozrzucając je po dywanie. Rozbiegały się wabnie i miło i znów ściągała je delikatnie, pochylając się ku nim, jakby ku żywym, wesołym istotkom.

W zabawie tej odzyskała gracyę ruchów i urok, który choroba i siła życiowych potęg z niej zdawała się wpleniać.

Drzwi otworzyły się cicho, wsunęła się kucharka. Z jakąś ironią nieokreśloną spojrzała na Marysieńkę, na jej robotę puszystą i białą. Sta-

nęła pod ścianą nieprzystępna i niesympatyczna, opancerzona egoizmem leżącej nosem na ołtarzu dewotki.

Marysieńka spytała:

— Co mi powiecie?

Lecz coś w niej tam oczekiwało, że to »nowe« nie będzie ani miłe, ani pożądane. Ta kobieta nie mogła nigdy żyć się ani z Marysieńką, ani z domem. Była zawsze obca, przejęta i pochłonięta jakąś abstrakcją. Od pewnego czasu nawet jakaś wrogość w niej się przejawiała, jakaś pogarda i wyniosłość.

— Ja przyszedłam podziękować za służbę — wyrekła matowym głosem.

Było to niespodziewane. Marysieńka podniosła żywo głowę.

— Dlaczego?

Kucharka zacięła usta, zasznurowała je i nie odpowiedziała nic. Lecz wyraz jej twarzy zaakcentował jeszcze silniej ironię i pewną wzgardliwość.

Marysieńka spojrzała na tę twarz i zrozumiała ją natychmiast.

Zacięła się także w dumie i zmarszczyła brwi.

— Dobrze... odejdziecie od pierwszego.

Kucharka skłoniła się i wyszła.

Marysieńka przestała się uśmiechać. Ten cień drobiazgowy i niemiły naprowadził znów na nią szarość dni codziennych. Zaczynała rozumieć, iż

próżne były jej wysiłki, aby stworzyć dokoła siebie stałe, pewne i niezmiennie otoczenie.

Do pokoju wsunęła się pokojowa. Zaczęła ścierać kurze i miała widocznie coś do powiedzenia. Wreszcie wyrzekła:

— Kucharka podziękowała?

— Tak!

— Ja wiem dlaczego. Ona niecierpi małych dzieci. Kiedy się dowiedziała, że będzie małe dziecko, zaraz zaczęła się wybierać.

— Niecierpi małych dzieci?...

— Tak! taka stara dewocica, takie stare paniszcze... Ona mówi, że się brzydzi małymi dziećmi. A nowennę do Dzieciątka Jezus klepie. Ot!... one wszystkie takie.

Marysieńka, zdumiona, opuściła ręce z robotą na kolana.

— Jak kobieta może niecierpieć małych dzieci? — wymówiła w zamyśleniu.

Pokojowa wzruszyła ramionami.

— Albo to kobieta?... to taka księża sługa. Ale niech pani się nie kłopotuje. Ja coś znajdę i coś lepszego, niż ona.

— Dobrze!

Zaturkotała dorożka. Fakt niespodziewany na tej ulicy. Pokojowa podbiegła do okna.

— Nasz pan przyjechał! — zawołała i rzuciła się ku schodom.

Marysieńkę powrót męża zaskoczył.

Wiedziała, że teraz będzie musiała powiedzieć mu o ciąży i o wszystkim, ale nie przygotowała się na razie do tego. Schowała szybko robotę do komody i stała niezdecydowana z sercem bijącym.

Odzwyczyła się od tego człowieka.

Był dla niej — obcym.

Lecz oto, gdy wszedł do pokoju śmiało, odważnie, akcentując swoje wyzdrowienie, przesadzając swoje siły, jeszcze więcej uczuła się obca i od niego daleka. Chorobliwy jej wygląd, rozłamane bolesne całego ciała — ta jakaś niepełność nerwowa, wszystko łączyło się, aby jej nadać cechę istoty, pozornie tylko mogącej być samodzielna i niezależna. Jakby ona dopuściła się jakiejś winy, zatracając tę swobodę i bojkość poruszeń moralnych i fizycznych, tak stała teraz poblądła i drżąca.

Wyciągnął ku niej ręce.

— A!... matusia... matusia... witam matusię...

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma. Pochwycił ją w ramiona i cieszył się zdawkowo.

— No... no... tylko proszę mi się spisać, żeby był synek.

Pokojowa wносиła neseser i kufer. Śmiejąc się, dorzuciła poufale:

— Będzie proszę pana, będzie.

Marysieńka zrozumiała, że to służąca musiała na schodach powitać pana ową wieścią.

I milcząc, asystowała tej sprawie, nie biorąc w niej udziału.

A tylko dziwiła się, że to poszło tak gładko, tak jakoś przeleciało niczem, to, na co ona kładła tak szaloną wagę, z czem odnosiła się do gwiazd i co nosiła w sobie, jak przecudną, pełną czaru i uroku tajemnicę.

Zdzich tymczasem obejmował w posiadanie nowe gniazdo. Kroki jego silne odbijały się o milczące i nieprzychylnie ściany. Krytykował, rozpytywał, wreszcie wybuchnął tryumfalnie:

— A zresztą, mniejsza z tem! Dawajcie co zjeść i wódki! wódki przedewszystkiem. A do obiadu piwa, dużo piwa i zimne, jak lód!

Marysieńka z jakimś przestachem chłonęła ten głos, tę wrzawę, tę świeżą objawiającą się moc. Czuła, rozumiała, iż nie nastarczy jej, nie zdoła nastarczyć jej i wlec się raczej będzie śladami wybitych brutalnie po ścieżce życiowej nóg męża. Będzie zdystansowana i zostawiona sobie. Nie obejrzy się za nią nikt i nie poda jej właściwie dłoni, która oprócz opieki będzie niosła w sobie ciepło współczucia. Skurczyła się i zamknęła w sobie więcej, niż kiedykolwiek.

— Tylko ja... i dziecko moje!... — myślała, stawiając na stole w jadalni kryształowy serwisik do wódki.

XX.

Tak jakoś płynęły teraz dni jednostajnie i bez żadnych wrażeń. Zdzich w kartce zawiadomił rodziców żony, iż ma zostać ojcem. Uczynił to w formie conceptów i dowcipów. Wynikiem był roztkliwiony list matki, niosący błogosławieństwo, krótki dopisek ojca rozeźmiany i jakby echo dobrego humoru Zdzicha i wstydlive, panieńskie milczenie siostrzyczek.

Z gorzką ironią zastanowiła się nad tem Marysieńka.

— Matka nie powie siostronom, że spełnia się we mnie rzecz najcudowniejsza — myślała — lecz cierpieć będzie, aby prostytutki walały się po domu i ocierały o te dzieci. Wieść o mej ciąży będzie zdawała się nieść skazę na ich bieli, a tamto, straszne, błotne, ohydne jest tolerowane i sankcyonowane dla egoistycznych celów.

I nie odpowiedziała nic na błogosławieństwa matki.

Zresztą sposób, w jaki Zdzich i wszyscy odnosili się do tej sprawy, przypominał raczej pewne dzikie plemiona, u których ciąża kobiety

jest pretekstem do honorowania i wywyższania męża.

Śmieszne było patrzeć, z jaką dumą i pychą obnosił teraz Zdzych swą nadzieję przyszłego ojcostwa. Zdawało się, iż on jeden jedyny działał w tej sprawie, a Marysieńka zeszła do podrzędnej roli ślepej i wypadkowej. Nawet opieka, z którą kiedy niekiedy zwracał się ku niej łaskawie, była raczej tylko podana w formie jałmużny i upomnienia.

Marysieńce oczy błyszczały teraz prawie ciągle, jakby od łez niewypłakanych. Chroniła się wzrokiem nawet przed brylantami gwiezdnyymi sierpniowych nocy. Zdawało się jej, że sprzeniewierzyła się tym odległym złotym powiernicom swoim.

Z ciałem ciągle obolałem, udręczonem rozmaitymi objawami tajemnych niedomagań snuła się, zwracając jedynie myślą ku przyszłym, mającym się spełnić wypadkom. Nie obchodziła ją pycha męża, bo zaczynała być tą, która umie przechodzić mimo objawów ludzkiej głupoty. To, że weszła w pełni najbrudniejszych i najsilniejszych wyników obniżonej wartości człowieka i z egzaltowaną nienawiścią odniosła się do nich, sprawiło, iż umiała teraz brać lekko, a raczej nienawidzić wcale drobnych oddzielnych czynów. Było w tem dużo pogardy, którą musiała gdzieś umieścić, skoro natura jej jako odnośnię wzglę-

dem zbloconych przestępstwem miała, zamiast owej pogardy, pęd gorączkowej, szalonej nienawiści. Dla niej ludzie stawali się tylko zbrodniami na wielką skalę i do nich należało stosować najskrajniejsze sądy i pojęcia. Wyladowując się w tym kierunku, nie miała już strzępów nawet potępienia dla drobiazgowych ułamków.

Tak się urabiała, a raczej tak urabiała ją życie.

Po domu obecnie kręciła się nowa postać, nowy człowiek.

Była to kucharka, przyjęta na miejsce tej, która odeszła. Przyszła z poręki stróża, jako jakaś daleka jego krewna. Była to rosta, silna, barczysta kobieta, jeszcze młoda, o kaczym profilu i ciemnych, gładko przyczesanych włosach. Cerę miała dziwną, nierówną. Na policzkach plamy czerwone ciemne, za to czoło olśniewająco białe, wypukłe i szerokie. Usta, które ciągle oblizywała, mięsiste i leniwie obwisłe. Tęga, rozlana, ledwo mogła zmieścić swe piersi w białych kaftanikach haftowanych, w których stale chodziła odziana. Biodra rozkołysane i rozłożyste okryte były lekką, zniszczoną silnie spódnicą czarną, o modnym, śmiesznym wobec jej kształtów fasonie. Chodziła, kołysząc się, i odnosiła się jakoś niedbale do wszystkiego, co ją otaczało. Gotowała nierówno i tak, jakby sobie przy-

pominała tę umiejętność. Zabierała się do swoich spraw niezgrabnie i z widoczną niechęcią. Była ciągle smutna i jakby czemś przybita. Miała jednak kilka fenomenalnych zalet. Była nadzwyczajnie pokorna i załężniona. Ustępowała wszystkim z drogi. Dalej, widocznie nie kradła, bo Marysieńka ze zdumieniem skonstatowała, że wydatki domowe są o połowę mniejsze, niż za czasów dewotki.

Zapytana o książeczkę służbową, zapewniła, iż pozostawiła ją w domu, u matki, i że napisze. Nie wychodziła w święta nigdzie, siedziała w domu, na łóżku drzemiąc i szlifując paznokcie, o które dość dbała. Tak samo dbała i o włosy, które myła często szamponem i szcztokowała bardzo starannie, opuszczając na plecy w grubym lśniącym warkocz, zakończony szafirową wstążką. Rzeczy nie miała żadnych, ani pościeli, ani tradycyjnego kufra. Przyniosła z sobą kilka haftowanych połączonych koszul i dwie pary wykwinnych, krótkich majtek. Prała jednak tę bieliznę nocami, na misce, i zawsze była starannie i porządnie ubrana. Wogóle widoczne było, iż dba bardzo o swoje ciało, myje się często i dokładnie pachnącem mydłem.

Marysieńka czuwała w jej obecności podwójne wrażenie. Z początku coś ją odpychało od owej Zosi, równocześnie przecież jakaś sym-

patya, litość, coś nieokreślonego a jakby jakiś łącznik brał górę.

Postanowiła zatrzymać ją mimo braku rzeczy i książeczki.

W kilka tygodni po przyjsciu Zosia zawiązała jakieś stosunki z Kuglerową, akuszerką z parteru. Chodziła do niej czasami i wychodziła stamtąd jeszcze bardziej czerwona i zmieniona. Równocześnie zaczęła gotować jakieś zioła, które wstrętnym odorem napełniały mieszkanie. Zapytywana, twierdziła, iż jest chora na żołądek i leczy się w ten sposób. Rzeczywiście, sposób jej odżywiania się, pożeranie kwasów czarnej kawy zwróciło uwagę ogólną, jakkolwiek starała się z tem ukrywać, jak i ze wszystkim, odnosząc się do jej osoby.

Główną bowiem cechą jej charakteru była skrytość i zamilowanie w strojach. Z lubością i w milczeniu nabożnem przypatrywała się sukniom Marysieńki, a bieliznę jej pieściła prawie, uśmiechając się łagodnie.

Pokojowa odrazu stanęła względem nowo-przybytej na stopie wojennej. Odnosiła się do niej z wyniosłością, co tamta przyjmowała w pogardliwym milczeniu. Zupełne jej ubóstwo, brak wszelkiej odzieży i pościeli działały tu głównie obniżająco.

Niemniej pozorna zgoda panowała w kuchni i Marysieńka z tej strony miała spokój.

Nagle, jednego dnia pokojowa weszła do sypialni, potrząsając w rękę trzymaną torebką papieru, na której dnie szeleściło trochę ciemnych, zeszltych kulek.

— Ja wiem teraz, co Zosia pije! — wyrzekła, krzywiąc się znacząco — to jest czarna malwa!

Wymówiła te dwa słowa dziwnym jakimś, niesamowitym głosem chłopki, głoszącej nazwę ziela, o tajemnych, groźnych własnościach.

Marysieńka natomiast spojrzała zdziwionym wzrokiem, który nie rozumie.

— No to co?

— Jakto co — podchwyciła ta druga — wielmożna pani nie wie? Czarną malwę gotują i piją kobiety, co są w odmiennym stanie, a nie chcą mieć dziecka. One tak trują dziecko, nim się urodzi. Ona jest w takim stanie, dlatego ona tak ocet pije. Ona może się dostać do więzienia, jakby to na jaw wyszło, że ona takie trucizny bierze... Niech ją wielmożna pani wypędzi. Przecie to nic porządnego, kiedy jest w ciąży.

Położyła na komodzie torebkę z »czarną malwą« i wysunęła się z pokoju.

Zmierzchało się liliowym, delikatnym mrokiem.

Wiecyste przygłuszenie światła, które panowało w tem mieszkaniu, akcentowało jeszcze silniej ten mroczny zapad blasku.

Marysieńka siedziała ciągle nieruchoma, wpatrzona w torebkę ziół, szarzejącą na brzegu komody. Niedaleko bieląca kołyska, którą przedwcześnie kupiła i ustawiła naprzeciw swego łóżka pod pozorem, iż musi znać rozmiary dla uszycia pościeli i firanek.

Kołyska ta koncentrowała teraz jej myśli i całe jej istnienie.

— Truje... truje swoje dziecko. Dlaczego ona to czyni!... dlaczego?

Przez umysł jej przesunęło się wspomnienie owej nocy, gdy Kuglerowa pochylała nad jej łóżkiem swą końską, obleśną i gotową do tajemnych posług twarz. I ona wtedy, jak błyskawicą, wstała wstrząśnięta myślą straszną:

— Niech lepiej się nie rodzi...

Lecz czy z tych głębin, czy z tej podstawy wyszła kryminalna dążność Zośki... Czy nie egoistycznie raczej działała tutaj zabójczymi usiłowaniami, działając na szkodę nieznannej istoty? Może nędza i warunki socyalne wbrew niej samej pchały ją do tego tragicznego czynu. Może to była właśnie jedna z tych nieszczęsnych »uwiędzionych«, o których Marysieńka słyszała, jak o legendzie. I wielką, bezbrzeżną litością wezbrało nagle serce młodej kobiety.

Zadzwonila.

— Zawołaj mi tu Zosię! — wyrzekła stłumionym głosem do pokojowej.

Zanim kucharka weszła, Marysieńka zasłoniła oczy rękami i tak koncentrowała się cała w sobie, płosząc z siebie zdawkowe »patronaty cnoty« i jej uwodzicielskie środki.

Starła się, jak pestkę z owocu, tak oczyścić wszystkie siły i popędy przyrodzone z naleciałości, hypnotyzujących ją zarządzeń kłamliwej moralności.

Wobec życia i jego rozwoju, Marysieńka zaczynała pojmować, iż formy, w jakie wtłoczyć ją zamierzano, i razem z wyprawnymi szmatami dano jej dla urobienia sobie moralnej gospodarki, były miarą zbyt małą, tępą i żadną wobec faktów, wśród których przewalać się zaczynała rzeka, niosąca barkę jej istnienia. Czuła, iż tam, w jej głębi są miary o wiele bardziej odpowiednie, prościejsze, doskonalsze i więcej do rozmiarów olbrzymich życiowych odruchów zbliżone. Ku nim zwróciła się w tej godzinie niepewności i sięgnęła po prawa, odrzucając wszelką dwuznaczność nienaturalną, sztucznie wyhodowaną w cieplarni samolubstwa i przez to tragicznie szkodliwą.

— Matka!... matka... nikt więcej, tylko matka jest ta ona — myślała Marysieńka — wejdzie tu kobieta, która spełniła swe przeznaczenie, w której łonie pulsuje nowe życie, jak w mojem... matka! matka!...

I ruchem czarującym w swej prostocie Marysieńka, w tym zmroku do zjawy podobna, wyciągnęła ręce w stronę drzwi, za którymi słychać było szmer lękliwych i niepewnych kroków.

XXI.

Do sypialni weszła kucharka. Instynktem kobiecym wiedzona, musiała przeczekać, iż dobierać się będą do jej tajemnic, bo milcząc oparła się o ścianę. I tak złała się z cieniem w jedną niepewną masę, znacząc się tylko bryłą ciała i niepewną maską twarzy.

Marysienka uczuła potrzebę natychmiastowego wyświecenia sytuacji. Nienaturalność całej tej sprawy była jej wstrętą. Z całą odwagą zanurzyła się w jądro kwestyi.

— Zosiu! — zaczęła cichym, drżącym głosem — ty jesteś w ciąży?

Słowa te padły, zadrżały i zawisły w powietrzu.

Kobieta, stojąca w cieniu, poruszyła się gwałtownie.

— Ja? — podjęła chrapliwie — ja? skąd? dlaczego? kto to wielmożnej pani powiedział!...

Gwałtownie prawie mówiła. Głos jej miał pozory szczerości.

Lecz Marysienka zwieść się nie dała.

— Nie kłam! — przecięła jej ostro.

Tamta zatopiła się w dowody, zwyczajem kłamliwego proletaryatu w przekleństwa:

— Żeby tak jutra nie doczekała... żeby tak oślepla... żeby mi ręce i nogi połamało...

Wyczerpana wreszcie umilkła i przywarła się jeszcze ściślej do muru. Miała sylwetkę tej, która stoi pod pręgierzem.

I znów padły ku niej słowa Marysienki:

— A ja ci mówię, ty jesteś w ciąży!

I później nastąpiła cisza, tak, jakby obie wyczerpały się wzajemnie — jedna docieraniem do prawdy, druga jej zaprzeczaniem.

Cisza była wielka i ciemna z liliowej i tęsknej stawała się szarą, chłonącą i nieprzyjazną. Bardzo daleko coś zaszumiało. Może jakaś odległa dorożka, może kroki biegnącego tłumu.

Pierwsza wstrząsnęła się i opamiętała Marysienka.

Podjęła znów cichym, równym głosem:

— Ja wszystko wiem... ja więcej wiem. I to nawet, że chcesz dopuścić się zbrodni, że nie chcesz urodzić, że chcesz... zabić!

Z ciemności wyciągnęła się w przestrzeń ręka.

— Nie... co znowu...

— Ja mam dowody. Nie zaprzeczysz. Ot tam leży torebka z ziołami, które pijesz. Jesteś szalona. Zdrowie zniszczysz, nie poradzisz... A potem — dlaczego, dlaczego ty nie chcesz mieć dziecka? powiedz!...

Jakieś łkanie ciche się ozwało. Kto płakał? Czy Marysieńka, czy tamta, była to tajemnica ciemni.

— Ja nie wiem, kto ty jesteś — mówiła dalej Marysieńka — mężatka, wdowa, czy wolna... to mniejsza. Ja wiem jedno, Zośko — ty jesteś matka i to mi wystarcza. Ty nie masz prawa pozbawiać życia dziecka. Ty nie masz prawa zabijać. Bo to zabójstwo, zrozum, zabójstwo!

Wreszcie ozwał się głos tamtej:

— Takie jeszcze nie żyje.

— Żyje, od pierwszej chwili żyje i jest bezbronne. A potem twoje, twoje własne... Jak możesz? jak ty możesz?

I znów łkanie krystalicznym, przeciągłym dźwiękiem zadrgało w powietrzu. A wreszcie chrapliwy głos sługi:

— Dobrze pani mówić... a co jaby'm z takim dzieckiem robiła, a potem poród — za co... i gdzie pójde... pani pierwsza mnie wyrzuci...

— Nie! nie! nie wyrzucę cię. Zostaniesz tak długo, jak będzie można, potem pójdziesz na stancję, ja zapłacę, urodzisz, dziecko się umieści, a ja ciebie wezmę z powrotem. Tylko dziecka nie zabijaj! nie zabijaj!... daj mu żyć!...

I wyczerpana Marysieńka upadła na łóżko, kryjąc twarz w poduszki.

Od ściany powoli oderwała się ciężka postać Zośki. Marysieńka oczekiwała, iż zbliży się, po-

wie coś, przyzna się, lecz tamta bez słowa otworzyła cicho drzwi i wyszła z sypialni.

Na drugi dzień Zośka miała twarz siną prawie i zapuchniętą. Widoczne było, iż płakała. Unikała wzroku ludzkiego i milcząc snuła się po kuchni. Wzdychała tylko ciężko i miała pozór kogoś dotkniętego ciężkim zmartwieniem. Marysieńka także weszła w tę fazę, która się w seryi stanów duszy nazywa zmartwieniem niesłusznie. Przeciwnie, nic w niej nie zmartwiało, ale stawała się przewrażliwiona i przeczulona. Dla niej Zośka była więcej niż pewnie uwiedzioną dziewczyną, porzuconą przez swego uwodziciela. W rozgorączkowanej wyobraźni Marysi snuły się rozmaite domysły i przypuszczenia.

— Kto wie — myślała — może uda mi się go odnaleźć, zbliżyć ich znowu, skłonić go, aby się z nią ożenił.

Szło jej teraz głównie o to, aby Zośka zaniechała swoich kryminalnych praktyk. Odnosiła się do niej z całą łagodnością i wyrozumieniem. Zakazała jej szurowania podłogi, każąc wynająć na ten cel stróżkę. Pokojowa ze zdumieniem śledziła to wszystko. Marysieńka pod wieczór uczuła się wyczerpana i zniechęcona. Zośka zachowywała się opornie i milczała. Marysieńka zaczynała doznawać wrażenia, iż popełniła jakąś nieostosowność, wdzierając się w tajemnicę tak silnie

strzeżoną. Przypomniała sobie, jak ona sama za-
drośnie kryła się ze swym stanem, uznała tylko
gwiazdy godne być swemi powiernicami. Egzal-
tując się w swej solidarności kobiecej, sądziła
usposobienie wewnętrzne każdej ciężarnej kobiety
wedle swej miary.

Nad wieczorem, będąc sama, gdyż Zdzych
poszedł do cukierni, zajęła się przeglądaniem
poszytej już części wyprawki dziecinnej. Z ca-
łem zamiłowaniem, jakąś pasją zanurzyła ręce
w delikatnych falach weby i miękkich walan-
syenek. Dużo było tego i wytwornie. Uśmie-
chała się mimowoli z pewną dumą. Liczyła, co
jeszcze dorobić wypadnie.

I nagle błyskiem przebiegła przez jej umysł
myśl o tamtej, tej milczącej, zapuchłej od płaczu,
porającej się w tej chwili w kuchni z miedzią
samowara i rondli. Egzaltacja jej wzmogła się.
Przywołała na pamięć pochwycone westchnienia
tej nieszczęsnej. Postanowiła nie opuszczać jej,
lecz z całą cierpliwością doprowadzić swe za-
miary do celu. Chodziło tylko o to, aby pozy-
skać jej pełne zaufanie.

Przypadek posłużył Marysieńce w tej mierze.

Oto pokojowa wyszła za jakimś sprawun-
kiem, na dzwonek weszła Zosia.

Milcząc, jak zawsze, czekała na rozkazy.

Marysieńka wabnie i kusząco zaczęła rozkła-

dać miniaturowe koszulki, czepeczki, kaftaniki.
Przez ślepe, bezbarwne okna, przysłonięte białą
firanek, płynęło równe, spokojne światło dżdży-
stego, letniego wieczoru.

— Moja Zosiu! — podjęła Marysieńka — trzeba
wziąć to wszystko i wyprać. Ale uważasz, deli-
katnie, bez krochmalu. Widzę, że ładnie pierzesz
i prasujesz swoje kaftaniki, więc...

Odłożyła duży stos bielizny, a potem w małą
paczkę zwinęła trochę koszulek, powijków, cze-
peczków i z przeslicznym gestem podała jej pra-
wie że nieśmiało.

— A to... dla twego dziecka! — wyrzekła,
uśmiechając się łagodnie.

I oto stał się cud.

Ręce kucharki zaczęły pierwsze drżeć, a w ślad
za nimi zadrżała broda i grube, zapuchłe usta.
Widoczne było, iż Zośka walczy w tej chwili
z sobą, ze swą tragedią, z resztką ambicyi, aż
wreszcie uległa.

Zachlipnęła najzwyczajszemi łzami i cicho wy-
szepiała:

— Dziękuję!

Teraz Marysieńka za prędko zaczęła tryumfo-
wać. To ciche, łzawe przyznanie się zdawało
się jej być upoważnieniem do sięgnięcia w głąb
tej duszy. Pośpieszyła się z pytaniem:

— A ojciec? kto jest ojciec dziecka?

Zośka wyprostowała się i zacięła usta. Łzy zdawały się cofać w głąb źrenic i chcieć pozostać niewyplakane.

Milczała.

Lecz Marysieńka nacierała niezręcznie.

— Może będzie można nakłonić go, ażeby ożenił się z tobą?... Jeżeli uczciwy, musi to zrobić. Ja z nim pomówię...

Spojrzała na twarz Zośki i zdumiała się. Coś naksztalt ironii, jakiegoś niewyraźnego, brzydkiego, litościwego snuło się pod skórą tej twarzy i drgało dokoła spuchłych warg. I to wyczytała z całego wyrazu najdokładniej, iż Zośka nie powie jej nigdy, kto jest ojcem dziecka, i że ta część tajemnicy pozostanie na zawsze tajemną i niezbadaną. Hermetycznie zamknięta strona, zwyciężająca potrzebę wygadania się, przygniotła ją i zwyciężyła. Sprawa ta zaczęła przekraczać granice zwyczajnej afery uwodzicielskiej. Coś tam musiało być potężniejszego i bardziej skomplikowanego.

Nagle Marysieńka uczyła się razem ze swoim kątem pojmowania najwyższej tolerancji w sprawach wolności uczuć — bardzo niewielką, niepotrzebnie wysuwającą się naprzód i prawie śmieszoną.

Ta milcząca, litościwie na nią patrząca kobieta, zacięta w swej tajemniczej egzystencji,

rosła i olbrzymiała w porównaniu do jej drobiazgowości.

Pomoc i opieka, którą jej podawała, była tak miniaturowa, jak ta bielizna, karykaturalnie śmieszna w swej małości, którą ją obdarowała.

I równocześnie Marysieńka uczyła, że porywa ją fizyczny wstręt do Zośki, że nudzący zapach pomady, którą sobie ta kucharka włosy maściła, jest dziwny, drażniący i nie do zniesienia.

Postanowiła jednak bohatercko zwalczyć to wszystko i wzbudziła w sobie chrześcijańską chęć złożenia siostrzanego pocałunku na cuchnącej głowie tej nędzarki.

— Pocałuję ją — myślała.

Lecz równocześnie uczyła, iż »wzniosły« ten czyn byłby jakoby uzurpowanie wyższości, reprezentującej władzę przebaczną. I tak daleko była od przyczyny i skutku całej sprawy miłości, upadku i wszystkiego, co stanowiło tajemniczą stronę egzystencji Zośki, iż zrozumiała, że ów pocałunek siostrzany będzie raczej wygraniem jakiejś sceny, w której ona właściwie tylko odegra samotną i bez echa pozostającą rolę.

A przytem Zośka była przynajmniej o pół głowy od niej wyższa i należało wspiąć się na palce, aby ją w głowę pocałować.

Nie byłoby to dostojne, a nawet byłoby śmieszne.

I Marysieńka zwróciła się do wciąż milczącej i nieruchomej sługi:

— Możesz już odejść. I zajmij się kolacją.

A w głosie jej, mimo wszelkich usiłowań, brzmiał jakby leciuchny ton rozdrażnienia.

XXII.

Odtąd zaczęły snuć się i rozwijać dziwne okoliczności.

I tak, pokora Zośki przepadła. W jednej chwili stała się panią sytuacji. Rozciągnęła się na dobroci Marysieńki, jak na wygodnym legowisku. W tem, co było poczuciem niesprawiedliwości układów społecznych, wyczuła tylko śmieszne miłosierdzie i zaczęła paść się niem, jak bydło na zakazanem, sóczystem polu. Jeśli spełniała swe obowiązki, czyniła to jak z łaski, rzucając swą niedbałą pracę jakby z wyrzutem, że jest do niej zmuszoną. Nie kryła się ze swym stanem, owszem, akcentowała jego objawy, jak to zwykły czynić kobiety ciężarne z proletaryatu. Przed jedną osobą tylko miała jakiś respekt i pewnego rodzaju kobiece kokietyjne zawstydzenie. Był to Zdzych, którego unikała poprostu i jakby kryła się przed nim. Zobaczywszy ją raz, wyraził się niebardzo pochlebnie.

— Cóż to za herdebus baba? — zapytał Marysieńki.

Ta przybrała poważny wyraz twarzy.

— To bardzo nieszczęśliwa istota! — odrzekła przyciszonym głosem.

Wzruszył ramionami.

— Nie wygląda na taką! — odparł — czerwona, jak pijaczka, i wytuczyła się wcale nieźle na swoim nieszczęściu.

Marysieńka zamknęła starannie drzwi, aby do Zosi nie doleciał ten niepochlebny sąd. Doleciał jednak razem z tryumfalnym zakończeniem, wygłoszonym przez Zdzicha:

— W każdym razie wygląda jakoś »podejrzanie!«

Zośka od tej pory kryła się starannie przed panem domu. Za to odbijała sobie kaprysami na nieszczęsnej Marysieńce. Chwilami zdawało się, iż ma do niej żal i urazę za to, że dźwigać musi brzemię macierzyństwa.

Marysieńka jednak egzaltowała się coraz więcej w swych śmiesznych zapędach. Wyznając zasadę, iż podnosić można tylko tych ludzi, których się nie traktuje z pogardą, popadła pod władzę moralnie rozuzdanej sługi. Ponadto przerażona bezmiarem nienawiści, która powstała w niej i załała całą jej duszę, do prostytutek (w każdej formie), jako zrównoważenie i odszkodowanie dla kobiet, zaczęła zaprowadzać w sobie kult dla tych, które cierpiały z miłości i bezinteresownych przejawów uczuć.

— Kochała... — tłumaczyła sobie — musiała

kochać nieszczęsna, uległa... Cóż winna, że padła ofiarą oszustwa i okłamaną została!...

I w tej egzaltacji dochodziła do absurdów. Rozpocynała długie monologi przed Zośką, wykazując jej, jako ona spełniła szczytne swe posłannictwo i raczej cześć i szacunek się jej należy, a nie potępienie. Zapominała, do kogo mówi, i nie starała się wnikać, na jaki grunt właściwie padają jej słowa. Tamta słuchała, milcząc, z rękami założonemi na brzuchu i nie kryjąc pewnego znudzenia, jakie w niej powstawało, widocznie wobec tego wycucia praw życia, a które to ona brała jedynie za słabość charakteru Marysieńki i brak woli. Widoczne było, iż pogardzała teraz tą, która nad nią rozciągała opiekuńcze skrzydła, i łaskawie pozwalała świadczyć sobie dobrodziejstwo, którego pochodzenia nie rozumiała.

Marysieńkę chwilami ciężar tej sytuacji przygniatał. Jakiś wstręt podnosił się z odmętów jej głębi. Walczyła jednak z nim i zwyciężała go.

W tych chwilach biegła do Zosi, aby jej okazać podwójne staranie i łaskawość. Słowem, wobec przygniatającej wyższości Zdzicha i rozlanej nonszalancyi kucharki, kurczyła swą indywidualność i jej potrzeby do minimum.

Pewnego ranka wyszła do kuchni i nie za stała ani pokojowej, ani Zośki.

Pokojową wysłała sama do miasta. Dla Zośki

przyniosła rozrobionej w mleku somatozy, pragnąc, aby się »odżywiła«. Lecz, przez otwarte drzwi od sieni, posłyszała jej skrzeczący, znany głos na schodach. Rozmawiała z jakimś mężczyzną. Marysieńka sądziła, iż Zośka rozmawia ze stróżem, a że szło o jakąś naprawę w mieszkaniu, wyszła na schody, aby stróża zawołać.

Lecz to nie był stróż, a jakiś nieznaną mężczyzną, z którym Zośka wiodła rozmowę, przechylona przez rampę. Nie mówili głośno, ale klatka wschodowa, dziwnie akustycznie zbudowana, niosła w górę z całą niedyskrecją każde wymieniane słowo.

— No... myślałem, żeście się tutaj z całym kramem sprowadziły! — mówił mężczyzna. — Jakem odbierał książki u introligatora, patrzę kto idzie, a tu Irena...

— Hi! hi! hi! — zaśmiała się Zośka — a właśnie...

— Cóż ty tu robisz? może cię kto wzięł na stajnię...

Głos mężczyzny był ładny, giętki, głos człowieka ze sfery inteligentnej. Lecz sposób mówienia, ton pogardliwy, cechował jakieś specjalne lekceważenie, z którym ten człowiek odnosił się względem tej, którą Ireną nazywał. Było to coś nadzwyczaj subtelnego, ale cofnięta w głąb platformy schodowej Marysieńka od-

czuła to doskonale. Również wyczuła specjalny ton w mowie Zośki.

Jakieś wdzięczenie się, na pozór jakby pełne szacunku, ale fałszywe i poufale.

Mówili dalej.

— Ale... trafi się to mnie! — jechał w górę głos kobiety. — Jak do mnie się co przylepi, to psiakrewskie nieszczęście...

— Wyglądasz, jak beczka.

— To też to, to też to...

Rozległ się śmiech mężczyzny:

— Co?... złapałeś?

— A no! i zara mnie ta wiedźma nasza wygnała. Mówi: »Ja takich nie będę ani żywić, ani trzymać, wynoś się!« Szelma! mało się to naharowałam, mało to na mnie zarobiła...

Z dołu doniósł się głos mężczyzny:

— Ha!... trzeba było uważać!

— Ale... łatwo panu gadać. Żebym ja wiedziała, który to z was, jużbym ja se odbiła...

— Ale nie wiesz.

— Niech go pioruny spala...

— Cóż ty tutaj robisz?

— A no jestem w służbie. A jak się wyzbędę tego nieszczęścia, to zaraz do nas wrócę. Pani mówiła, że mnie weźmie. Niech pan wtedy przyjdzie.

Zarechotała.

— Zabawimy się!...

Marysieńkę przeszedł mróz. Zdawało się jej, że upadnie. W jednej chwili zrozumiała wszystko. Ta Zośka-Irena była właśnie jedną z tych pensyonarek tolerowanych domów rozpusty, która na czas ciąży schroniła się do jej gniazda w roli kucharki...

I ogarnęła ją tak straszna, tak płomienna nienawiść do tej dziewczki, wybuchła w niej cała mściwość za to sponiewieranie siebie samej, za to rzucanie w miłosiernej ekstazie swej godności pod przekłętę stopy ulicznicy, iż była prawie bezprzytomna, bez logiki, bez konsekwencji i jakiegokolwiek zapanowania nad sobą.

I w tej właśnie chwili weszła do kuchni Zośka, swym powolnym, niedbałym krokiem, rozlana i wzgardliwa dla wszystkiego i wszystkich.

Marysieńka ogarnęła ją wzrokiem, który teraz był tak jasny, jakby ktoś z niego zdarł zasłonę. Nic w niej nie zadrgało, żadne uczucie litości, żaden oddźwięk solidarności kobiecej. Ta zdeformowana macierzyństwem, oszpecona widocznym cierpieniem, dźwigająca mimo pozorów siły z trudem ciężar swego zapłodnionego łona kobieta była dla Marysieńki w tej chwili tylko nieczystym zwierzęciem, niegodnym zajęcia. To, co wywyższało ją przed chwilą i dodawało jej wielkości, to jest jej macierzyństwo, stawało się

w tej chwili jedną więcej z błotnych plam i powodów do pogardy.

Wyciągnęła rękę drżącą w stronę drzwi wyjściowych.

— Idź stąd! — wycharczała — idź stąd precz!...

Tamta rozwarła szeroko oczy.

— Dlaczego?

— Słyszałam wszystko. Wiem, kto właściwie jesteś, skąd przyszaś... idź precz!...

I nagle sługa zawyła nieludzkim głosem:

— A gdzie mam iść? co?

— Gdzie chcesz.

Z pod brwi zsuniętych, bez łez, śledziły ją oczy ulicznicy-matki. Była w nich trwoga, lęk pędzonego w płonący żarem las — zwierzęcia. Marysieńka nie rozumiała tej mowy oczu, rozumieć nie chciała.

Porwała haftowane łąchy Zośki i otworzyła drzwi, cisnęła je na schody.

— Precz!

Wyrwała z nich tę trochę białizny dzieciennej, którą jej dała. I poszarpawszy ją na strzępy, cisnęła do rozpalonego kuchennego ogniska.

Nie miała godności w swych gestach nic. Ślepa była, głucha, pełna chorobliwego, fatalnego waru.

Podniecało ją suche zawodzenie dziewczki. Odczuła w niem te same wyjące tony, jakie usłyszała wówczas, gdy kij Zdzicha spadł na plecy

ulicznicy. I to jej odbierało całą możność jakiegokolwiek obrachunku z sobą.

Nagle wycie ustało. Oto stała się rzecz straszna, morderstwo istoty bezbronnej, niewinnej. Zośka rzuciła się do swego siennika, wyjęła z niego flaszeczkę brunatnego płynu i zaczęła pić sporysz dużymi haustami. Gdy skończyła, była sina i oczy jej zmieniły się w wyrazie na oczy tej, która spełniła zbrodnię i wie, że ją spełniła.

Powoli, ciężko, po smudze błędnej słońca, która wkradła się przez okno kuchenne, skierowała się ku drzwiom.

Ten czyn tragiczny, to milczenie targnęło Marysieńką. Zwróciła się myślą ku pieniądzom.

— Poczekaj...

Lecz tamta odwróciła się od progu i rzuciła ku niej:

— A bodajeś urodziła ślepe szczenię!

Otworzyła drzwi i znikła w ciemnicy.

XXIII.

Minęły miesiące. Nad Marysieńką, jak chmura, przesunęła się katastrofa śmierci matki, która nagle wzniciła dokoła niej pierwszy pierścień rozpoczynających się odejść i osamotnień. Zakreśliła ten początek z jakąś rezygnacją, może znajdując w spodziewanem przybyciu dziecka jakby równoważnik luki koniecznej, przez śmierć uczynionej. Matka wydawała się jej teraz legendową postacią, która przesunęła się przed nią po to właśnie, aby stać się tą daleką od życia i rzeczywistości. Ta cicha i łagodna kobieta zdawała się powracać do należnej jej ścieżki, po której snuć się była winna. Na nią, jak liście srebrne brzozy, spadały lzy tęsknoty tych, którzy po niej pozostali. Zbierała w swe przezroczyście ręce i zwracała im, jak rosę ożywczą dla serc, dla dusz od upału nadwiedłych i zmęczonych. Ta cicha wymiana wśród nocy bezsennych lub dni jesiennych, wśród których tęsknota nagle z mgieł się wynurza i drży u wrót serca poprzez piersi ciężko dyszące, tak była w ich życie zainkrustowana, jakby witraż tęczowy, od wieków dopasowany w framugę okienną jakiejś opuszczonej kaplicy. Dziś właści-

wie tą legendą żyła ta zmarła matka. I gdyby ożyła i zaczęła stąpać wśród nich wszystkich, tak jak oni żywotności pełna, nie umieliby pogodzić się z nią żywą i tęskniliby raczej za tamtą, ze mgieł niebytu utkaną.

Marysieńkę chłonęła teraz całą ciążą, która powoli dobiegała do końca. Nie знаła nic z psychicznej strony tego stanu, jedynie tylko chłonąc w siebie stopy książek, traktujących o fizycznych objawach macierzyństwa. Rozmowy z Kuglerową odrazu stały się dla niej niemożliwe i wstrętne. Ordynarność brzydka tej kobiety zdzieraała poetyczny urok rozmarzenia i ładnego załęknienia przed nieznanem. Zdych dopuszczał się tylko zwykłych żartów i drwinek, które chciała nie słyszeć i zapomnieć, gdy koło niej przebrzmiały. Nazywał ją stale »mamusia«, a w niej drgało wszystko, gdy postyszała tę słodką, miękką nazwę, wymówioną jego męskim, roześmianym głosem. Marzyła, iż jedynie dzwoniący, jak przez aniołka poruszana w oddali sygnaturka, głosik maluchnego dziecka może wymówić to słowo i nadać mu odpowiedni oddźwięk.

Wogóle wkraczała w zupełnie nowy świat i nową dziedzinę przeżyć, w której zorientować się nie była w stanie. Czytała czasem jakieś powieści z wzmiankami o kobietach, mających zostać matkami, lecz ta literatura była tylko »literaturą«, zastosowaną grzecznie do podręcznego

użytku czytelników. Przeważnie były to fantastyczne natrącania, aluzye, nie mające nic z rzeczywistością wspólnego. Gdy tak Marysieńka nocną porą nagle porywała się na łóżku, zatargana wewnętrznie gwałtownymi ruchami dziecka, czuła i rozumiała, że niema na świecie słów, okresów, zdań, mowy, które oddałyby dokładnie to, z czym jej dusza miała w tej chwili do czynienia. I był to lęk szalony, i duma, i miłość bezbrzeżna i równocześnie jakby żal do czegoś, co nią poniewiera i za narzędzie życionośne tylko uznaje. Przytem zrozumiała, iż były to odczucia czysto indywidualne, że mogły być tylko takimi, wszystko więc, co próbowano w tym kierunku zgeneralizować, fałszywe było i od prawdy dalekie. Tembardziej, że wrażenia te i nastroje, w jakie się pograżyła, zmieniały się z kalejdoskopową szybkością. Dzień niósł te zmiany, zacierając w dodatku to, co było poprzednio. Pozostawała tylko pewność nowości. Tak samo, jak fizyczne cierpienia jej różniły się objawowo, jakkolwiek zasadniczo były te same, tak samo i serce jej, umysł, cała duchowa strona migąła przed nią tęczo, nieuchwytnie, nastrojona to radośnie, to w jakimś bezbrzeżnym, rozpaczonym pograżona smutku. Chwilami czasem przesunęły się pragnienia śmierci dla siebie i dla dziecka, gdy ze zgrozą wyczuwała w oddali błotne zwaly życiowych ustrojów, które oczekiwały na jej powrót i na wkroczenie no-

wego człowieka w żrące się szeregi. Ciężko i boleśnie wyrywała się z tej żądzы zaniku, krzepiąc się myślą, iż nie wolno jej teraz rozporządzać swoim i dziecka życiem.

— Co mu jednak dam? co dam wzamian za jego czystą, nieskałaną świeżość, z którą stanie na progu świata i każe mi być przewodniczką swoją? Czy patrząc będę spokojnie, jak na tę świeżość kwiatu stopniowo padać będą błotniste szmaty, odrywające się od trupiego całunu, którym pokryła się dobrowolnie ludzkość? Czy zniosę spojrzenie jego czystych oczu, zwróconych ku mnie z pytaniem, gdy po raz pierwszy dowie się, że wolno mu widzieć dobro czyste i miłość nieskałaną tylko przez pryzmat złudy i własnej fantasmagoryi? Gdzie znajdę siły, aby mu wytłumaczyć, że mimo to żyć można, żyć trzeba? Czy należy w niem przechowywać jak najdłużej prymitywną, krystaliczną czystość i wzmacniać ją sentymentem, czy dozwolnić właśnie przeciwnie iść już odrazu w stek rozpustnej szpetoty, aby nie działały się z niem bolesne przejścia walk, w których musi lepsza jego część uleść i upaść zwyciężona?

Przyciskając rozpacznie ręce do łona, Marysieńka, nocami całemi bezsenna, bezradna, z twarzą zalaną łzami, żyła podwójnem życiem, z których jedno miało potęgę, siłę i bujność tych, którzy gotują się do walki, drugie, służące za

podłoże i podścielisko, broni się przed dojściem do stanu samozniweczenia, w jakie je manowce walkowego terenu wtrąciło. Gdy rano Zdzych witał ją śmiejąco:

— Dzień dobry mamusi! — na usta jej wypelzał powoli uśmiech blady i bezpodstawny. Nie miał z nią nic wspólnego i nie łączył się z nią całą. Drżąc z osłabienia, dźwigała się do codziennych zajęć, starając się uparcie odżywiać, kąpać, używać ruchu, słowem, zachować całą higienę ciała, przepisana w książkach przez mądrych ginekologów ułożonych.

— Ciało mu dam zdrowe — myślała — chociaż ciało, bo co z duszą zdrową robi nieszczęsną, skoro już wszystko postanowione, aby mu ją zdrowej przez życie przenieść nie dano!

XXIV.

Jednego wieczoru Zdzich poszedł do jakiegoś teatru, do czego nawet namówiła go sama Marysieńka. Wyrodziło się w niej bowiem obecnie jedno główne pragnienie: pozostawać jak najczęściej samą. Powstawało to z przyczyny łatwej do odczucia. Chorą była na ciele i duszy. Wlokła za sobą jedno i drugie z wysiłkiem, bez tryumfu młodości i nadziei. Im więcej zbliżał się dzień porodu, tem bardziej ogarniał ją lęk przed jakimś płomieniem, który czyhał na nią w popiele ukryty i miał nagle wybuchnąć, ogarniając ją całą. Nie miała dziecinnej trwogi, która przepaja całą istotę rodzącej po raz pierwszy kobiety, miała w sobie raczej rodzaj jakiejś rozpaczki przed nieuniknioną katastrofą, mającą być raczej początkiem a nie zakończeniem tragicznych jej przeznaczeń. Tępo śledziła przygotowania, jakie Kuglerowa czyniła w jej domu na przybycie dziecka. Co więcej, dwukrotnie już sama złapała się na nieokreślonym uczuciu przestachu, z jakim wzrok jej napotkał stojącą w kącie sypialni kołyskę. Te zapuszczone białe, nieruchome firanki robiły wrażenie zamkniętych alabastrowych płyt maluchnego

grobowca. Zmusiła się do podejścia i rozsunęcia zasłony. Ujawniły się hafty, biel i błękit poduszek. Lecz nie uśmiechnęło się w tych ciepłych przyborach nic ku niej. Sztywno, martwo, cicho, ślepo, głucho...

Rankiem tego dnia pokojowa przyniosła z ulicy coś małego w fartuchu i sądząc, że zabawi miłą i smutną Marysieńkę, podała jej coś żywego, nakształt kreta, miękkiego, poruszającego się słabo. Było to małe, ślepe szczenię, wyrzucone przez kogoś mało litościwego na bruk uliczny. Dziewczyna ze śmiechem położyła ledwo żywe szczenię na kolanach Marysieńki, która, odychając ciężko, zmęczona, blada siedziała nieruchoma w fotelu. Poczawszy to zwierzę, ocknęła się i, spojrzawszy nań, krzyknęła nieludzkim, nieswoim głosem:

— Jezus Marya!...

Pokojowa przerażona pochwyciła psa, którego Marysieńka w konwulsyjnym geście strąciła na ziemię.

— Proszę pani!... proszę! to przecież tylko biedne, ślepe szczeniátko!

Twarz Marysieńki z bladej stała się trupiosiną. Ręce jej wyciągnięte miały pozór rąk trupa, nagle zeszywniały i wyprężone. U stóp jej zawyło cichutko ślepe szczenię. Cofnęła nogi i tak skurczona, zdrętwiała pozostała pod straszem, gnębiącym wrażeniem.

— Takie biedne, ślepe szczeniátko! — nalegała pokojowa i, przykleknawszy, podniosła z ziemi psa, a odwróciwszy go bielmem zasnutemi, zapuchłemi ślepiami ku Marysieńce, usiłowała w niej litość wzbudzić.

— Weź to precz... precz...

Dziewczyna z psem znikła. Cichy skowyt dołatywał jeszcze powoli.

Z głębin zda się wygasłych przejść u Marysieńki powstawał dźwięk słów, wyrzuconych ku niej nabrzmiałym od łez głosem:

— Bodajeś urodziła ślepe szczenię!...

W tej chwili przeszył ją ból nieokreślony, połączony z wstrząsającym dreszczem. Skuliła się i przycisnęła rękami łono.

— Nie, jeszcze nie...

Nadśłuchiwała strwożona. Zimowy dzień bieleł całunem za oknami, jakby groźnie, bez śladu litości i miłosierdzia. Szafkowy zegar z jadalni szeptał godziny i znać pływający czas. Marysieńka wsłuchiwała się w ten szept i wreszcie uspokoiła się. Raczej przygłuszyła w sobie wszystko. Teraz bowiem zajęły ją tylko objawy fizycznych cierpień i lęk przed nimi wystąpił na plan pierwszy. Jakby jedynie ta trwoga istniała przed nią, żadna inna. Coś zwierzęcego, coś z lęku zwierzęcia, które czuje, iż wlec je będą do szlachtuza, wyciągało w niej swe przeważające sensacje. Z obojętną trwożliwością patrzyła na czer-

niejącą nad kołyską wielką fotografię »Nocy« Thorwaldsena. Kupiła tego anioła, płynącego wśród gwiazd z uśpionem dzieckiem na ręku, i zawiesiła z ochronną myślą na nieprzychylniej ścianie mieszkania. Dziś ta noc czarno-biała zdała się jakąś żalobną, smutną plamą. Unieruchomiony anioł zatracił swój wdzięk legendarny. Miała ochotę zdjąć obraz ze ściany. Lecz lękała się poruszyć, zebrana w sobie, skurczona, w postawie ściganego zwierzęcia.

Minął jednak dzień i tylko po południu głucho echo bólu przeszło ją znowu. Lecz zdławiła w sobie strach i wycucie nerwowe. Wieczorem, dla upewnienia się, iż jest w normalnych warunkach, wyprawiła męża do teatru. Skorzystał skwapliwie z jej nalegania. Jako dobrze wychowany bowiem człowiek, uznawał za stosowne siedzieć w domu w tak ważnych chwilach. Marysieńka udawała swobodę i uśmiechała się lekko. Uniósł więc wrażenie, że katastrofa nie nastąpi jeszcze, i postanowił »zabawić się« trochę, jakkolwiek w granicach przyzwoitych. Wstąpił do kawiarni, gdzie wiedział, iż zastanie kilku kolegów. Zaczęli umawiać się i układać program nocnej zabawy. Tymczasem Marysieńka zabierała się powoli do snu, lecz czyniła to bez przekonania, jakby wiedziała, iż spać jej nie będzie sądzono. Kilkakrotnie przejrzała się w lustrze. Wydało się jej, że patrzy ku niej obca, cudza twarz. Ta kobieta

miała silnie zarysowane fałdy od nosa ku szyi i zapuchnięte dziwnie usta. Chciała przesłać ku sobie uśmiech. Usta jej skrzywiły się ku lewej stronie boleśnie, fatalnie. Tragiczna to była maska, bez śladu młodości, a nie dostojna przeżyta boleścią. Oczekiwanie w niej było i brak wyrazu.

I nagle przeszła Marysienkę cała serya krótkich, urywanych bólów. Zatrzęsło się jej łono, zadrgało serce, jakby gotując się do wielkiego, tajemniczego aktu. Chciała krzyknąć, jak poprzednio: »nie! jeszcze nie!«, ale nie mogła. Czepiła się nagle wzrokiem obrazka z Matką Boską Częstochowską, zawieszoną nad łóżkiem. Chciała pokornie przebłagać Maryę za to zbuntowane odsunięcie się od Jej rąk łaskawych w ostatnich czasach.

— Tak... Ona przecież niewinna, że taki świat, że tacy ludzie... że na nim są... dlaczego więc ja...

I trwoga, aby nie przyszła jakaś zemsta za to opuszczenie, za tę niesprawiedliwą urazę. Kornie, grzecznie, jak dziecko, które zbłądziło, przygarnęła się ku obrazowi.

— I daj, aby to wszystko... to wszystko...

Nie wiedziała, co ma mówić, czego pragnąć, o co prosić. Czowała, że jest w tej chwili pod pięścią nieugiętej, strasznej Władzy. Ślepa, ciężka to była pięść Natury, która waliła się na nią, nakładając brzemię spełnienia aktu brutalnego, okru-

tnego, o torturujących, rozdzierających cierpieniach. Więc nie mogła wołać do ciemnego widma, na złocistym tle zawieszonego: »spraw, aby mnie to ominęło«, lecz »niech to wszystko!...«

I wreszcie dziecinnym, czarującym głosem zakończenie:

— »Niech to nie bardzo boli!«

Jakby w odpowiedzi umilkło w niej wszystko i ogarnął ją dziwny wypoczynek i spokój. Lecz nie ludziła się. Z książek medycznych wiedziała, iż gdy się »zaczęło«, to już stać się musi. I leżała tylko na łóżku ubrana, skurczona, cicha, jak łachman nędzny, rzucona bezradnie, nadsluchując, kiedy znów porwie ją hydra cierpienia w szpony swoje. I jedno tylko było dla niej straszne. To myśl, iż bądź co bądź, będzie zmuszona wezwać pomocy ludzi. Gdyby mogła spełnić ten akt w zupełnem osamotnieniu, byłaby o wiele spokojniejsza. Czowała, iż sam na sam z sobą w tej ostatecznej wielkiej chwili potrafi zachować pewną dostojność. Drobiazgową troskliwość i zapobiegliwość obcych skazi szczebiotem rozgadanych srok majestat samego aktu, a obecność męża stanie się dla niej przyczyną jakiegoś zawstydzenia, tem przykrzejszego, że nieusprawiedliwionego i jakby niewłaściwego wskutek stosunku, jaki ją z tym człowiekiem łączy. Lecz ta jej nędza chwilowa, ta tragiczna podległość i mus w wypełnieniu bądź co bądź najbrutalniejszego aktu

w życiu kobiety, zdawała się jej być tylko możliwą do przeniesienia w samotności zupełnej. Takie padnięcie pod stopy, na ręce ludzi (całej ich gromady) łachmanem bezwolnym było według niej strasznym epizodem widowiska, zainscenizowanego bezlitośnie i bez obliczenia budzonych i wypiełgnowanych tak usilnie objawów dumy i skromności kobiecej. Gdyby dane jej było przebyć całą Golgotę bólu dwa razy straszniejszą, jaka się zapowiadała, lecz przebyć w zamkniętych ściśle czterech ścianach swej sypialni, z temi drzwiami zawartemi rozpacznie przed wtargnięciem kohorty ludzkiej, zgodziłaby się ponieść i ten ból, i te męczarnie. Lecz wzamian niech daneby jej było stanąć na progu otwartych przez nią drzwi już z dzieckiem na ręku i z pychą tej, która stworzyła, oddać społeczeństwu ten haracz, który na nią życie włożyło. A wzamian to, co było jedyną do tej chwili jej własnością, to jest jej dumna doskonała skromność została by uszanowana i pozostała nadal jej skarbem. Bierność posłuszeństwa nie mogłaby tego skarbu zniszczyć i oszpecić tchnieniem koniecznego, tchórzliwego bezwstydu z jej strony i kumoszkowatego lub płatnego współczucia ze strony ludzi.

Biedne!

Tak, był to poród i przyszła ta chwila, której psychiczna strona rodzącej zostaje usunięta

najczęściej na plan drugi, a właściwie nawet nie uznawana zupełnie. Zwierzęca funkcja ciała dostępuje w tej chwili najpotężniejszego tryumfu i staje się wszechwładną i panującą w pierwszej linii. Troska, czy wszystko się odbywa prawidłowo w tem łonie, które tyrańsko, okrutnie staje się ogniskiem, koncentrującem całą opiekę i uwagę otoczenia, nadaje porodowi cechę niskiej funkcji, mającej za cel jedynie przedłużenie gatunku. Wysoka szlachetność, jakaś nagła doskonałość serca i uczuć, która objawia się wtedy w duchowym wnętrzu rodzącej kobiety, zostaje nieuznana zupełnie i zredukowana do rzędu przemijających chwilowych tajemnic. Nawet owe zbrodnicze gesty dzieciobójczyń są przecież tylko objawami, jak silnie wzmożone w chwili porodu są odczucia psychiczne kobiety. Tragiczna rozpacz przybiera wtedy kształty silnych, mocnych czynów, będących jakoby aktami zemsty za niesprawiedliwą brutalność Natury i obłąkną układność życiowych kompromisów. To, do czego kobieta jest zdolna, cała potęga jej płci, idea poświęcenia i przywiązania, coś poza najwyższemi wartościami, uznaniami przez ludzkość, występuje wspaniale w najdrobniejszej, najmarniejszej kobiecie w chwili porodu. Lecz równocześnie dzikość, okrucieństwo, mściwość, rozczarowanie, krzywizna etyczna, wszystko, co wzbudza w niej lęk, zawziętość zrozumienia, iż jest się w danej chwili tragiczną ofiarą

głupiej konieczności i chęć odwetu występuje z równą miarą, jak wartości tak zwane wyższe. A im cięższa była krzywda moralna, im straszniejszy ból fizyczny, tem silniejsze zbuntowanie i mściwość, pochodząca jakby z jakiegoś innego świata.

W tem wyciu kobiety rodzącej jest cała gama nadzwyczaj subtelnych objawień. Nigdy tajemnica jej duchowej strony, jej wartość, jej osiągnięcie czy to szczytu czy niziny, nie jest tak bardzo giętka i podatne do uchwycenia, jak w tych właśnie chwilach.

Zaciera się fałsz i nędzna małość kultury, pozostaje tylko nagość prymitywna, naturalna, istotna. Intelkt każdej z tych kobiet odrzuca precz naleciałe obłony i jaśniej czystym, przyrodzonym blaskiem. Zapatruje się taka kobieta na życie swoje i skład jego z przedziwną i bystrą jasnością. Gdyby jej dane było w takiej chwili wypowiedzieć się, zdumiałaby wszystkich, jaką potęgę mieści w sobie jej szczerłość i jak doskonale czystą w pojęciach pozostała, mimo często ohydnych, aktorskich warunków, jakie na nią nakładano.

Lecz nigdy może właśnie ten intelekt jej nie był odsunięty na drugi plan, jak w tej tragicznej chwili. Wydawałoby się mogło, iż nic prócz jej łona nie istnieje, a jeśli istnieje, jest zaledwie tolerowane. Jej bierność w porodzie jest zapewne tego przyczyną. Musi asystować bezsilna wobec tego okrucieństwa, z jakim ta przyroda pastwi

się nad nią. Dźwiękiem swego wycia ujednostajniona zniża się i zbliża do poziomu zwierzęcia. Czuje, iż nic jej nie pozostaje, tylko to wycie i ta skarga, rzucona w przestrzeń z uporem i pewnym rodzajem ekstazy. Gdyby ktoś był ciekawy dowiedzieć się, czem jest w rzeczywistości wartość danej kobiety, powinien w takiej chwili dozwolić jej »wypowiedzieć się«. Ona tego tylko pragnie, bo czuje, że taka chwila nie przyjdzie do niej tak łatwo, albo przyjdzie kosztem tortury i mąk niewypowiedzianych. Lecz jest to godzina boska, cudowna, pozwalająca jej być wreszcie sobą, bez maski, bez czapraka, które konwenanse życiowe na nią nakładają. Jest taka, jaką była pod głazami jaskini, na posłaniu mchu, gdy zębami przegryzała pępowninę swego pierworodnego. Jakże piękną jest w tej prawdzie i nagości swojej! Lecz zabiegliwe ręce tłumią jej krzyk, lawinę słów, tłoczących się na jej usta. Okrywają ją i przestrzegają, iż krzyk może zdeformować piękność jej szyi. Ściągają ją ciągle z ołtarza i szczytu na niziny zagrody, w której domowe bydło z pokorą pomnaża dobytek gospodarzy.

Mimo to jednak to objawienie się Prawdy w takiej chwili pozostaje na zawsze w istocie kobiety. Odczuwa siebie i rozumie, czem jest w stosunku do swojej istoty, do istoty życia i życia drugich. Taki błysk, taka na pozór zanikająca przelotność, zatarta później rozpanoszeniem się

babskich szczegółów, wyciska niezatarte i mocarne piętno na istocie kobiety. Nadaje jej to cechę kogoś, kto przeżył samego siebie, który stanął po drugiej stronie krawędzi i wszedł w pełnię życia. Kobiety, które nie rodziły, nie posiadają tej cechy. Brak im czegoś i czują to same, tułając się właściwie, a nie idąc równo po drodze istnienia.

Brakowało im tej godziny boskiej, w której miały siebie w swej mocy i zdjęły na chwilę maskę afektu, jakby przyrosła do ich indywidualności. Nie znają przeto siebie i lękają się tej nieznannej swej wieczystej towarzyszki. Czują, iż będą wiecznie »stały na dole«, że nigdy nie odczują rozkoszy poczucia swej wartości.

Tragedya kobiet bezpłodnych nie leży w braku kręcenia się koło nich dziecka (jako uosobienia przedłużenia gatunku), lecz z tęsknoty za tą chwilą samopoznania, którą daje tylko moment porodu, Golgota bólów, męka tortur, dla jakich niema słów określenia i słów współczucia.

To jest Tragedya kobiet bezpłodnych.

XXV.

Więc to już, co się stało i co przyszło, było jednostajne i uświęcone zwyczajem. Otwarcie drzwi od sypialni i zdanie się na łaskę ludzi, których krzątanie się jakby upokarzająco szarpało i gniotło godność i resztki pychy, któremi Marysieńka starała się okryć mdlejącą swą istotę.

Wtargnięcie tryumfalne Kuglerowej, arsenał środków trzeźwiących, szczek przygotowywanych nożyc, tajemnicze szepty sług zgorączkowanych i przejętych, przygotowywanie łóżka, dobywanie na jaw tej czarującej maluchnej wyprawki, która zaczynała już mieć w sobie poezję legendy — wszystko to spadało na Marysieńkę z precyzyą obmyślanego i doskonale wyreżyserowanego widowiska.

Przedewszystkiem było straszne to troskanie się Kuglerowej, jej oddech słodkawy, ziejący miętą.

— Mężus zaraz przyjdzie... zaraz nadejdzie... Mężus...

Tego »mężusia« miała pełne usta. Zdawaćby się mogło, że samo jego przybycie podziąła, jak chloroform lub kokaina, i przytępi potęgę bólu.

Jakże daleki on był w tej chwili od Marysienki! Zdawało się jej, że on jest na samym dole, podczas gdy ona zajęła miejsce na jakimś ołtarzu, do którego dostęp po niezliczonych wyniosłych stopniach, które się przebyć musi czolgając (bo sił nie starczy).

Dokoła niej zapanowała wielka troska:

— Gdzie są pieluszki?

Pochylo no się nad nią.

— Proszę pani, gdzie są pieluszki?

— Ach! tak...

Nieznośne jej były te głosy, treść tych słów. Wdarł się ktoś zwierzęco po marmurowych stopniach Golgoty i szarpał ją za ramię. Podniosła się i nagle, osunąwszy na ziemię nogi, iść zaczęła.

— Proszę się położyć...

Lecz ona dziwiła się, że tak doskonale idzie, że jeszcze żyje, że jest jak inni. Poszła w kierunku komody, z której powyciągano szuflady. Zanurzyła rękę i wyrzuciła na blat cały stos białych dziecięcej. Potem machinalnie uczyniła to z drugą szufladą: ręka jej napotkała ukryty banknot pieniężny. Jak błyskawica przeszła jej przez umysł ta chwila na ulicy, gdy z rąk ulicznicy, w ciemni nocnej wykupywała nieznanego jej mężczyznę. Zacisnęła palce i zabrała z sobą papier pieniężny. Dlaczego to zrobiła — nie wiedziała. Powlokła się z powrotem do łóżka, usu-

wając z drogi wyciągające się ku niej obleśnie ramiona. I padła znów zrezygnowana, oczekująca. Wcisnęła tylko ów banknot pod poduszkę, jakby jakiś talizman. Nie czuła doń wstrętu poprzedniego. Przeciwnie. Zdawało się jej, że ktoś jej pod głowę podłożył nieśmiałą, dobrą dłoń. Przycisnęła tak głowę i leżała nieruchomo. Gdy przeszywały ją bóle, skarżyła się myślą, podczas gdy przez zaciśnięte zęby jeszcze nie wydierała się gama chromatyczna wycia rodzącej...

Mijały godziny. Nie dawała dostępu bliższego Kuglerowej, nie dozwalała czynić dokoła siebie żadnych zabiegów. Konwulsyjnie okrywała się kołdrą. Wrodzona i wmówiona skromność i wstyd własnego ciała i jego funkcji ogarniały ją coraz więcej i stawały się dominantą chwili. Gdy subtelnie wyłowila chrzęst klucza, którym Zdzych otwierał drzwi wchodowe, zaczęła gorączkowo gromadzić dokoła siebie sterty okryć i kryć się pod nimi. To jedno zdawało się być główną troską jej myśli. Utonęła w tych okryciach razem z głową. Nie chciała widzieć męża, bo czuła jego troskę i zakłopotanie niemiłe wobec rozterki i gwałtu, jaki cały dom przepełniał. Lecz odnalazł ją i z przesadzoną delikatnością pochylił się ku niej.

— No co?... no co?... — szeptał grzecznie. Zapach specjalny, kawiarniany owionął ją.

Odsunęła się. Wziął ten jej ruch za objaw chorobliwy.

— No... no... nie bójmy się...

Gdy odchodził, spojrzła nań. Wydał się jej blady i zmieniony. Nie poznawała go. Wogóle teraz zaczynała zatracać świadomość. Rodzaj bólów zmieniał się, przetwarzał. Śledziła je, jak stado rozartych zwierząt, dokonywających na niej strasznych, okropnych zbrodni. Chciała za całą cenę stać się jedynie niemym świadkiem tego bezeceństwa, jakiemu bezbronna podlegać musiała. Jakaś ironia złośliwa i podlejszego gatunku wypełzła z czeluści jej istoty. Gdy porывał jej lędźwie ból, ona wykrzywiła szpetnie usta w dziwnym, niesamowitym uśmiechu.

— Tak, tak — akompaniowało w myśli crescendo ohydneho cierpienia — właśnie, właśnie...

Kuglerowa pochyliła się nad nią.

— Czy nie boli?

Wzruszyła w odpowiedzi ramionami. Tamta nie wiedziała, co sądzić. To zacięte milczenie здавало się nienaturalne. Przywykła do wrzasków kobiet rodzących, oczekiwała na nie i tutaj, tembardziej, że miała do czynienia z młodzieuchną i niedoświadczoną kobietą. Tymczasem jakieś uśmiechy, wzruszania ramionami... Tylko zmiana twarzy, chwilami oczy znikające pod powiekami, kąciaki ust, ukazujące zęby, i charakterystyczne wydęcie szyi wskazywały, iż przecież mimo

wszystko praca odbywała się prawidłowo i z całą precyzyą.

Zdych, zdenerwowany, zajmował się głównie picciem herbaty z koniakiem. Poczęstował nią i Kuglerową, która znalazła tego mężusia i przy stojnym i na wysokości swego zadania.

— Jakoś nie krzyczy! — zainteresował się, strzygąc uszami w stronę sypialni.

Kuglerowa uśmiechnęła się przyjemnie.

— Pańska żonusia elegancko rodzi — wyszepleniła, krygując usta.

I pili dalej mocną herbatę, oczekując, kiedy zaczną się tradycyjne krzyki.

XXVI.

Przez ślepe, wrogie okna wkradał się dzień.

Marysieńce zdawało się, że to jest właśnie najnienormalniejsze ze wszystkiego, co ją otacza. Dnia nie powinno być. Zapadła w otchłań i ciemną noc. We dnie, w jasności nie miała nic do czynienia. Ta zbrodnia, która się na niej dokonywała, nie powinna mieć, jako świadka — światła. Razem z jasnością powracała jej świadomość tego, co się z nią dzieje. Starala się więc zastosować do tego oświelenia i być radosną i tryumfującą. Chciała odczuć szczęście dawania życia i powitania wreszcie żywym tego płodu, który był tak długo jej niezaprzeczoną a przecież prawie legendową własnością. Lecz cała sprawa ciągnęła się zbyt długo. Zatraciła piękność i zagubiła się w szczegółach. Nigdy Marysieńka nie czuła się tak daleką od swego dziecka, jak właśnie w tej chwili.

Kuglerowa upiła herbaty, pochyliła się znów.

— Zaraz... zaraz... będzie synek czy córeczka.

A cobymy woleli?

Nie było odpowiedzi.

Natomiast przeze drzwi Zdzych zapytał troskliwie:

— Możeby i jej dać herbaty?

Marysieńka nie słyszała nawet tych głosów. Zdołała pomiędzy jednym bólem a drugim wywołać w sobie jakąś drętwe, która niosła jej jakieś wizye niewyraźne i odurzające. Coś nakształt tęsknoty za cichym, dobrym, spokojnym sentymentem ogarniało ją. Jakieś aleje, osadzone brzoźami, niewidziane nigdy, jakieś parki, w których u stóp olbrzymich akacyi kwitną liliowe anemony, wabiły ją ku sobie. Iść zaczęła myślą ku strugom słonecznym, przeciekającym na pozarastane ścieżki, po których lśniły się lusterka wody, pozostałej z niedawnego deszczu. Czuła się młodą, zdrową i bardzo dobrą. Obok niej siedł ktoś, jakiś człowiek, który krył przed nią swą twarz, ilekroć chciała nań spojrzeć. Lecz siedł wiernie i czuła, że utrata tego towarzysza zdruzgotałaby jej życie. Zapragnęła, aby ta chwila trwała jak najdłużej, bo nigdy nie doznała tak miłego, słodkiego i cichego wrażenia. Ktoś nad nią czuwał, ktoś ją strzegł, ktoś, co mógł stać się jej przyjacielem, którego się kocha, bo jest... naszym jutrem.

Skąd on wziął się obok niej takim cieniem, takim mitem, taką legendą prawie nieziszczalną, niemożliwą do spełnienia?

Zdawało się jej, że nie spłynął ze światłem,

ani z blaskiem. Przeciwnie, jakby wysunął się z czerni, z jakiejś jaskini, z której wstawały fatalne opary. Lecz niemniej był i istniał. Co więcej, żądał od niej istnienia, powrotu do życia, może jej piękności, jej siły. Takie miała wrażenie i poddała mu się w zupełności.

I słysząc, jak Kuglerowa półszepem oznajmiała Zdzichowi:

— To jest już nienaturalne... bóle widocznie ustają... może trzeba będzie doktora...

Wstrząsnęła się cała ze wstrętu. Doktora tutaj, w takiej chwili, obcego człowieka?

Nigdy!

Chcecie krzyku, jęku, wrzawy, nie umiecie zrozumieć, iż może być ból tak wielki, że skarży się milczeniem? znacie tylko szablon wrzaskliwych skarg i tragedyi?

I jakby w odpowiedzi, z piersi Marysieńki wydarł się ten upragniony i oczekiwany krzyk. Groza i przestрах ogarnęła ją na ten dźwięk, który nie miał nic z głosem ludzkim wspólnego. Było to wycie wilczycy, zwierzęcość bezmyślna i chcąca świat cały dla swego cierpienia wzruszyć z posad. Rozwarła szeroko oczy. Powiodła ręką po obnażonem swoim ciele. Czy ona to wydała ze siebie ten wrzask, który przepelnił brutalnie ślepe mury jej domu?

— Chwała Bogu!... — rozległ się radośnie głos Kuglerowej.

Ach! tak!... poddaną jej została właściwa nuta.

— Chwała Bogu! Należy wielbić w tej chwili doskonałą mądrość urzędzenia...

Gloria in excelsis... Oto ona, szmat nędznego, zgorączkowanego ciała, wiję się bezbronna, oszalała, oślepla od bólu, z których każdy może jej przynieść kalectwo lub śmierć.

Gloria in excelsis...

Krzykiem buntu i rykiem katowanego zwierza bije w powietrze. Jest to hymn rozszarpywanej niewolnicy tuż pod łożą, w której na złotogłowie widnieje nieruchoma, skupiona, okrutna sylwetka Cezara.

Gloria i Ave!...

Nawet nie »*morituri*«, bo nie dane jest takiej kobiecie umrzeć szlachetnie i w piękności. Jeżeli będzie konać, to na wzór bydłęcia w rzeźni — z łonem rozplatanem przez nóż, w kałuży krwi.

Och, Gloria! Gloria! Ave!...

— — — — —
Lecz oto następuje chwila, która wynagradza rodzącej kobiecie wszystko, która nagle podnosi brutalną, ciemną, głupią jej rolę narzędzia do godności nie zrównanej z niczem w istnieniu człowieka.

Tę chwilę niepodobna jest odgadnąć żadną intuicyą pisarską. Tę chwilę trzeba przeżyć, odczuć...

To moment, gdy kobieta posłyszcy po raz pierwszy krzyk swego dziecka.

Jest to jedna minuta, chwila, sekunda, mgnienie oka.

Lecz to starczy za życie całe.

Pozostanie wryte niezatartemi zgłoskami na resztę życia. Przejdą burze, kataklizmy, huragany, całe cmentarze uczuć i odczuć, zda się, nowych, sensacyi porywających w przestrzenie i strącających w otchłanie...

Przyjdzie wreszcie martwota zupełna, nie bieżenie rące i bojkie, lecz wleczenie się w tęczowym szalu wspomnień na chylących się coraz więcej ramionach. I wszystko zaciera się i ginie w mgłę, wrażenia pozostają tylko martwymi punktami, z których pozostaną także powoli miejsca puste, ciemne. Najpłomienniejsze zatracą swą barwę. Były, ale już nie są. Napróżno porusza się serce, namiętność, pasye. Głucho jest. Nie tętni nic.

I tylko wśród tych paszcz szarych, wśród tych krakań złowróźbnych i szmeru ulewy łez i rozczarowania, wstaje jedno niezatarte i niezapomniane wrażenie. Kobieta, która rodziła, w pustym skarbcu swych wspomnień, okradzionym przez przechodniów i swoich, ma klejnot bezcenny, mogący w jednej chwili rozjaśnić czarującym, świeżym wdziękiem najczarniejszą podłość jej istnienia. Oto niech wywoła w sobie sensacyę

tej chwili, gdy posłyszwała krzyk swego dziecka. Sensacya ta powstanie w niej z tak doskonałą precyzją, że da jej znów przeżyć ten moment boskiej i z niczem niezrównanej rozkoszy. Wszystko się w niej targnie i szarpnie ku temu czemuś, co krzyknęło, wołając pomocy. Jest to objawienie najwyższe i najdoskonalsze, bo tu właśnie manifestuje się szlachetna i wzniosła strona istotnego rdzenia życiowego instynktu. Przez tę jedną chwilę przed kobietą rozdziera się zasłona, kryjąca najwyższą i niedościgłą dla drugich tajemnicę. Porywa ją, lecz nie oślepia. Stokroć wtedy jest bliższą prawdy, niż najwytrawniejszy z filozofów lub teozofów, nadzianych pajakami swych ślepych omacków. I rzecz przedziwna. Kobieta ukrywa zazdrośnie to wrażenie. Nie wydaje się z niem, nie chwali, nie rozprzestrzenia. Rzeczy można, iż lęka się przez ujawnienie zetrzeć z tej chwili piętno jej Boskości. Stąd odczucie to uchodzi uwadze ogółu, a u tych kobiet, które żyją powierzchownie, zdaje się nie istnieć i zapadać w mgłę zapomnienia. A jednak tak nie jest. Jedyne to bowiem silne i istotne przeżycie, dominujące i niezatarte. Jest ono uroczyste i święte. Prawdziwa to modlitwa i prawdziwe Gloria!...

XXVII.

Teraz Marysieńka zapragnęła owinąć się czarem legendy. Nie chciała nic więcej, tylko pozostać samą ze swem dzieckiem. Ma bowiem córeczkę, lecz ta jest cichą, grzeczną, jakby nieistniejącą. Zapłakała raz donośnie, gdy przywitała smutny blask chmurnego miastowego ranka i umilkła pokornie i sennie.

Pani Kuglerowa zwiastowała Zdzychowi i sługom:

— Jak malowanie. Będzie głowy zawracała!

Po twarzy Marysieńki przesunął się cień.

— Boli cię co? — zapytał troskliwie Zdziś, poszukujący srebrnej monety, aby rozjaśnić nią fale pierwszej kąpieli noworodka.

— Nie... nie boli mnie nic!

Musiąca wysłuchać jeszcze samochwalstwa Zdzicha, który odzyskał nagle rezon i częstował ją znów herbatą z koniakiem.

— Wiedziałem, że będzie córka — musiała być! Teraz będzie syn!

I z szerokim śmiechem:

— Ja tak zawsze...

Nie czuł, nie rozumiał brutalności tego słowa.

Kuglerowa wtórowała mu wesoło. Krzątano się koło dziecka. Marysieńka zapadała w cień.

Rada była z tego. Gdy spełniła wreszcie swą funkcję karmicielki z jakąś trwogą i początkową odrazą — miała tylko jedno pragnienie.

Ciszy i pozostania samej z dzieckiem.

Wreszcie spełniło się.

Zdzych usnął w salonie, obwieszczając:

— Należy mi się to!

Kuglerowa pobiegła za niańką, sługi zamknęły się w kuchni. Ślepe okna zaciągnięto szczelnie firankami, zasłonięto, aby światło nie raziło dziecka. Jakaś mdła, nudząca woń rumianku i pieluszek przepoiła powietrze. Jak w ciepłej kąpieli, tak zanurza się w niej Marysieńka.

Powoli, z wysiłkiem dźwiga się na posłaniu i patrzy w głąb białej kołyski, którą przysunięto jej do łóżka. Tam jest jej dziewczynka. Lecz jest ciemno w pokoju. Ciemna plama twarzyczki ledwo się zaznacza. A Marysieńka chce widzieć więcej.

Ona chce widzieć oczy swego dziecka.

Nie rozumie, co nią powoduje, w jakim źródle tkwi to pragnienie.

Ale musi widzieć oczy dziecka. Poczula już dotknięcie ust drobnych i gorących, ale oczu w ciemni nie widziała.

Więc, jakby podniesiona mocą nadludzką, zsuwa się z łóżka i powoli, ruchami kaleki po-

suwa się w stronę okien. Drżącymi rękami podnosi jedną zasłonę. Matowy, chory blask wpada ukośną strugą. Marysieńka jest tak blada, jak batyst jej długiej koszuli. Dziwnie ma wysubtelnioną twarz. Jakieś tchnienie anielskie musnęło ją skrzydłem swoim. Jedna noc cierpienia nadała jej piętno nadludzkiej piękności. Rozpuszczone, odrzucone z czoła włosy czyniły ją podobną do tej Maryi Musset'a, uosobienia melancholii i młodzięczego wdzięku. A przecież pomimo dziecięcego wysubtelnienia owalu twarzy, uduchowienia rysów, zarysu ust, coś już było w niej nawskroś tragicznego, coś, co mają w sobie tylko ci, którzy stali na krawędzi i byli bliźcy wkroczenia w lodową pustkę, w step, gdzie kwitną śmiertelne kwiaty, tylko dla nich widoczne w takiej bezświatłej godzinie.

Taka godzina, jeżeli przetrzymana i przewalczona, stanowi zawsze o reformowaniu charakteru. Albo wyrabia się dostateczna moc odpornej siły, albo następuje deprawacja uczuć, pędząca do zaniku i zastoju istotnej moralności. Co przeważało w tej chwili u Marysieńki?

Nie czuła ona sama.

Zbliżyła się po świetlanej strudze do dziecka. Z wysiłkiem obolałych łądźwi pochyliła się. Spało z zamkniętymi oczyma. Było lekko sinawe, lecz gładkie i miłe. Miało pozory miniatury człowieka.

Zdziwiła się, jak niesłusznie szkalowano urodę maluchnych dzieci.

— Śliczne jest... — szepnęła.

I zaraz naleciało na nią:

— Ale oczy... oczy... jakie ma oczy, jakie będzie z otwartymi oczyma?...

Dotknęła delikatnie miękkiego, ciepłego czoła, podniosła powieki. Zamajaczyły szafiry niespodziewanie dużych i pięknych oczu. Wyrazu w nich nie było. Szkliste były. Ale żyły, piękniały, jakby się w nich cały błękit nieba skoncentrował. Była olśniona ich pięknnością i szlachetnością ich barwy.

— Jakie cudne oczy!... jakie cudne!... — I nagle rozpętała się w niej *hosanna* wdzięczności, jakaś radość bezkresna, uczucie szalonej ulgi. Zrozumiała, że bez tych oczu dziecko jej nie było *z u p e ł n e*, było raczej rzeczą martwą i z brakiem ujścia dla swych przyszłych pojęć, myśli, pragnień, dążeń. Nietylko wspaniałością drogocennych i rzadkich klejnotów, *gemmes* lśniących w tajniach skarbców zazdrośnie przez ożywione maskarony strzeżonych, były dla niej oczy jej dziecka, lecz zarazem pewnością, iż stworzyła coś pełnego, coś doskonałego, mogącego przyjmować i oddawać nawzajem całe pojęcia światów prawdziwych, a nie fantasmagorycznych.

Lecz równocześnie z tą dumą wypęzło w niej targanie się dawnych bólów i rozterek.

Świat, na który miało patrzeć jej dziecko, skalani był i pełen błotnistych oparów. Wiedziała o tem właśnie ona, i знаła ten odwrót od ideału, bolesny i niewypowiedziany. I nagle znalazła się bezradna wobec potężnego i zasadniczego problemu.

— Co lepiej? uświadomić zaraz, aby nie przeżywało tej Golgoty, przez którą ona przeszła... czy zakryć wszystko jak najdłużej i chować tę istotę wśród świata pozornej doskonałości?..

Pierwsze oszczędzi bólu i spadku w otchłanie, drugie natomiast przyniesie tę podejrzliwość patrzenia na wszystko, ten brak jakiegokolwiek baśni, legendy czystości, to odrazu wkroczenie dziecięcą jeszcze stopą w bankructwo życiowe. Nawet nie będzie to pojęcie mierności, lecz odrazu rozciągnięcie posępnej, ohydnej monotoności, nieprzeparłej, błotnistej szpetoty i zbrodni-czej oschłości ciemnych stron życia.

— Nawet chwili uśmiechnięcia się do dostojnego, według własnych duchowych potrzeb i rozmiarów wytworzonego ideału, nawet jednej chwili!...

Co gorsze?

Czy utrata ideału, czy nieposiadanie go nigdy?

— — — — —
Z salonu do uszu Marysienki dobiegło miarowe, spokojne chrapanie.

To Zdzych odpoczywał po trudach i wzruszeniach ubiegłej nocy. Kto z nich dwojga był bliższy prawdy? Czy mężczyzna, który się pogodził ze stanem rzeczy, przyjął i zaadoptował go, a nawet poniekąd u miłował i rozszerzał swą energią i mocą, czy ona, kobieta, ze swą namiętną egzaltacją, pragnieniem zupełnej (do jej potrzeb dostosowanej) doskonałości, a w razie zawodu dysząca całą uczuciem mściwości. W rozterce tej i niezrozumieniu zapuściła Marysienka zasłonę na martwy blask, bijący z odsłoniętego okna.

Zapadła nagle w ciemność podwójną.

Czarno było dokoła niej, jakby w katakumbach, i czarno od niepewności w jej duszy.

Jak iść? jaką drogą?

I co było najgorsze, to poczucie, iż teraz iść nie będzie sama, lecz prowadzić musi za rękę uczone dziecko, które żądać od niej będzie orientacji, a co najwięcej Prawdy.

— Czy dla jego choćby chwilowego szczęścia winna jestem uciec się do kłamstwa? czy mam pchnąć je odrazu do źródła zła, aby przywykło do trucizny, i uczynić je odporne na wrażenia takich mąk, przez jakie ja przeszedłam?

Co zynić?

Leżąc w pościeli, wyciągnęła rękę i natrafiła na delikatne, ciepłe czoło dziecka, leżącego w kołysce. Położyła na niem swe palce i wsłuchi-

wała się tak w pulsowanie młodej a już żywej krwi. Było to dla niej uczucie czarującej rozko-
szy, lecz zarazem przeświadczenie, iż tortury
świadości, które ona pielęgnuje w sobie,
zdwoiły się i spotęgowały przez to zdwojenie
się jej istoty.

— Cierpieć teraz mi nakazane i za mnie i za
to dziecię.

Które cierpienie będzie silniejsze, bardziej tra-
gicznym bólem wpije mi się w serce?

Zdaje się, że to drugie!

Trzy dni minęły dość składnie i cicho. Dzie-
cko zachowywało się pokornie i grzecznie. Ma-
rysieńka chorowała normalnie, z dodatkiem zbyt
silnego osłabienia. Nie zdradzała się jednak z niem,
lękając się, aby nie zakazano jej karmić dziecka
i nie wprowadzono do domu mamki.

— Wszystko, tylko nie to!... — mówiła twardo
i stanowczo.

Zdzich trochę oponował.

— Będę się musiał wyrzec ciebie.

— To się wyrzeczysz... — odparła takim sa-
mym tonem.

— Dobrze! — odparł, a w oczach jego Ma-
rysieńka wyczytała pewien blask, który już za-
czynała rozumieć.

Nie wiedziała, dlaczego ścisnęło się jej serce.
Wyciągnęła rękę.

— Ja także się wyrzeknę... — szepnęła, usi-
lując być bardzo miękką i bardzo kobietą.

Powstał z krawędzi jej łóżka, na którym sie-
dział.

— To co innego.

— ?...

— Jesteś kobietą.

— A!...

Urwali rozmowę na tym szablonie. W powie-
dzeniu, w głosie, w podbójczej i zuchwałej mi-
nie Zdzicha, Marysieńka wyczuła tajemne posta-
nowienie...

I z kątów ciemnicy wypełzać zaczęły widma,
tych czyhających, tych wiecznie gotowych do
przyjęcia za marną sumę, takich, którzy wma-
wiają w siebie, iż w przygodnych, chwilowych
pasyach znajdują konieczne i uzdrawiające ich
ulgi.

— Pójdzie do nich! — myślała — pójdzie...
czuję to...

Nie wiedziała, co w niej w tej chwili prze-
waża. Czy tak, jak onej pamiętnej nocy, gdy
wróciła do domu od rodziców, rozpaczliwa, sam-
cza zazdrość, czy rodzaj pogardliwej litości.

— Nie wiem już...

Pochyliła się nad dzieckiem, które leżało obok
niej w swych haftowanych poduszeczkach ci-
chutkie i grzeczne.

— Co tam!... niech idzie!... ja mam dziecko...

Widziała je dokładniej. Przyzwyczaiła się do ciemności, a przytem Kuglerowa odsłoniła trochę ram okna. Zaczęła się pilnie przyglądać tej małej twarzyczce.

Czy jej wzrok był tak bardzo czystą miłością przejęty, czy sen dziecka miał tę ekstazę krystalicznego piękna, dość, że na drobnusieńkich wargach dziecka wykwił nagle czarujący, delikatny uśmiech.

— Och! uśmiecha się!...

Tchu Marysieńce zabrakło. Chciała przywołać męża, który w saloniku ubierał się do wyjścia, lecz nagle coś nią targnęło.

— Nie — wyrzekła prawie twardo — on nie godzien!... on pełen pragnienia brudnych uścisków, onby z tem anielskiem wrażeniem miał iść wprost w ramiona dziewczki?... Nie godzien!... nie godzien!... nie godzien!...

Zazdrośnie ogarnęła dziecko ramionami. Uśmiechało się ciągle ufne i senne.

— Z aniołami rozmawia... — przypomniała sobie prześliczną legendę, zasłyszaną od matki.

Lecz równocześnie jakiś zdjął ją niepokój.

— Co to? oczy ma spuchnięte?

Istotnie. Drobnuchne powieki były nabrzmiałe i trochę sinawe. Nie wiedziała dlaczego, ale ogarnął ją lęk.

— Może za wcześnie odsłonięto okna?

Zadzwoiła na służącą. Niania, głupia wiej-

ska dziewczyna, opychała swój głód całych lat w kuchni kawą i chlebem z masłem.

Weszła pokojowa.

— Zasłoń okno.

— Dlaczego? Pani Kuglerowa mówiła, że można...

— Dziecko oczy bołą.

Pokojowa zbliżyła się cichutko do łóżka, popatrzyła na dziecko i pokręciła głową.

— O! o!... — powiedziała półgłosem.

— Co?...

Dziewczyna patrzyła wciąż na dziecko.

— Nic... nic...

— Czemu tak głową kręcisz?

— Bo to...

Urwała, zagryzła usta. Wreszcie z miną znawcy:

— Żeby tak dziecko otwarło oczy.

Marysieńka wyciągnęła rękę, chcąc podnieść powiekę dziecka, lecz pokojowa pochwyciła ją za ramię.

— Niech pani się nie dotyka.

— ?...

— Bo może być z tego nieszczęście.

— Nie rozumiem.

— U mojej siostry tak się stało z ostatniem dzieckiem. Po urodzeniu zachorowało na oczy. Doktor strasznie odkazywał i mówił, że to zaraźliwe. A jak stary dostanie, to już po oczach...

Chwileczkę zapanowało milczenie. Coś stra-

sznego, ciężkiego, lodowatego zawisło w powietrzu. I nagle zaskomliło dziecko cichutką, pokorną skargą.

I umilkło.

Bez tchu, niskim, zmienionym głosem zapytała Marysieńka:

— I co z tem dzieckiem twojej siostry? Pokojowa już stała koło drzwi.

— Oślepto! — odparła.

I strachem zdjęta, zniknęła za drzwiami.

XXVIII.

Oślepto!...

Jakiemś połączeniem idei wydarło się ku Marysieńce ochryłym głosem rzucone przekleństwo:

— Bodajeś urodziła ślepe szczenię!

Zamknęła oczy, przytłumiła dech. Wszystko zdawało się jej snem, marą jakąś, która dławiła ją rozbójniczo. Tamta, dziewczka-matka, stanęła jej przed oczyma, jak żywa z dokładnością zupełną. Widzi ją, jak odchodzi w świat, zaszlochana i groźna, unosząc z sobą swe ciało niekształtne i majestat macierzyństwa. Klnie ją, Marysieńkę, i jej płód — ona, matka, klnie matkę w imię krzywdy, uczynionej jej płodowi.

— Bodajeś porodziła ślepe szczenię!...

Marysieńka nagle wyciąga ręce w przestrzeń:

— Wszystko, tylko nie to!

A potem ślub, uczyniony nieznanemu bogu zemsty:

— Odszukam tę dziewczkę, dowiem się, co z nią, dopomogę...

I z rozpaczem łkaniem:

— Tylko niech moje dziecko widzi! niech widzi! Wpatruje się w oczy dziecka. Nie myli się.

Powieki małej nabrzmiewają coraz więcej i sinieją. Maską twarzy staje się brzydka i odrażająca. Niez szczęście przywarło, rośnie i olbrzymieje.

Za oknami wieje jakiś dziwny wicher, połączenie jesiennych i wiosennych burz. Naigrawa się z drobiazgowych ludzkich zamiarów i planów. Jest niepowstrzymalny i pędzi z nieznanym źródłem i ginie w nieznanym kresach. Po drodze obala całe subtelne gmachy i natrzasa się z postanowień zbrodniczych lub wytwornie moralnych. Kurczy i szarpie jednak najpodlejszymi jak i najdoskonalszymi duchami.

W ślepe okna mieszkania Marysieńki łomocze ten wicher, niosąc z sobą mimo dnia wrażenie ciemności śmiertelnej i niezwalczonej. Jakby kominem, tak ciągnie wąwozem ulicznym, siejąc grozę, tęsknotę i przeczucie samych katastrofalnych nieszczęść. W swym łóżku położnicy wije się z trwogi Marysieńka, a obok niej coraz częściej, coraz silniej skarży się dziecko, którego twarzyczka rozkoszna, o uśmiechu anioła, przemienia się zwolna w tragicznego maskarona, straszącego z jakiejś zapleśniałej kamiennej wieży nietoperze i sowy, krążące cicho jak stwory wśród agonii dnia.

— — — — —
I nagle porywa się Marysieńka.

— Co? jak? tak nie będzie... to głupstwo.. to minie...

Uczepia się dzwonka.

— Po Kuglerową, po pana do biura, po doktorów!...

Alarmuje dom cały. Już idzie Kuglerowa. Po raz pierwszy Marysieńka wita jej wejście uczuciem ulgi.

— Niech pani tu przyjdzie, niech pani patrzy!...

Śledzi, szpieguje wyraz twarzy Kuglerowej. Widzi, iż pierwsze wrażenie jest fatalne, lecz siłą woli Kuglerowa je niszczy. Uśmiecha się nawet.

— Nic... nic... drobnostka... to minie.

Jedna chwila uspokojenia. Lecz zaraz bije nowy cios.

— Tylko... niech się pani nie dotyka i trzeba bardzo ostrożnie...

— A...

— Tak. Ja dziecko położę w kołyskę i pobiegnę po specjalistę doktora. On to wyleczy raz, dwa...

Marysieńka pada na wznak na łóżko. Otworzyła usta, nie może jednak nic przemówić.

W przedpokoju słychać chrzęst klucza.

— Co się stało?

Jest zirytowany, że gwałtownie wyrwano go z biura. Ktoś nawet śmiał się, dowcipkując na temat spóźnionego bliźnięcia.

Marysieńka z wysiłkiem wskazuje mu dziecko.

— Oczywiście... oczywiście...

Nie bierze tej sprawy tragicznie.

— No więc co? Musiałaś odslaniać okna niepotrzebnie. Co?

Marysieńka kurczy się cała. Przypomina sobie, jak w kilka godzin po urodzeniu dziecka odsłoniła okno, aby zobaczyć barwę źrenic swej dziewczynki.

Zdzich siada z hałasem przy kolebce.

— No co tam, panno, z temi ślepkami?

Wyciąga rękę, ale Kuglerowa, dotąd milcząca i jakoś spoważniała, chwyta go za ramię.

— Proszę się nie dotykać.

Patrzy na nią ze zdziwieniem.

— Bo co?

— Lepiej się nie dotykać, zanim przyjdzie lekarz. Niech pan dobrodziej sprowadzi zaraz okulistę.

— Teraz nie mam czasu. Muszę wracać do biura.

Lecz Kuglerowa jest stanowcza.

— Tu niema żartów, lekarz z a r a z być musi.

Powstał i patrzy na Kuglerową przez chwilę. Coś tam pomiędzy nimi zachodzi, jakieś porozumienie, coś ważnego z samej głębi.

— No dobrze... sprowadź! — mówi wreszcie Zdzich cichszym tonem. A do żony zwraca się z wymówką:

— Jak mogłaś robić takie głupstwa? Teraz dziecko cierpi...

Wychodzi szybko i zatrzaskuje drzwi wchodowe. Za nim biegnie Kuglerowa, wypada na

schody. Musieli tam rozmawiać chwilę. Wraca wzburzona i zaczyna sobie wzdychać, kręcąc się po pokoju.

— Ja mam za dobre serce — mruczy — daję się powodować pacyentkom, a potem na mnie spada odpowiedzialność!

I nagle zatrzymuje się na środku pokoju gniewna i zmieniona.

— A potem, ja sobie od tego ręce umyвам...

Marysieńka niedobrze rozumie, o co właściwie chodzi. Ma jednak wrażenie, że w ten zimny, szkaradny ranek wśliznęło się do jej domu coś nietylko szkaradnego, ale i tragicznego w następstwach.

Leży cicho, nieruchomo i wsluchuje się w piskliwą, bolesną skargę dziecka. Poczująca się winną i tem więcej cierpi. Czeka na przybycie lekarza, jak na Mesyasza. Odsuwa mdłe rosoly i kleiki, którymi ją chcą poić. I ciągle się pyta:

— Czy doktor nie idzie?

Dwie sine plamy wystąpiły jej na policzki. Ręce trzyma zaciśnięte na silnie wezbranych pierśsiach. Lecz nie śmie karmić dziecka, nie śmie się go dotknąć. Zresztą wie, że Kuglerowa jej na to nie pozwoli.

— — — — —
Nareszcie zgrzyt klucza w zamku i powrót Zdzicha.

— I co? i co?...

— Doktor będzie o siódmej. Wcześniej nie może!

I zaraz idzie w głąb mieszkania, wołając donośnie:

— Obiad! raz, dwa, głodnym jak pies.

Podają obiad. Wszystko idzie swym trybem. Kuglerowa karmi dziecko rumiankiem. Lecz ono nie chce przyjąć nic. Zbyt cierpi. Głową trze tło poduszki niecierpliwie i bez odpoczynku. Marysieńka z każdą minutą czuje coraz większy ból, wpijający się w jej serce.

— Moja wina — myśli — moja wina!

W jadalni szcękają talerze, dzwonią szklanki, słychać otwieranie butelek. Czasem przyciszone głosy Kuglerowej i Zdzicha. Mówią teraz szepem, jakby zamieniali jakieś tajemnice.

Zresztą — życie idzie swoim trybem. Tylko w sypialni Marysieńka w gorączce pochyła się nad jęczącym dzieckiem.

— Daruj! — modli się — daruj!...

Ściemnia się, gdy wreszcie zjawia się lekarz.

Idzie dziwnie cicho i lekko. Jest siwy, niewysokiego wzrostu, brzydki i dziwnie imponujący w swej brzydocie. Samym chodem czyni wrażenie człowieka, który, jak Sokrates, opanował siebie i przez to opanowuje drugich. Marysieńka patrzy na niego, jak oto wchodzi w jej ciemnicę po równej linii oświetlonych elektrycznością innych pokoi. Zjawia się przed nią, jak

wybawiciel, ale zarazem jak sędzia surowy i dominujący. Pierwszym jej odruchem chęć rzucenia się przed nim na kolana z krzykiem:

— Daruj i ratuj!...

Lecz milczy, bo oto już jest przy niej i zwraca się do następującego mu na pięty Zdzicha:

— Proszę o światło!

W jednej chwili zalewa białą, wstrętą jasność sypialnię. Marysieńka oślepiona upada na poduszki. Gdy otwiera oczy, widzi, iż lekarz myje nadzwyczaj starannie ręce w sąsiadującej łazience. Asystuje mu Kuglerowa i mówi coś cicho, lecz on jej nie odpowiada. Wreszcie wchodzi do sypialni i uklonem z czasów wersalskich wita Marysieńkę. Zbliża się do kotłyski i każe Kuglerowej wziąć dziecko.

Ta czyni to z obawą i pewną odrazą. Zaczyna się badanie.

XXIX.

Zimny wzrok siwych oczu, czystych i przenikliwych, przesywa Zdzicha, a potem przenosi się na Marysieńkę.

— Tak! — mówi doktor — tak!...

I zaraz dodaje imperatywnie:

— Proszę dziecko położyć do kołyski.

Idzie znów do łazienki i tam długo myje ręce. Marysieńka widzi, iż do wody wrzuca jakieś pastylki.

Nad nią pochyla się Zdzych.

— Ile mu trzeba będzie dać? — szepcze, troszcząc się głównie o tę stronę konsultacyi.

Ona nakazuje mu milczenie. Z łazienki bowiem dolatują silniejsze głosy. Widocznie lekarz robi jakieś zarzuty Kuglerowej. Ta się broni...

— Należało przymusić — mówi lekarz.

— Nie chciała!... a zresztą nie spodziewałam się. Takie porządne państwo!

— To do rzeczy nic nie ma.

— I młode małżeństwo...

— To także do rzeczy nic nie ma!

Wracają do sypialni. Doktor kładzie obrączkę, którą schował przed badaniem do kieszeni od

kamizelki. Kuglerowa ma na twarzy wypieki i jest wściekła.

Marysieńka nie wymówiła jeszcze słowa. Lecz teraz zdławionym głosem zapytuje:

— Więc co?

Lekarz wolno, miarowo odpowiada:

— Jest źle. Powodem zaniedbanie, lekkomyślność. Nawet w tym stanie rzeczy można było dziecko ochronić.

Widoczne jest, że jakieś konwenanse go dławią.

A może niewinny, dziecięcy wyraz twarzy Marysieńki, zwrócony ku niemu.

Widoczne jest, że prawdy nikt tu odkryć nie chce.

Tymczasem Marysieńka z oczyma łez pełnymi mówi:

— Ja nie wiedziałam... — urywa. — Ja tylko przez chwilę...

Lekarz patrzy na nią, jakby nie rozumiał. Ona wybucha płaczem spazmatycznym, rozpaczliwym. Chciałaby oskarżyć się, powiedzieć, że, gnana jakimś nieprzeparciem uczuciem, odsłoniła te okna, aby zobaczyć, że nie porodziła »ślepe szczenię«, ale łkania dławią ją konwulsyjnie.

I wijąc się na tle poduszek, powtarza tylko:

— Ja... nie wiedziałam!...

Lekarz równo, spokojnie znów mówi:

— Niech się pani uspokoi. Przy dobrych

staraniach i doskonałej opiece możemy wyprowadzić dziecko pani z niebezpieczeństwa. Chodzi tylko o tego, aby na jedną chwilę nie zaniedbano to, co robić będzie należało. Kto będzie pielęgnował dziecko?

Kuglerowa skręca się obleśnie.

— Ja nie mogę, nie mam czasu. Jestem zamówiona. Ale przysięł pielęgniarkę!

Lecz Marysieńka się porywa:

— Nic! ja! ja będę pielęgnować, to mój obowiązek.

Lekarz oponuje:

— Pani jest jeszcze chora.

Ale w oczach Marysieńki błyszczy dziwny wyraz.

— Ja... tylko ja!

I potem dodaje z pokorą głuchym, bezdzwięcznym głosem:

— Zawiniłam! więc do mnie należy kara!

Nikt jej nie przeczy. Wszyscy walą winę na jej wątłe ramiona. Lekarz tylko, nie rozumiejący dokładnie stanu rzeczy, ostrzega ją:

— To choroba bardzo zaraźliwa, niebezpieczna. Zwłaszcza dla osób starszych. Dzieci są odporniejsze. Gdyby przeniosła się na oczy pani, trudno będzie ją usunąć!

Lecz ona powtarza z rozpaczliwym uporem:

— Tylko ja!

— Dobrze! Więc oto co czynić należy. Dzie-

cko już jest chore od trzech dni. Tego nikt widocznie nie zauważył.

— Ciemno było... Pierwszego dnia miało takie śliczne, niebieskie oczy.

Lekarz się łagodnie uśmiecha.

— Legenda o niebieskich oczach u noworodków powtarza się znowu. Przyczyną słaba ilość barwika. Zwykle zjawisko. Kto wie, jakie dzwyczynka pani mieć będzie oczy w przyszłości.

Marysieńka nieśmiało objawia:

— Żeby niebieskie!...

— No dobrze! dobrze! Ale teraz chodzi o to, aby ocalić wogóle jej oczy. Więc proszę przede wszystkim obciąć paznogie, postarać się o lód i z czyściutkiego płótna porobić maluchne płateczki. Tymi płatkami osypać lód i takie prosto z lodu kłaść na oczy dziecka co parę minut. Te, które się zdejmują, rzucać na papier i palić. Ręce myć ciągle, ciągle w wodzie z sublimatem. Oto są pastylki na razie.

Wyjął z kieszeni żelatynową tutkę z pastylkami.

— Weszliśmy już w okres nacieku — dodaje, jakby miał wykład przed audytorium klinicznym. — Wtedy należy jeszcze zwiększyć czujność, gdy pojawi się śluz... Zresztą, będę tu jutro...

Wstał z krzesła, na którym siedział, powoli, systematycznie i dodał:

— Zwracam pani uwagę, że najłżejsze zanie-

dbanie w tem, co przepisuję, może spowodzić katastrofę... Dziecko może wzrok utracić!

Skłonił się wersalsko i wyszedł. W salonie oczekiwał go Zdzych i zaraz rozpoczęli tajemnicze szept. W ślad za lekarzem poszła gniewnie Kuglerowa.

Przez jakiś czas Marysieńka pozostała sama.

Pozostawiono sypialnię oświetloną i teraz oszpecenie dziecka przez zapuchnięcie oczu wystąpiło w całej pełni.

— Och, moja mała! moja droga mała! — modliła się Marysieńka.

I, zdjęta rozpaczą, zaczęła bić się w głowę, w piersi.

— Ty podła! podła! — mówiła do siebie — ty własne dziecko oślepiłaś, ty podła!...

W takim stanie zastał ją powracający po odprawieniu lekarza mąż. Zdawał się jej zmieniony, jakby niepewny, zmieszany i unikał jej wzroku.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał ją kwaśno. Rzuciła się ku niemu.

— Ach, Zdzychu! Zdzychu! jaka ja nieszczęśliwa!...

Chciała go porwać za rękę, ale cofnął ręce z przestachem.

— No... no... wszystko będzie dobrze! — wymówił niepewnym głosem.

— To moja wina! moja! moja!...

Milczał chwilę i nagle wybuchnął:

— Zapewne. Gdybyś słuchała Kuglerowej...

— Nie wiedziałam. Odstłoniłam okno tylko na minutę. Nie sądziłam, że to zaszkodzi...

Łkała wciąż, a łzy jej gradem płynęły po twarzy.

On popatrzył na nią uważnie i nagle odwrócił się i przeniósł wzrok na dziecko. Jakiś błysk głębokiego żalu przemknął mu na chwilę po twarzy. Coś jakby tam w samej głębi sumienia załopotало. Lecz szybko opamiętał się i lekko zaczął pocieszać Marysieńkę:

— No dość... jeszcze ty zachorujesz... tego tylko będzie potrzeba...

— Bo to moja wina! — powtarzała z uporem.

I nagle, kornie, kuląc ramionka i wyciągając ręce, drżąca cała i w najwyższym zdenerwowaniu błagać zaczęła męża:

— Daruj! daruj!...

Szarpnął się niecierpliwie i szybko wyszedł z pokoju.

Zdawało się jej, że, wychodząc, wzruszył ramionami i szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Idyotka!...

Ale to pewnie jej się zdawało.

XXX.

Noc!

Wielka, cicha, głucha — ofiarna noc. Doko-
nywa się w niej przemiana cudowna serca dziecka-
kobiety na serce kobiety skończenie doskonałej,
skryształizowanej w abnegacyi najszczytniejszego
poświęcenia.

— Oczy ci moje niosę w ofierze! — mówi
każdy powolny gest rąk Marysieńki.

W bledziuchnem, błękitnawem oświetleniu
pochyla się tragiczna położnica nad zsiniałą,
szpetną maską noworodka, walcząc z całą mocą
przeciw piekielnemu złu, żrącemu oczy jej
dziecka.

— Ocalę cię, albo razem z tobą zapadnę
w ciemnię, w mrok, zostanę tą... zamurowaną!
Obie staniemy przed czarną ścianą, poza którą
jedynie zagadki istnieją. I pójdziemy obie wzdłuż
tego muru, trzymając się za ręce, obie ślepe,
z wyżartemi jadem oczami, obie czekające kresu,
który dla nas będzie tylko przejściem z jednej
nocy w drugą!...

My — dwie!

Ja, która pożegniam słońce, ty, która go nie
przywitałaś!

My — dwie!...

Powolną seryą gestów, ciągle, monotennie się
powtarzających, znaczy się teraz istnienie Mary-
sieńki. Delikatnie zdejmuje z bryły lodu płatki
płócienne i nakłada je na zapuchnięte powieki
dziecka. Poprzednie odrzuca na przygotowany
na stoliku arkusz papieru. Co jakiś czas uchyla
powieki dziecka celem oczyszczenia oczu. I wów-
czas doznaje strasznego ucisku serca. Błękitne,
czyste źrenice jej dziewczynki przedstawiają stra-
szny, wstrząsający widok. Za każdym razem Ma-
rysieńka łka cichym jękiem, który skurczem bo-
lesnym dławi jej gardło. I mimowoli, nie wie-
dząc dlaczego, zwraca się ku oknom, które, za-
słonięte, tajemnicze, oddzielają ją na pozór od
świata, a przecież łączą ją niewidzialnymi, mi-
stycznymi węzły.

— Możesz nigdy nie poznać, co jest poza
niemi... — myśli schylona nad dzieckiem.

I w tej samej chwili przejmując ją wstrząsa-
jąca myśl:

— Byłoby to rzeczywiste, wielkie niezczę-
ście? Czy warto jest poznanie realnych kształ-
tów życia opłacać cierpieniem i bólem zawodów
i rozczarowań? Czy nie lepiej stworzyć sobie
świat fantastyczny, ogród zaczarowany, pełen tę-

czowych barw i brylantowych blasków? Czy ona, Marysieńka, nie byłaby szczęśliwsza, gdyby pozostała w nieświadomości, w ciemni, żyjąc urojonem życiem doskonałych widm i fantasmagori?

— Gdybym nie wiedziała, że istnieją... że istnieją... one i ci, którzy stwarzają konieczność ich istnienia... gdybym nie wiedziała...

Lecz oto pędem, furją, nalatuje ją szyderyczy głoś:

— To cóż, że nie byłabyś widziała takiej wiedźmy konkretnie, dokładnie... Czy mimo to onaby nie istniała? Czy mimo to nie wytwarzałyby się dalej i wokoło te warunki, które z nich, z ich istnienia początek swój biorą? Te kręgi błota i nikczemności, które wokoło ich cielsk się rozchodzą, jednakoby z cichym pluskiem powiększającego się bagna zataczały się i rosły. I moralna atmosfera rozpadu i zgnilizny nie przestałaby bić kłębami wśród szalejącej na punkcie kultu dla dziewczek ludzkości. Czy mur ślepoty fizycznej odgrodziłby jakąś nieszczęsną kobietę od poznania plastycznej formy tych zwierząt?

— Czy warto, aby dziewczynka moja nie знаła blasku słońca i przepysznych barw tęczy, brylantowych i rubinowych drgań gwiazdnej sieci, barwy rozkwitłych aksamitem bratków i białości doskonałej własnych piersi! Czy warto zatracić te sensacje, a raczej nie doznać nigdy ich roz-

koszy, aby uchronić się przed widokiem aroganckiej masy cielska, szczerzącego swe zęby w stronę zapłaty za parodję uścisku i zbezczeszczenia miłości? Jeżeli mimo wszystko ołtarze nocnych świątyń nie pozostaną bez bóstw rozwalonych w swej szkaradnej pijanej nagości, z przepaską, na której zwiesza się worek, pobrękujący zebraną, spleśniałą monetą! I dokoła tego ołtarza widać tylko gesty, wytwarzane jedynie przez instynkt i moc nieświadomą. Gdyby przez ofiarę ślepoty swojej i swej córki Marysieńka mogła zgładzić w jednej chwili istnienie rozpustnic płatnych, zda się, iż tej nocy właśnie uczyniłaby to bez wahania. Lecz było to na-próżno. Nieposkromiona, rozhukana fala wyłobiała sobie całą sieć koryt, któremi waliła się, druzgocąc i niweczając czystość i piękność ludzkich przeznaczeń. Nie tą ofiarą olbrzymią bądź co bądź i wzniosłą — a tak cichą i drobną mogła zwalczyć ciężko zagnieżdżone monstrum, zakrywające sobą nawet gwiazdne niebo nieskalanego pojęcia o przeznaczeniu szczęścia i cierpienia!

Nie tą ofiarą!...

Żywo podjęła znowu białe motyle zmarzniętych płatków i w religijnym skupieniu złożyła je na powieki dziecka.

— Nie mam prawa oślepiac je, nie mam prawa. Bo... w imię czego? Niechże zazna choć

te dziecinne radosne spojrzenia, któremi wita się Naturę i jej bogactwo lśniące, jak rzeczy najdrogocenniejsze. Niech to choć zabierze z sobą na dalsze istnienie.

Z sąsiedniego pokoju dolatywało miarowe, spokojne chrapanie męża. Był to sen człowieka bez troski, sen tego, który wypełnił swój obowiązek i któremu osobiście nic nie zagraża.

Marysieńka wsłuchiwała się chwilę w ten znak życiowy, do którego tak już przywykła w ciągu tych długich małżeńskich nocy, iż przestała go rozumieć i nadawać mu jakiegokolwiek znaczenie. Lecz dziś przewrażliwiona prostoprostu, ona, która odetchnąć nie śmiała, aby nie zbudzić z bolesnego snu dziecko, pogrążone w swym oślepyłym od-poczynku, doznała jakiegoś cierpienia na myśl, iż właściwie jest samą do walczenia ze śmiertelną potęgą zła, które się na nią wali. I w dodatku jako odpowiedź na ten pretekst pozostawienia wzroku swej córce dla wspomnień rozkosznej młodości — uderzeniem młota, w takt chrapiącego głosu mężczyzny rozszalał się w niej jakby ironiczny śmiech.

— A ty? a ty? co ci teraz po tych wspomnieniach? czy mogłaś niemi rozjaśnić choćby na chwilę mękę, jaka spadła na ciebie wraz z Poznaniem prawdy? Czy nie martwym trupem wydaje się dla ciebie obecnie to dzieciństwo twoje przeczyste, trupem złożonym do trumny, rozpa-

dającej się w proch w grobowcu, na którego płycie tańczą kabaretowe pas dziewczki, wyniesione do szczytu adoracji przez tolerowanie i usankcjonowanie ich istnienia? Czy nie było to nędzne miotanie się takie poszukiwanie w popiele ciepła i wycie do pustki i wysiłek bez jutra?

— Cóż stąd, że zachowam jej tę tęczę, w której odbija się wszechświat, skoro w tym wszechświecie kontrast zgniławego cienia zagłuszy świetne blaski.

Cóż stąd?

A jednak uczynię to — uczynię i ocalę jej ocy. Dam jej możliwość witania poranku, przepychu południa i wdzięku chylącego się dnia. Pozwolę jej poznać własną piękność w tafli strumienia i dyamentowe blaski, drżące w kropkach rosy na kwiatach. — — — Dam jej to wszystko, choćby na chwilę jedną...

Cichy szmer małego, tajemniczego zegareczka przypominał Marysieńce, iż noc ta płynie niepowstrzymana jak rzeka, śpiesząca do morza. Powoli zatracala poczucie swych myśli. Zdało się jej, że wchodzi w świat widm i przyjmuje udział w istnieniu i gestach mar.

I ciągle, ciągle ruch jej rąk, gesty skupione, nabożne, powolne, koncentrowały w sobie konieczność jej życia, stawały się niem i jego treścią. Drobniała, malała ona sama, rozpływała się

jakby w mglistość. A tylko czyn wysnuwał się z tej mglistości i był przewagą i świętością i jakby na skrzydłach niósł z sobą to, co było nią i z czego tworzyło się to, co miało być jeszcze więcej nią i Celem jej.

XXXI.

Kilka dni minęło łańcuchem jednostajnym, bez zmiany.

Wizyty lekarza, ciche, dyskretne, przedarte nagle żalosnem skomleniem dziecka i zdławionem łkaniem Marysieńki. I wpatrzenie się jej w twarz okulisty, a potem zapadnięcie w utratę nadziei, jakieś zakotłowanie się rozpaczne na samem dnie serca.

I po tych lapisowych oczyszczeniach znów jednostajna serya gestów powolnych, spokojnych, z położeniem głównego nacisku na usuwanie z jam ocznych żrącego nacieku.

— Proszę pamiętać — mówił lekarz, ważąc każde słowo — proszę pamiętać chronić rogówkę. Niech, broń Boże, nie robią się wrzody, bo przebiją rogówkę...

— Doktorze... krew płynie!...

— To nic, spojówka zajęta, naczynka pękają! Proszę jednak pamiętać usuwać głównie ropę... bez przerwy, bez przerwy...

Odszedł.

Mdlejącymi rękami Marysieńka dotyka się dziecka. Czyni się z nią coś nadzwyczajnego.

I to nagle. Nerwami trzymała się do tej chwili i gestykulowała bezustannie. Lecz oto z jej najgłębszych den wydobywa się znużenie potworne, w którym zdaje się koncentrować cała wyjąca potrzeba wypoczynku, który był jej odmówiony po pracy porodowej i po przebytych wrażeniach.

— Nie mogę, nie wolno... — szepcze, siadając na posłaniu.

Wbija swe źrenice w twarz dziecka, jakby tam chcąc zaczerpnąć siły do wypełnienia obowiązku. Oczy dziecka są ciągle zamknięte, jednak nie tak już ściśle. Sine, zapuchłe powieki od wewnątrz — zewnątrz są purpurowe. Białka mętne, nieszkliste. Wszystko to czyni z twarzy dziecka tragiczną larwę, tem straszniejszą, że bezbronną i wyjącą aż z niewinności swojej.

— Cierpię!... cierpię! — skomli to ślepe, krwawe stworzenie.

— I za co? i za co? — łopocą jakieś szmery w przestrzeni.

— — — — —

— Czy to noc? — pyta Marysieńka.

Sama już nie wie, jaka pora doby. Ciemnica w pokoju i ta ciemnica, która jej na oczy osiada.

— Czy to noc?

A potem już nie słucha odpowiedzi. I znów dziecko przygarnia, znów lód, ropa, sublimat, krew i te szkliste oczy, mętne, okropne...

Zdych przez te kilka dni stale tkwi w domu,

spełniając obowiązek istoty, w której gnieździe wydarzył się jakiś fatalny wypadek. Nawet zaofiarował się, że będzie czuwał nad dzieckiem, lecz uczynił to głosem niepewnym i już cofającym się w chwili sformułowania. Na stanowczą odmowę Marysieńki odparł wzruszeniem ramion i swobodniej już akcentując.

— Doprawdy... przesada z twej strony. Mogłabyś pozwolić komu innemu...

— Nie, nie. Słyszałeś! To zaraźliwe... nie...

— Jak chcesz!

Patrzyli tak na siebie, przedzieleni larwą dziecka, przyzwyczajeni już jakby do widzenia wśród tych leniwych, posępnych ciemności. Lecz serca ich nie drżały jednym tempem miłosnej ofiarności i dlatego Marysieńce zdawało się, że po tamtej stronie spalonego jej łzami pola znajduje się jakaś jej obca, nieznaną postać, od której wichur wicher złowrogi niesie poszarpane strzępy obojętnych, próżno rzucanych słów.

Niemniej przeto obecność Zdycha zaznaczała się odgłosem jego butów, schodzących i wchodzących na tłumiki dywanów, zaprzątaniem służby i tą nudą, którą zawsze bądź co bądź najofiarniejszy mężczyzna roztacza dokoła siebie, czuwając nad chorymi.

Są w tem jakieś pociski zezwolenia, jakaś łaska wyświadczana. Coś, co się poniża do roli najniewłaściwszej i dźwiganej dobrotliwie. Jedy-

nie jako szef kuracyjny — z ołtarza rozkazów i czynów z całą heroiczną abnegacją mężczyzna potrafi ujawnić ofiarną stronę swej duchowej organizacyi. Jako zawodowiec czy lekarz, czy samarytanin, lecz tylko ujęty w klamrę zawodu. Przygodnie, przeciętnie uczyni to nawet z pewnym wdziękiem. Lecz będzie to wdzięk krótkotrwały i pokryje go szara szata nudy i braku zgnębienia siebie na długotrwałą, ciężką, słotną metę.

Z ulgą pewną słyszy Marysieńka ze strony męża:

— Wiesz... przejdę się trochę. Nie jestem ci potrzebny?

— Nie! nie!... — szepcze skwapliwie.

Nie idzie za nim już myślą w tę zgniłą noc ciemną — do miasta, w podwójne życie, które wyczuwała dawniej i którem raniła się i szarpała do krwi, do żywej, świeżej krwi. Senną, zbolałą myślą pozostała uwięziona tutaj i oto ze zrośniętymi skrzydły chce walczyć z sobą, tą obumierającą od snu, mdlejącą ze znużenia.

— Zróbcie mi kawy! — rozkazuje — dużo czarnej kawy!

Wie, że tem trzeźwił się jej ojciec, gdy czuwać musiał, a drętwiał od snu i wyczerpania.

— Dobrze, iż sobie przypomniałam... Tak, dobrze... napiję się kawy. To mnie otrzeźwi.

Drobna postać niańki, nieładnej, wygłodnia-

łej dziewczynki, przypada już kornie do ziemi, na ten »sienniczek«, na którym według tradycyi spać musi pod stopami pustego na razie dziecięcego łóżeczka.

Wszystko powoli układa się do snu. Cały dom stygnie, martwieje. Nawet poza oknami nie słychać zrazu nic, nawet odgłosu kroków ludzkich. Tylko powoli, z początku niewyraźnym klekotem, potem szmerem, wreszcie pluskiem, rozwiemożnia się słotny deszcz i zaczyna dygotać, jęczeć, spływać nieprzerywanym płaczem po szybach.

— Deszcz! och! jaki deszcz! — powtarzała sennie Marysieńka.

I przez umysł jej przesuwa się niewyraźna myśl, że przecież są ludzie, którzy w taki deszcz, w taką wyjącą szarugę iść będą, gnani jakąś konieczną dla nich żądzą zmiany miejsca i odnalezienia nieutraconych jasności, które wloką się za nimi, podczas gdy oni, szaleńcy, szukają coś przed sobą, rozbijając swą duchowość o czarne, powstałe z gnojowych much słupy, brzęczące ostrym sykiem i cuchnące spalenizną niszczonego pożarem śmietniska...

Jedna taka myśl, jeden taki błysk przez umysł Marysieńki, i znów zatonięcie w mętnej, szarej mgłę, z której wyłania się już tylko niewyraźnie larwa dziecka o posiniąłych powiekach.

— Należy unieść powieki — myśli z całą

siłą — tak... aby ropa spływała... bo inaczej rogówka, bielmo...

Opada na poduszki. Jakies kroki. Ktoś stawa obok niej kawę, mówi coś... Skinieniem ręki daje znak życia. I znów cisza zupełna. Niania oddycha równo i prawie niedosłyszalnie, wciśnięta w poduszki, uśpiona wyklepanym świszczaco pacierzem.

— Trzeba unieść powieki — podnieca się Marysieńka.

— Tak! tak!... powieki...

Zdaje się jej, że ktoś po saloniku chodzi. Może to już Zdzich powrócił. Zresztą nie pamiętała, czy gdzie wychodził właściwie. Może był tak ciągle obok niej, zawsze dni i noce całe. Może to wszystko, ten poród, to dziecko niewidzące, zapuchłe, jęczące pod jej ręką, to widmo, sen — może to wszystko nie istniało. Tylko ona, senna, ciężka, wółprzymienna i ten ktoś, chodzący poza przymkniętymi drzwiami, ktoś jakby czuwający nad nią, a przecież czający się, aby przez te drzwi wsunąć się i dojść do niej, uczynić ponad nią jakiś gest, który będzie miał w sobie ważność mistycznego przekleństwa, które będzie miało dla niej pierwszorzędne znaczenie. I wyczekiwanie to zostało poprzedzone chwilą błogiej ciszy i wewnętrznego spokoju, która wywołała na jej martwiejącej twarzyczce wyraz niezemskiego piękna. Szybko jednak

trwożny wdzięk skończonego tragicznego wyczekiwania na konieczność morderczego nieszczenia pokrył jej lica. Znać było jakby zmaganie się z widmem przeznaczenia. Lecz siła nie stało. Z kroków, które wyczuwała z poza drzwi przymkniętych, zaczęło iść ku niej to jakieś Najgorsze, aż wreszcie przestąpiło próg marą, widmem, potworą.

Cicho, człapiąc, kłaskaniem żabich sennych warg, snuły się kroki kobiecych stóp, z których wlokły się rozchodzone, brylantami fałszywymi przystrojone pantofle. Te stopy niosły z sobą widmowe cielsko, które senny umysł Marysieńki poznał nagle jako syntezę, wykwiłt jakoby bagnistych zielsk, w które życie jej pogrzebnie spowite zostało. Szła ku niej w tym śnie taka Ona, taka dziewczka uliczna, jedna z tych poznanych w bólu i odczuty w męczarni, która już na dośmiertne nieszczenie napiętnowała jej duszę.

Jedna z tych z poza firanek przysłoniętych, które podnosi dech rozpusty i drżenie pijanych głosów. Jedna z tych, których istnienie zaznacza się zniwelowaniem setek innych istnień. Jedna z tych nadających właściwy ton życiu i która piękno życia obala i miażdży. Nie posiada bowiem nawet siły Instynktu i nie jest jego kapłanką. Przeciwnie, działa przeciw niemu i wrogą mu jest w kulcie swoim. Wystygła, chłodna,

zgnieciona od ciągłej seryi uścisków, wlecze się obłudna, owiana chichotem, drążącym nerwy skalane jej zetknięciem. Mimo wszystko, niepodzielnie pracująca i ostoja ostateczna rozszalałych organizmów, sławiących w niej łatwość podnieceń i bezmyślnych radości.

Marysieńka, we śnie pogrążona coraz głębszym, czuje i widzi tę marę, pochyloną nad sobą. Wonieje tak, jak pachniały owe kokotki w teatrze. Złoto plomby zębów świeci się tak, jak u tej ulicznicy, spotkanej owej pamiętnej nocy na ulicy około domu. Ruchy jej powolne, w pół rubaszne, w pół bezwiedne, przypominają ruchy sług w domu jej rodziców. A całość tego ciała, owianego jakąś szmatą bezszelestną o szerokim wycięciu przy szyi, niesie z sobą najdoskonalsze wyobrażenie Tej, którą ona, Marysieńka, gnała w ranek zimowy precz, za drzwi swego mieszkania gestem bezlitosnym — jak zwierzę nieczyste.

W tej chwili Marysieńka odczuła, że to zjawienie się Tej wygnanej nie jest prostem zakłóceniem spokoju jej duszy.

Zrozumiała, iż jest to jakaś godzina wielkiej zemsty i że Dzwon tej mściwości wybije silny i nieubłagany. Chciała wszelką siłą podnieść się i zacząć żyć, wrócić do swego Czynu, który ją przetwarzał. Usiłowała przestać być tą pozbawioną tętna i oddechu pod coraz bardziej prze-

możnym wpływem wizyi, która się na nią tłoczyła.

Bo oto z szat niewyraźnych ulicznicy o taniach cenach, z szmat gazowych, zbrukanych i cuchnących włóczęgą, a zda się utkanych na warsztacie geniuszu Ropsa, z tych klejnotów jakby nanizanych z trotuarowych fliz, splekanych pod naciskiem wiecznie gnanych stóp, poszukujących żeru, wyłaniać się zaczął potwór, będący wizją głęboką i bezustanną. Jakby ten gad olbrzymi o ciele wypolerowanym i lśniącym chorobliwym światłem dźwigał w sobie tajemnicę dokonanego zdławienia najprzeczystszego i najwspanialszego snu duszy kobiecej.

W chwili gdy ta dusza pragnęła żyć Cudem, gdy w takim właśnie życiu odnajdywała swój cel i woń swej egzystencji, rozpościerało się przed nią Widmo, będące właściwie panią myśli, czynów i słowa mężczyzn.

I z oczekiwanych dreszczów rozkoszy, ze śmiechów, powstających z czystych źródeł, z tych wszystkich rzeczy, nęcących ku sobie jak lato pewne w przyjsciu bogactwa i drogocennych wrażeń, wyłaniało się odczucie pustki, osamotnienia, zbierania po drodze jałmużny szacunku i wątpliwego, przyjaznego przywiązania.

Wszystko to wytwarzało śmierć uczucia i młodości serdecznej. Kobiece łono martwiało bez zaznaczenia rzeczywistych upojeń, bujnych,

sensytywnych i dających możność spojrzenia w głąb życiowego Czarui. Wszystko, co mogło być tem poznaniem tajemnicy i wchłonięciem jej w siebie, zgarnął już ten Potwór o latarnianych w oczach błyskach, palący wrażenia miłosne i ekstazy, jak darte na wicherze jesiennym szmaty.

Przegniła ta oblubienica, strawiona gorączką nieodczuwanej namiętności, goniec tragiczny, pijący soki młodości, niosąca w leniwych dłoniach trupią wesolość płatną i pustą, nie mającą treści ani nawet daru Zapomnienia — górowała nad bładem, nieśmiałem niedoświadczeniem, dążącym z pytaniem na ustach do poznania wartości życia. Biła już i tłukła w zarodku tęskne uniesienia szczerych zapałów i zamieniała je w udrękę i powolny ból rozczarowania.

I to, co mogło trwać niepożycie w istocie ludzkiej, to jest doskonała piękność upojenia miłosnego, gasło, nie zapłonawszy, jak powstawanie jakichś mistycznych gwiazd, które zostały zaledwie zaznaczone myślą w planie wszechświata.

— — — — —
Bez tętna i oddechu leży Marysieńka na swej pościeli, z larwą dziecka u boku.

Ponad nią w jej sennych marzeniach wyrosła i spotężniała, z fatalnem, brutalnem oparciem rąk na biodrach, z wydęciem warg spierzchłych i zgniecionych tkwi Kobieta-Zwierzę, Kobieta-Dziewka — ta wygnana a mimo to winkrusto-

wana w jej egzystencję Maryśka — Zośka — Irena — Elza — Ira — Nora — o tysiącu imion, niosących woń czarnej, glinianej podłogi chamskiej chaty lub betów kraciastych, z których wzięła początek. Tkwi niezgłodzona i wiecznie widna poprzez wzburzenie i rozpacz, jak wieczysty wyrok przeznaczenia...

— Muszę żyć, chcę, muszę — podnieca się dusza Marysieńki. — Nie mogę być niby konająca, muszę być żyjąca na ziemi, mam misję do spełnienia, ocalić muszę oczy mej córki... oczy mej córki...

Napróżno kręgiem zawrotnym myśli te osnuwa. Ciało jej martwe, ciężkie, zwalone, trwa nieruchome, nieprzemieżone w tem znieruchomieniu. Nie pomaga nic, nawet korność dziecięcej prawie modlitwy, wydartej ze wspomnień chwil, w których wierzy się bezgranicznie, jak wierzy się w powstawanie dziennych światel, rozkołysanych w powietrzu.

— Boże!... Matko Boska!... Panno przeczysta!... pozwólcie chwilę... jedną chwilę...

Od biodra widma odrywa się zuchwale i arogancko spoczywająca, podobna do jakiejś osobnej, okrutnej, odrębnej istoty — i z pewnością dziką, nie mającą w sobie nic z harmonijną linią ruchów greckiej Laidy, ani wyniosłych gestów renesansowej kurtyzany, twardej rozpusty gamratki złotych czasów lub zwiewnej gracyi mie-

szkanki kwiatowego japońskiego statku, pręży się w powietrzu ponad martwą twarzą Marysieńki, aż wreszcie opada na szyję delikatną śpiacej.

W bezczynności lupanarów wydelikaczone ordynarne palce zaciskają się na grdyce młodej matki.

— Leż... śpij... zdychaj w tym śnie...

Jakiś charkot, jakieś zdławione jęki protestu, błagania.

— Wygnałaś mnie, matkę jak ty, z łonem ciężarnem na śnieg, wyjąca w osamotnieniu i poniewierce wygnałaś mnie...

— Dziewką uliczną byłaś.

— Matką byłam!

— Oczy dziecka ratować muszę! puść! nie dław!...

— Powiedziałam... porodysz ślepe szczenię! Słysz, jak skomli pod twym bokiem. Jad mu oczy gryzie. Ślepnie, ślepnie... moje widzi! moje widzi! słysz!...

Marysieńce się zdaje, że słyszy swój głos, ochrypli, przeraźliwy, jakiś głos umierającego. I głos ten gaśnie, zamilka, roztapia się w jęku. I ona sama ginie, mętnieje, roztapia się we własnej nędzy. Dusza jej razem z ciałem rozpraszała się we mgłę i traciła świadomość czucia i myślenia. Zasnęła.

— — — — —

Było dziwne, trupie jakieś światło dokoła niej, gdy wreszcie po długim śnie otworzyła oczy. Ktoś musiał uchylić trochę zasłon u okien, bo przez wązkie szpary wpadał dzień mglisty, szary, deszczowy.

Na rogu komody dopalała się błękitna nocna lampka i słała mętne blaski.

Na podłodze walał się pusty sienniczek niańki pod stopami białego łóżeczka. Cisza grobowa panowała dokoła. Nawet maluchny tajemniczy zegareczek iść przestał. Marysieńka doznała wrażenia, iż powraca z bardzo dalekiej podróży, w czasie której bez tchu wlokła się wyczerpana po wilgnych, gliniastych ścieżkach, nie wiodących nigdzie i nie mających właściwie żadnych przeznaczeń. Dyszała ciężko, jakby niezdołną była do życia, jakby utraciła już w tej podróży wszelką siłę.

Lecz nagle cichy skowyt szarpnął nią całą. Dusza jej była w tym cichym jęku bezbronnej istoty. To dziecko jej, leżące obok niej, żaliło się ledwo uchwytnem skomleniem. Porwała się cała w dreszczach i trwodze.

I nagle z krzykiem tak głębokim, iż przeszył nawskroś dom całą, odrzuciła się w tył.

Obok niej już nie larwa opuchła i tragiczna, lecz maska potworna, cała zaskorupiała od ropy i krwi leżała, otwierając jeszcze lekko jamę bezzębnych ust.

Marysieńka myślała, że zdolna jest znieść cały ból, i nie lękała się cierpieć. Jednak na ten widok zadrżała cała z trwogi przed ogromem nieszczęścia, pełnego zgrozy w swych nieuniknionych następstwach.

I zaczęła drżeć cała w napięciu bezmiernem, drżeć bez ustanku, jakby ciało jej wibrowało w takt krzyku, który wydała. I suche jej usta dygotały jakąś bezsłowną modlitwą najwyższej trwogi i rozpacz. W twarzy dziecka nie można było dojrzeć żadnego rysu — nic — tylko tę skorupę ropy, przeciętą jamą ust bezzębnych i skrzywionych...

Z głębi mieszkania biegła służba z pomocą.

— Pan? gdzie pan? — bełkotała Marysieńka, instynktowo zwracając się do myśli o mężu.

— Pan poszedł już do biura.

— Dlaczego mnie nie obudzono?

— Pan nie pozwolił!

— Boże!

— Pan powiedział, że trzeba, ażeby pani odpoczęła...

Marysieńka porywa się z łóżka. Nie zważa na perswazyę — bosa, w swej długiej koszuli, gorączkowo krząta się koło dziecka. Spazmatyczne szlochanie wstrząsa nią całą. Nadmiarem starań chce wynagrodzić to, co się stało. Gdy lekarz zjawia się na progu sypialni, zastaje dziecko,

już obmyte z ropy — przebrane — i Marysieńkę siną, drżącą, ułożoną w świeżej pościeli.

Metodycznie, powolnie, bezkrwście lekarz biera się do badania dziecka. Marysieńka śledzi go rozpaczliwie. Patrzy, jak w milczeniu wykonywa swoje zabiegi. Żadna zmiana wyrazu twarzy nie pozwala jej zrozumieć stanu oczu dziecka.

Wreszcie hazarduje:

— Lepiej?... prawda?...

Zagadkowo brzmi odpowiedź:

— Niewiadomo. Stan zakaźny wprawdzie przeszedł...

— A więc?...

— Lecz są inne komplikacje...

— I...

— Zobaczymy.

Cicho oddała się, nie dotykając prawie ziemi.

Marysieńka zostaje sama z dzieckiem.

Zwraca oczy ku ciemnej twarzycze Jasno-górskiej Madonny.

— Niech ja lepiej oślepnę... niech ja!...

I dodaje szeptem, który pochodzi z najgłębszych tajni jej serca:

— Widziałam już i tak za wiele!...

XXXII.

W kilka dni później, po mieszkaniu snuje się Marysieńka, powracająca powoli do roli żyjącego człowieka.

Jakaś dławiąca, ciężka atmosfera moralna panuje dokoła. Niema w niej śladu radosnego powrotu do sił młodego, odżywającego organizmu. Niema tego tradycyjnego, tryumfującego wesela młodej matki, wkraczającej bojko w nową dla niej rolę.

Co chwila powraca do łóżeczka dziecka i pochyla się nad niem. Lecz i tu cisza jakaś panuje złowroga i tajemnicza.

Dziecko milczy teraz, nie skomli już, nie skarży się. Oczy mają normalny na pozór wygląd, lekko tylko sine i nabrzmiałe. Dziecko śpi bezustannie a raczej leży nieruchome, milczące, za ledwie oddychając. Jest w niem tajemnica ukrytego bólu, cierpienie niedostępne i tajone z jakichś wyższych, dla niego tylko odczuty i zrozumiałych przeznaczeń. Jest to już początek walki, zbłąkań i wysiłków. Drobne, miniaturowe, tak niewinne i samotne, jak dziecko same.

Zdych, stosując się do zwyczaju, przyniósł

młodej matce ładny, delikatny upominek. Odnalazł go w Rynku u Żyda jubilera, który na kryształowej miseczce wystawiał w okienku swego sklepiku czasem rzeczy wysokiej wartości artystycznej, zapoznane już stare klejnoty, na pozór wyrzucone z obiegu, kornie znoszące swój przysłany los, a przecież zachowujące w tem melancholijnem zapomnieniu jeszcze większą piękność muzealnych arcydzieł.

Tak samo było i z tym wytwornym węzłem, skręconym z drucików pozłacanych wenecką starą robotą. Misternie, jak kwiat osypany perłami i listkami pokrytymi zieloną emalią, związało się to cacko na cienkim łańcuszku, dając z siebie wartość sztuki. Zdych szukał taniej a trafił na rzecz piękną. Gdy podał ten drobiazg Marysieńce, na chwilę coś wskrzesiło się pomiędzy nimi, jakby poczucie piękna, które to poczucie zdawało się ginać na zawsze w tem chorem mieszkaniu.

— To za córkę! — wyrzekł, śmiejąc się trochę z przymusem — za syna dostaniesz coś piękniejszego...

Na bladą jej twarz wypłynął gorący rumieniec — dawno niewidziany gość. Nie rozumiała jednak, czy to było zmieszanie i wstyd przypominienia rzeczy tajemnych, czy jakiś bolesny gniew i oburzenie.

Trzymając w rękę klejnocik, skierowała się ku komódce, aby ukryć go pomiędzy drobiazgi.

— Włóż go raczej — prosił mąż.

Sam założył jej łańcuszek na białą szyję. Lecz ona nagle uczuła się zdjeta szalonym smutkiem. Zdawało się jej, że za to chore, milczące dziecko nie ma prawa przyjmować podziękowania.

Dopelniło przygnębiającego ją wrażenia pocałowanie, które Zdzych złożył jej na szyi — pocałowanie, brzemienne żądzą spragnionego pie-szczot mężczyzny. Usunęła się i zbliżyła do kolski, dławiąc się niejasnym uczuciem, które w niej powstało. Zaczynała rozumieć, iż to, co było dawniej pierwszoplanowe i główne w jej życiu małżeńskim, zaczyna schodzić do podrzędnych warstw i ginąć w ważności.

Czuła teraz, iż nie było jej dane tworzyć w radości. Cierpień dalszych lękała się, nie mając dość siły i chęci. Zresztą wiedziała, iż nie wszystko jeszcze przeżyła z tych chwil najgorszych.

I rzeczywiście nadeszły nieubłagane, potężne, wyczute.

Oto lekarz pochylił się nad dzieckiem i wreszcie podniósł je do światła. Delikatnie otworzył powieki drobniuchne, ledwo obramowane cieniuchnymi włoskami, jakby miniaturową, cień rzucającą frendzlą. Długą chwilę patrzył to na jedną, to na drugą źrenicę. Wbrew zwykłej nie-

ruchomości swych rysów, zdał się cały skupiać w natężeniu oczu. Wreszcie powoli, w milczeniu powstał z krzesła i włożył dziecko do kolski.

Marysieńka śledziła jego ruchy, jakby wrosła w ziemię. Straciła na razie poczucie własnego ciała. Jedynie tylko skoncentrowała się pod czaszką i tam wyczuwała swoje życie.

Czekała, że stanie się teraz coś stanowczego, że ten ranek prawie jasny i pogodny przyniesie jej to, co postanowi o twardym losie jej życia.

Wreszcie lekarz przemówił:

— To... czego się lękałem, stało się: rogówka uszkodzona... ropa wytworzyła wrzody, bielmo... Nie dokończył. U stóp jego, na kwieciem tle dywanu leżało bezwładne w omdleniu ciało Marysieńki.

Pochylił się, dodając:

— Proszę mieć jednak nadzieję... organizm dziecka jest odporny. Obecnie dziecko nie widzi, ale możliwe jest, że się ta rogówka wyjaśni, może choć na jednym oku...

Mówił łagodnie, uprzejmie, grzecznie, odpinając już mankiety celem umycia rąk.

Ale ona nie słyszała go. Cała pograżyła się w czerni, w nocy takiej, jaka otaczała jej córkę. Tylko ona z tej czerni wypłynąć miała w jasność, która właściwie nie była dla niej jasnością.

Bo widzieć ją miała przez... taflę lez.

XXXIII.

Tafla też nie prysła przez cały rok. Przeciwnie, pokryła się gęstą siecią uludnych mroźnych kwiatów, powstałych z chwilowych nadziei i złudzeń.

Dziecko pozostało ślepe.

Przywarte do rąk Marysienki, podniosło się wreszcie własną siłą i siadło w jej ramionach. Rozwijało się doskonale, zdrowe było i niezmiernie piękne. Nic nie zdołałoby odmalować delikatności owalu tej twarzyczki, złoto tego tonu włosów i wykończonych dziwnie na tak młody wiek rysów i linii brwi ciemnych i przedziwnie nakreślonych.

Dziecko to zdawało się piękną swoją być poza ludźmi i raczej znaczyć się jako zjawisko wykwitłe z natchnień Vettore Carpaccio, niż z człowieczego powstałe mozołu. Instynktownie trzymało najczęściej opuszczone powieki na bielmem zasnutę oczy i ten cień delikatny, rzucany przez frendzlę długich, ciemnych rzęs na przezroczyste od białości policzki, podnosił jeszcze czarujący urok wizyjnej całości. Piękność ta zdawała się chwytać wprost serce patrzącego i gdy

tak oboje — dziecko i matka — cali w miękkich białych szatach zjawiali się cicho i składnie na tle ścian lub draperyi, nie można było nie wy czuć dla nich wdzięczności za wzniesienie radości w sercu tą niematerialną prawie urodą.

Jedno dopełniało drugie i te dwie głowy złote, przytulone do siebie na wzór nocą rozkwitłych kwiatów, które są same światem i świat stwarzają dokoła siebie, jednakże miały wpoł otwarcie delikatnych ust, które zdawały się nie chcieć nic wiedzieć o żarach mętnych i opętanych, lecz ciągle żyć tchnieniem wielkich, szlachetnych, modlitewnych pożądań. I tylko u matki, tej młodziuchnej, czuć było jakby ślady też niezaschniętych na twarzy, dziecko zaś zdało się być w oczekiwaniu takich też skupione i zamknięte w sobie.

Całością tej grupy i piękną linią, spokojem wyrazu, skupieniem w sobie wszystkich cieni i światła — Marysienka z dzieckiem na ręku była wiernym odbiciem madonny taitiańskiej Gauguina, tej gwiazdnej doskonałości w natchnieniu mistrza. To samo bezbronne piękno, coś nieskalanego, podanego w czarach krystalicznie doskonałych w barwie i kształcie, w matce skoncentrowane jako rezygnacja, w córce jako słodkie oczekiwanie, szlachetne, pełne godności na to najstraszniejsze, na to, co jej mogła dać ludzka nierzetelność względem samych siebie.

I tylko oczy matki zdawały się być otwarte szeroko, podwójnie, z całą czujnością, jakby na straży za te źrenice zasnuwane bielmem i przysłonięte cieniem opuszczonych najczęściej powiek dziecka.

— — — — —
Tak wielką była piękność tej kobiety i dziecka, zespolonych w nierozzerwalnym zda się uścisku, że odczuwali ją wszyscy, którzy znaleźli się w promieniu tej urody. Nawet gruboskórność Zdzicha uległa temu czarowi. Wogóle zaszła w nim przemiana. I on stawał się spokojniejszy, cichszy, umiarkowańszy w swych gestach i tonie. Przybierał powolne ruchy i zdawał się nie chcieć budzić jakichś wybuchów żywiołowych, którymi dawniej przepajał całą swą egzystencję. Ta cicha kobieta, biała i wiotka, z milczącym dzieckiem na ręku, snująca się lub siedząca w mlecznym świetle opuszczonych koronkowych firanek, przemawiała go prawie upokarzającą doskonałością. Przytem powstawało weń coś nakształt zgryźliwego uczucia własnej wielkiej winy, które tłumili perswazyą chytrą i udaną w połączeniu z wielką mocą panowania nad sobą. Nie chciał odczuwać w sobie bezpośredniej winy ślepoty córki. Przeciwnie, w okolicznościach ubocznych szukał głównych przyczyn i na Marysieńkę po części, a na los z drugiej strony składał stan rzeczy. Niemniej przeto miał chwile pokory i chęci złoże-

nia się przed tym przemożnym przeciwnikiem, który piętnem tragicznym zaznaczył lekkomyślny i brzydki moment jego życia.

W takich chwilach pozostawał w domu, snuł się za Marysieńką i dzieckiem lub siadał w ich pobliżu. Patrzył na nie z przymusem, jakby w ten sposób chciał wchłonąć w siebie choć odrobinę ciemnej strony ich losu. Ponieważ tak matka jak i dziecko milczały najczęściej, jakby strzegły w głębi siebie dojrzewających już i rozwijających się dopiero tajemnic — doznawał powoli uczucia gnębiącej go nieśmiałości i zdziwienia.

— Dlaczego ono nigdy nie płacze? — pytał, wskazując na dziecko.

Matka milczała, nie wiedząc czy nie chcąc zdradzić przyczyny tej skrytości małej duszyczki. Wreszcie powoli odrzekła:

— Ja płaczę za nią i za siebie!

Poruszył się niecierpliwie.

— Wogóle za dużo płaczesz — wyrzekł z cierpkością w tonie.

Za całą odpowiedź ujęła delikatnie twarzyczkę dziecka i zwróciła ją ku mężowi. Ono, jakby wyczuwało jej intencję, otworzyło nagle opuszczone powieki i cała nędza tych cudnych w barwie błękitnych źrenic ujawniła się w dziennym świetle.

Jedno oko było całe zaciągnięte bielmem, ohydne, śmiertelnie fatalne w tej ohydzie. Dru-

gie, poznaczone białymi skazami, przedstawiało odrębny widok nieszczęścia, niemniej jednak krwawej, strasznej nędzy niezatartej.

Mężczyzna drgnął mimowoli, tak jak drgał zawsze, ile razy spotkał się z oczyma dziecka.

Powstał i, aby ukryć zmieszanie, zapalił papierosa. Chwilę stał w milczeniu, wreszcie powrócił na dawne miejsce.

— Nie powinnaś rozpaczać! — wyrzekł, starając się nadać swemu głosowi ton lekki i bez troski — lekarz mówił, że dzieci często wychodzą z tej ślepoty po upływie jakiegoś czasu.

Twarz jej nie rozjaśniła się wcale.

— Ostatni raz, gdy lekarz był u nas, nie znalazł żadnej poprawy — odparła — oto mija rok... zresztą dawno już lekarza nie było.

— Zachodziłem do niego. Mówiono mi, że chory. Skoro wyzdrowieje, natychmiast go sprowadzę...

Znów zapadło milczenie.

Wogóle mówili już teraz z sobą tylko o tem, czego koniecznie wymagało ich wspólne pożycie. Zdawało się, że oboje czują jakąś winę jedno przeciw drugiemu i że lękają się dłuższej dyskusji. I taka siesta z milczącym wśród nich ślepem dzieckiem kończyła się zwykle wyjściem z domu mężczyzny. Zdawało się, że nie jest w stanie znieść tej sytuacji, w którą pogrążone było to, co nazywało się jego »rodziną«. I wy-

bierał zwykłą w takich razach ucieczkę. Szedł, gdzie było gwarno, wesoło, jasno. Niósł tam smutek i topił swoją część, nie bacząc co się dzieje z częściami tego smutku, które pozostały za nim.

Wolał nie myśleć o tem.

— — — — —
Ona zaś żyła jakby unicestwiona w życiu zewnętrznym. Nieskończenie dalekie były od niej te chwile, kiedy brała udział we wrażeńiach, przychodzących z podbudzenia zmysłów. Dziś zwłaszcza, w tej sypialni, w której przeżyła całą najstraszniejszą torturę swego życia, nie zdołała pojąć, jak na tych łóżach mogły wirować w niej spazmy męczącego szczęścia, w których zdawała się topić jej istota.

Przytem porywał ją paniczny lęk na myśl, że mogła zostać powtórnie matką. Całe łono jej burzyło się na to jakimś szalonym buntem i drżącym niepokojem. Wiedziała teraz, że nie jest w stanie porodzić twór zupełny i doskonały, i sobie tę winę przypisywała. Dalej czuła, iż, mając drugie dziecko, nie byłaby w możności stać się wyłączną i zupełną sługą i własnością swej umiłowanej nad wszystko nieszczęsnej Ślepej. I nic już dla niej nie istniało prócz tego zakłętogo kręgu, jaki sobie nakreśliła. Oddała się cała pod nogi dziecka. Nie miała lat, nie miała młodości. Jedyne jej pragnieniem było wywołanie

uśmiechu na usta córeczki. Lecz próżne były jej wysiłki. Mała przestała się uśmiechać do Aniołów i rozmawiać tajemniczo z nimi. Czy i one powiały skrzydłami i odwróciły się od tego ślepego dziecka, nie chcąc tak jak ojciec widzieć tych strasznych, zasnutych bielmem źrenic? Czy i one, widząc, że zmętniał lazur niebios oczu dziecka, odleciały w dal, pozostawiając je na pastwę wieczystej nocy i ciemności?...

— — — — —
 Często Marysieńka kłękała przed dzieckiem, które poważne, nieruchome siedziało z oczyma przysłoniętymi, oddychając miarowo. W tej samotni wieczornej, w blasku błękitnego klosza lampy stawały się obie bardziej jeszcze do złudnieziemskich podobne. I tylko matka u stópek dziecka delikatnych, różowych, gładkich jak liście świeżo rozkwitłej w księżycowym blasku malwy, w myślach zanosila prośbę do myśli swej córki.

Bo czuła ją już myślącą, już stwarzającą sobie świat w tej czarnej przestrzeni, która ją otaczała. Tylko był to świat odrębny, bez pożądań i uniesień zaludniony istotami stworzonymi z samych jej instynktów i myśli. I ona, jej matka, była tam także z pewnością wyprowadzona plastycznie na podstawie dźwięków głosu, dotyku i czynów, którymi się znaczyła.

— A jeśli już instynkt jej wytwarzał mnie w tych chwilach, gdy przeze mnie, przez moją

lekkomyślność, następnie lenistwo sprowadzałam na nią ślepotę, jeżeli ona instynktownie zdawała sobie sprawę, kto był przyczyną jej nieszczęścia, jakie musi nienawidzić mnie w tej chwili?

I kornie czołgała się ku milczącemu dziecku o chłodnej twarzyczce surowego, zamyślonego anioła.

— Czy będziesz mogła mi darować te godziny rozpaczliwej nędzy, jakie przeżywaś? czy nie przekniesz mnie właśnie w chwili, gdy odzyskasz wzrok i poznasz co straciłaś, nie widząc przez część pierwszą twego istnienia? Daj mi znak jakikolwiek, odpowiedz uśmiechem... twym dawnym anielskim uśmiechem!

Lecz dziecko pozostawało mądre, milczące, z głową lekko pochyloną w tył — jakby wsłuchiwało się w całą symfonię najdoskonalszych harmonii. I to było najstraszniejsze, to odosobnienie się, wynoszenie w jakieś regiony, pełne niezwykłej, niedościgłej poezji, której twórczość ludzka mogła być tylko bladą kopią i naśladownictwem.

Pod wpływem tego nastroju, stwarzanego przez milczące to i ślepe dziecko, ogarniała Marysieńkę głusza wewnętrzna, w której zamierało bicie serca i jakiegokolwiek pożądanie. Martwa i niema siedziała tak u stóp dziecka, podobna do białej statui w swej luźnej domowej sukni. I to było dla niej najstraszniejsze, że nie zamieni

może nigdy ze swą córką tych spojrzeń, w których następuje wymiana wspólna dusz, w których gaśnie lub zapala się żądza życia i pojęcie lub niezrozumienie wszechświata.

Te oto godziny i chwile zdawały się pierzchać i niknąć przed młodą kobietą. I po ścieżce smutku, który możliwy brak ich rodził, nagle jednego wieczoru, podczas gdy Zdich odszedł w dal zgniłą ożywającego miasta, a dziecko milczało sennie w blaskach błękitnej lampy — w istocie Marysieńki podniósł się jakby nieznany wir, coś, co ją pognało, popędziło myślą precz, poza martwe ściany komnaty, w której swe życie trawiła. Po raz pierwszy może, na odgłos suchy zakręcającego się w zamku klucza, Marysieńka poczuła w sobie jakby sarnie ustawienie się do lotu, do pędu. Jakieś pragnienie czegoś nieznanego, świeżego, wiośnianego zadrzało w głębi jej żył i połączyło się z pojęciami jej duszy. Absolutnie jednak nie była to chęć powrócenia do chwil, w których stawała się w objęciach męża płomieniem. Lecz jakieś pragnienie czegoś niedotkniętego chorobą i bólem, czegoś rozkwitającego czarującą pięknnością młodych kwiatów, czegoś, co jeśli przysłania żrenice łzami, to łzami wielkiej, świętej, radosnej ekstazy, ciągnęło ją ku sobie nieprzepartą siłą rzeczy znanych a niepoznanych. Chciała, ażeby w jakimś pięknym, rozśpiewanym od szmerów liści drzewnych ogro-

dzie ktoś mądry, doskonały, piękny całował delikatnie jej ręce, a dreszcze, któreby ją przebiegały, byłyby delikatne, jak fałdy lekkiego, gazowego welonu, spływającego z jej głowy do stóp. I to, co ten ktoś mówiłby do niej, niostoby z sobą zmieszane razem oddźwięki miłosnych pieśni, hymnów powolnych, czystych jak hymny mnichów filozofujących modlitwą, lub dalekiem echem bohaterskich rapsodów wojennych. Wszystko, co zdołała ludzkość wydrzeć sobie z łona okrwawionymi pazurami i rzucić w przestworze, wszystko to mogłoby skoncentrować się w takim szepcie. I ona biedna, drobna burżujka, zamknięta w ciasnej klatce swego mieszkanka, przeżywać zaczęła i rozumieć świetną rozkosz wielkich pożądań, zrodzonych nietylko w wyobraźni, ale w jakiejś niepojętej dla niej warstwie, uprzedniej warstwie tajemniczych przeżyć.

Odsunęła się od dziecka i wyciągnęła ręce w przestrzeń.

— Żyć! żyć! — zadrgało w jej piersi. — Żyć, lecz nie w tym świecie, po którym wlokła się do tej chwili. Nie samo gnijące błoto ogarniać musi jej stopy. Wszak muszą być jakieś przestrzenie wolne i czyste, wszak nietylko skarga i przekleństwo jest wynikiem zetknięcia się z ludźmi!

Bezwiednie prawie podniosła się z klęczek

i podeszła ku oknu. Nienawidziła zwykle i unikała tych otworów, poza którymi nawet w ciszy czaiła się na nią pulsująca hydra miasta. Lecz dziś ciągnęło ją coś niepowściągniętością. Zdało się jej, że jest cma, która, wiedząc, że zginie, biegnie w krąg świetlany. Uchyliła koronki stor i oparła czoło o zimne szyby. Zdała się pozą jedną z tych dziewczyn Maeterlincka, na których plecach drży fala rozpuszczonych włosów. Stała w oczekiwaniu, ale bez dreszczów niepewności, przeświecona raczej świadomością, iż coś czeka na nią w tej szarawej ciemności zimowej nocy. Ta szarawa ciemność miała w sobie jakby blask powstały z oparu lekko zamarzonej wody. Nie było w tej szarości cieni, ani gwałtownych zaników światła. Wszystko zdawało się zrównoważone i unormowane ręką wprawnego w sztuce graficznej artysty. Ton ten wywoływał w patrzącym uczucie istnienia w życiu momentów nie dających obłędów unicestwiających, tych momentów, które po pierwszych przejściach szaleństwa upokarzają i drugą bezlitośnie poczucie własnej wykwintnej szlachetności.

Marysieńka odrazu zrozumiała i zastosowała się do tej chwili. Zaczęła się godzić z tem, co było poza lustrem szyb. Po raz pierwszy może poczęła oczekiwać od Ulicy czegoś więcej, niż powodów wzdurliwego wstrętu. I oczekiwała

w spokoju, bez napięcia nerwów, jakby na jakąś wiązaną wparcia tych lekko woniejących kwiatów, od lat jej należną. Tak znieruchomiła w tem oczekiwaniu, iż nawet deszcz złotych iskier, który drżał w jej włosach, zagasł i przybrał matowy blask srebrnych, połączonych filigranów.

Cała dusza kobiety skoncentrowała się teraz w jej twarzyczce przylgniętej do szyby. Wyraz jej twarzy był tej, która nie wątpi o jutrze, która nie miota się w bólu i dreszczach wysiłków. Od chwili dzieciństwa zatraciła tę cechę, przejawiającą się w układzie rysów i spojrzeniu. Szczególniej zaś z utratą dziewictwa zdawała się na zawsze pozostać istotą, która nie odczuwa i nie pojmuje już znaczenia radości z przeczystych i doskonałych przeczuć. Dziś jednak stała się nagle taką znieruchomiłą w oczekiwaniu, jakby lękającą się spłoszyć własnym tchnieniem, drgnięciem powiek to, co szło ku niej radosne i niepowstrzymane.

I oto nagle stała się rzecz dziwna, jakby granicząca z sennem zjawiskiem.

Na dole, na ulicy, najwyraźniej z sieni domu, zajmowanego przez Marysieńkę, wyszedł mężczyzna dość rośli, trochę schyłony, w szerokim palcie angielskiego kroju. Szybko, specjalnym chodem przeciął ulicę i gdy znalazł się po dru-

giej stronie, zatrzymał się tuż naprzeciw okna, w którym stała Marysieńka.

Dokoła była pustka i cisza prawie cmentarna. Oboje widzieli się więc bez przeszkód, jakkolwiek raczej tylko sylwetkami, niż dokładną plastyką szczegółów. Lecz Marysieńka na tej czarnej postaci, która najwyraźniej podniosła ku niej twarz, z całym impetem nerwowej wyrazistości położyła maskę, która nagle wykwitła w jej wyobraźni jak obraz dawno znany, jak kwiat noszony u piersi, w fałdach szaty i nie mdlejący od żaru jej ciała. Przez długą chwilę cały prąd fluidu niepojętego a niezaprzecznego połączył ich dwoje poprzez lustro szyb, poprzez przestrzeń powietrzną. Złączyli się dreszczem swych niewidzialnych cząstek i spoił silniej, niż oddaniem się ciała. Zdawało się im, że nic u nich nie jest nieznanego, że żywią się sobą wzajemnie i przenikają się do gruntu w tym milczeniu. I czuli to także, że taka chwila nie powtórzy się więcej, że jest jedyna, wykradziona losowi i że pozostanie w skarbcu ich przeżyć jako wykwint uczuć idealnych, wkraczających w sferę halucynacyi.

Odległy, złączony w zespół łomot budzącego się do brudnej egzystencji miasta, zdawał się zamierać tu na progu tej idealnej wyniosłości, na której stanęli ci ludzie, wpatrzeni w siebie i widzący to, co w innych warunkach dla nich

samych byłoby niewidzialne. I łącząc się tak z sobą, przyrzekali coś sobie, przysięgali wzajemnie. Przynajmniej — tak było ze strony kobiety.

Ciężko, powolnie oderwała się Marysieńka od okna i powracała do realnego życia. Widmo ciemne mężczyzny zniknęło także, rozplynęło się we mgle. Rzuciła za nim ostatnie spojrzenie, jak pęk kwiatów, i zrozumiała, że istota jej nie ma teraz po co błądzić po tej pustej i nagle wymarłej ulicy.

W pokoju, w błękitnych blaskach lampy, nieruchome, milczące dziecko siedziało wciąż w jednej pozie, jakby anioł barokowy z ornamentów jakiegoś kościoła zdjęty.

I niewiadomo było, czy dziecko to zasnęło, czy pod opuszczonemi powiekami snuje dalej tajemniczo swoją ślepą egzystencję, będącą może skarbnicą najprawdziwszych, bo nie będących odbiciem fałszu wrażeń.

Tak rozumiała tę nieodcyfrowaną na pozór zagadkę Marysieńka i cicho, bez tchu, zbliżyła się do Ślepej. Uklękła przy niej i złożyła swą głowę u stópek nieruchomych, różowych na tle ciemnego obicia fotelu.

Pozostała tak pełna wrażeń jakichś lepszych, delikatnych, a zarazem dostojnych. I zdawało się

jej, że jest teraz duchowo bliższą swego dziecka, które w milczącej swej ślepotcie miało w sobie powagę jakiegoś Strażnika tajemnic wielkiej i dłań jeszcze niezatraconej prawdy.

XXXIV.

Z pogrzebu powróciła Marysieńka, z pogrzebu okulisty, tego samego, który miał jakby pieczę nad oczyma dziecka.

Zmarł z dużą pompą i rozgłosem, zapewne mimo woli tak głośno, bo cichy był i tem, co nazywają gardziciel czci. Cała jego siła była skoncentrowana, aby stać się pożytecznym, ale w wysokim stopniu—i stał się nim.

Nie dlatego, że dokonał kilku tysięcy zdjęć katarakt, lub utrzymywał widzącymi tych, którzy poza mur skazani być mieli.

Lecz dlatego, że czynił to szlachetnie, bez egoizmu w swym altruizmie.

Nie kazał się uwielbiać. Nie wysuwał naprzód swych prestidigitatorskich sztuczek zręczności. Żrenica ludzka była dlań wszechświatem, nie dywanikiem skoczka.

Na Marysieńkę spadła ta śmierć, jak grom. Nie wiedziała, dlaczego wstrząsnęła nią do głębi. Wszak było tylu zdolnych lekarzy ocznych, do których należało się teraz zwrócić.

Lecz jej zdawało się, że ten, który odszedł

był stróżem jakiejś tajemnicy, którą ona nerwami wyczuwała obok siebie, lecz o której skutki była jakby spokojną, mając w każdej chwili możliwy kontakt z tym spokojnym, prostolinijnym człowiekiem, do którego nabrała całego zaufania. Znał jej ból, cierpienie, nędzę. Podawała mu z ufnością swe ślepe dziecko i drżące własne serce. Czekala, aby przemówił te skąpe wyrazy, które padały na nią, jak rosa ożywcza.

— Miejmy nadzieję... oto pewne polepszenie. I miała nadzieję.

Teraz będzie musiała przed obcym człowiekiem spowiadać swoje winy, swoje lekkomyślne poddanie dziecka na światło, dalej to uśnięcie w chwili, gdy jad dziecku oczy wyżerał...

To wszystko będzie musiała powiedzieć i odnowić w sobie całą ranę i ból.

Na pogrzeb poszła, gnana jakąś potrzebą wewnętrzną, chcąc iść w szeregu tych, którzy pójdą za tą trumną.

— Nic więcej dlań uczynić nie mogę! — myślała — choć to...

Uprosiła Zdzicha, aby pozostał przy dziecku, które opuszczała po raz pierwszy.

— Spać będzie — mówiła, wiedząc, z jakim ukrywaniem, nerwowym wstrętem unikał zasnutek bielmem oczu dziecka.

— Zresztą... ciche jest. Zosia mu da podwieczorek... ty bądź tylko w drugim pokoju.

— Dobrze... dobrze... — odparł z pewnym rodzajem zniecierpliwienia.

Szła więc, nie w szeregu, ale w zwartej masie, wlokącej się za kołyszającym się karawanem. Pełzał powoli ten gad pochodzący, ulicami brudnymi od śniegu i błota. Roztopy były dokoła i czuło było jakby wczesną wiosnę. Marysieńka, która wiodła klasztorne życie, nie wychodząc wcale, szła, jak pijana, mając przed oczyma czarne płatki, fruujące w przestrzeni. Drżała z zimna i wzruszenia. Idący przed karawanem księża intonowali co pewien czas swe żalosne pieśni i potem nagle milkli, a wtedy na cichszych ulicach słychać było łomot charakterystyczny kilkuset nóg ludzkich, idących niesfornym zespołem.

Marysieńka powoli zaczęła przystosowywać się do swego otoczenia i stapać się jakby z niem. W każdym z idących widziała pacyenta lub pacjentkę zmarłego. Jej podniecona wyobraźnia pracowała, chcąc przeniknąć tajemnice i objawy tych chorych. Większa część miała oczy szklami przykryte. Nawet w tłumie dojrzała kilkoro dzieci, jakiegoś studencika w okularach, jakąś dziewczynkę jasnowłosą z ciemnymi szklami na oczach.

— Może... moja córka... kiedyś... — ozwał się w jej głębi. I potem rozpacznie wydarło się:

— Gdyby choć tak... gdyby...

Ten cały świat, dyszący trwogą utraty wzroku lub pijany radością odzyskania daru widzenia,

był tak ściśle teraz jej światem, że nim tylko żyć i oddychać się zdawała. Stała ciągle wzdłuż muru, który wyrósł pomiędzy życiem a tą cząstką społeczeństwa, uczyła się wsłuchiwać w odgłosy, które stamtąd dochodziły, i pojmować ich znaczenie. Chwilami, rozpaczliwie, tragicznie dobywała się do zapartych wrót, lecz była to chwila tylko. Czuła się za gruboskórną, za niegodną, za nadto jakby oblepioną błotem wrażeń plastycznych, aby stanąć w tej krainie, utkanej z tęczy cudów nieskalanych i wizyjnych. I cofała się na swoje stanowisko nadsluchującej, odgadującej raczej, niż pewnej czegokolwiek. Nigdy jednak nie znalazła się tak bezpośrednio w środowisku ślepców lub tych, którzy nimi zostać mieli. I nigdy nie widziała zbliżka tych, którzy nad tym ślepnącym lub oślepyłym tłumem rządu sprawowali, niosąc im ulgę, lub ferując tragiczne wyroki. Przeczuwała jednak w tych dobrze odzianych, idących grupami mężczyznach lekarzy, kolegów w zawodzie zmarłego. Patrzyła na nich trwożnie. Który z nich miał teraz wziąć w opiekę zakryte mgłą oczy jej córki?

Ten i ów patrzył ciekawie na postać Marysieńki. Strojna była w swe wyprawne futerko z czarnego aksamitu, obłożone skunksami. Linia jej smukłego ciała miała piękną dystynkcję, a twarz bielą przedziwnie pod skrzydłami wielkiego czarnego Gainsboroughu. Szła lekko i zwie-

wnie, stawiając inteligentnie nogi, obute w lakierowane wysokie buciki, na których, jak gwiazdki, migotały światełka. Całość pachniała kobiecością i futrem. Gdy podnosiła ku twarzy mufkę ze skunksów i topiła w puszystym futrze swą twarzyczkę, jej wielkie, o czarującym wyrazie oczy nabierały jakiejś podwójnej, pociągającej piękności. Czuła wzrok znudzonego pochodem tłumy na sobie i doznawała jakby przykrego wrażenia. Odwykła w swem odosobnieniu od kontaktu z ludźmi. Wydali się jej natrętni, nawet z rodzajem sympatycznego podziwu, jaki jej składali.

Przyśpieszyła kroku i starała się utonąć w grupach o prostszym, mniej pretensjonalnym wyglądzie.

Jakieś kobiety bez kapeluszy, sługi może, szły razem, trzymając się trotuarów. Poszła za nimi i zaraz znalazła się za jedną, która niosła na ręku dwuletnią dziewczynkę. Rozprawiła głośno i dość krzykliwie z idącą obok dziewczyną w różowej barchanowej bluzce pod rozpiętym żakiem. Marysieńka, idąc, patrzyła bezmyślnie na szyje tych dwóch kobiet, brzydkie i nie mające wdzięku. Włosy myszate, bezbarwne ubogo zarastały jakby wyżarte i przedwcześnie zniszczone niewidzialnym jarmem karki.

Lecz dziecko, niesione przez starszą, zainteresowało Marysieńkę. Była to dziewczynka jasno-

włosa, dość zdrowa widocznie i czysto utrzymana. Niesiona przez matkę, odwracała w tył przez jej ramię twarzyczkę i prosto patrzyła w oczy Marysieńki. I nie rysy tej twarzy, ani karnacya interesowały, lecz jej duże, niewypowiedzianie czyste błękitne oczy, patrzące wprost z ufnością i radosnem zdziwieniem.

— Moja... miała takie oczy zaraz po urodzeniu... moja nieszczęsna... — myślała Marysieńka.

Uśmiechnęła się do dziecka. To oddało jej uśmiech. I znów nowy ból ścisnął serce kobiety.

— To dziecko śmieje się, wie, co uśmiechaczy!

Pociągnięta, zbliżyła się jeszcze więcej.

Pokazała dziecku bransoletkę, którą miała na rękę, a w której tkwił zegarek. Wyciągnęło tłustą rączkę.

— Więc... wyobraźcie sobie... jak zobaczyła, że dziecko ślepe, tak zaraz do szpitalika... — mówiła kobieta, niosąca dziecko, do swej towarzyski.

— Jakto, kiedy widzi — podjęła tamta.

— Poczekajcie! Karusia, co się kręcisz, bękarcie jeden? Chcesz, to cię na ziemię posadzę i siedź se, kiedyś taka.

— Więc jakże ono widzi?

— Ano tak, że w szpitaliku zaraz się do kuracyi wzięli, a że tam był wtedy naczelnym nie-

boszczyk, to mi ocalili dziecko. A taka byłam głupia, że się biłam, aby dziecko do szpitalika nie dać!

Marysieńka zrównała się prawie z idącymi kobietami. Była im teraz tak blizka w niedoli, przez jaką przeszła.

— Bo moja pani — ciągnęła dalej krzykliwe kobieta — żeby tak miała dziewczyna moja żyć ślepa, to lepiej przecie, aby umarła. Co? Ale Pan Jezus się zmiłował... A jak to leczyli! Fiu! fiu!... Jedno oko było właściwie tem świństwem zajęte, to na drugie dali szkiełko od zegarka, ogipsowali głowę i tak patrzyli przez to szkiełko, czy się co z drugim złego nie dzieje. No i uratowali.

— Uratowali! — mimowoli wyrwało się z piersi Marysieńki.

Matka Karusi spojrzała na nią z początku nieprzychylnie. Aksamity i skunksy wzbudziły w niej gniew. Lecz zadowolenie z czynionego swą mową wrażenia przeważało. Zwróciła się więc do tej niespodziewanej a jakiejś uprzejmej słuchaczki.

— A no... uratowali, choć już było źle, bo strasznie ropa żarła. Teraz niech pani popatrzy, jakie Karusia ma oczy czyste i mądre. Zawsze ją do nieboszczyka niosłam i dziękowałam, choć on tego nie lubił. Dobry był strasznie człowiek. Pani go znała?

— Tak! — odparła Marysieńka po lekkim wahaniu.

— Panią leczył?

— Nie... dziecko.

— I pewnie wyleczył?

Nie wiedziała dlaczego, ale odpowiedziała przyciszonym głosem:

— Tak!

— No to Bogu dzięki. Bo jedno oczy bo-gactwo człowieka. Ja też tak sobie mówiłam, że jakby Karusia była ślepa, to i ją i siebie zabiję. Ale przedtem byłabym uśmierciła jego, łajdaka...

— Kogo?

— Jakto kogo? mego męża!

— !!!

— No tak! Przecież to przez niego, łotra, to całe nieszczęście. Jego łajdactwa i zabawy sprawiły tę całą historię.

Marysieńka nagle pokryła się trupią bledością.

— Kto to wam powiedział?

— Jakto kto? Doktorzy! Nieboszczyk sam. Taka choroba jak padnie na oczy dziecku zaraz po urodzeniu, to tylko przez taką przyczynę.

— Ja myślałam, że jeśli światło za silne w pokoju.

— E! baj baj, moja pani! z tego dzieci nie ślepną!

Marysieńka drętwiała coraz więcej. Nie wiedziała dlaczego, ale chciała w tej chwili odsunąć

się od tej kobiety, od tego dziecka, które wciąż patrzyło na nią i uśmiechało się przyjaźnie, wreszcie od tego całego pochodłu, który zdał się jej nagle czarną jakąś falą, rwącą ją ku otwartej mogile. Rozwiewny a przenikający śpiew księży rozpoczął swoje psalmodye. Czarną krepą owinięte i zapalone latarnie znaczyły się konającą linią wzdłuż domów. Psalmy księży, ten przepych pozorny całego obrządku, te konające światła, wszystko było bez znaczenia właściwego wobec przeszłości. Przeciwnie, podnosiły tylko nicość i rozsypywanie się utłudnych mar tego, co przyjść miało.

Gzy nie lepiej było zagać w opuszczeniu i ciszy? Czy nie straszne było to wszystko, ta gloryfikacya tego, co już nie jest niczem i co jest bez ulgi, bez miłości i bez odczucia?

Pod tem wrażeniem Marysieńka cofnęła się w jedną z bocznych ulic i wyczerpana oparła się o szary mur narożnej kamienicy. Oderwała się od tego łańcucha, co pelzał, jak potworny gad w szarzejącem świetle, mając za głowę, chwiejącą się trumnę z kołyszającym się o jej ściany trupem. Stała tak nieruchoma i wpatrzona w niknący orszak i cichnący coraz więcej żalobny śpiew księży.

Nigdy w życiu tragizm istnienia człowieka nie przedstawił się tak jasno, tak brutalnie jej oczom. Była pełna żalu, smutku i jakiegoś jakby

obłądnego pragnienia, aby zniknąć, rozproszyc się, nawet zginać duchem. Czuła, jakby cała jej istota, tak złożona i skomplikowana, rozpadała się w najwyższym znużeniu, a ona nie była w stanie dobyć ze siebie tyle siły, aby ją znów nową, świeżą, silną uczynić.

Orszak pogrzebowy dawno przeszedł i rozplynął się w mgle. Jakiś człowiek przystawiał teraz kolejno drabinę do latarni i zdejmował powoli krepę, którą, jak zmarłe motyle, zrzucił idącemu za nim pomocnikowi.

Światło latarni jaśniało już nie przyćmione i nie gasło, bo wieczór zapadał i ulica stawiała się znów podatną na teren pastwy dla żywych.

Wtedy to Marysieńka z ciężkiem westchnieniem oderwała się od muru i w stronę »domu« iść zaczęła.

XXXV.

Płomiennie w mózgu Marysieńki wryły się słowa kobiety, niosącej dziecko roześmiane, które uniknęło ślepoty.

— Przez niego, jego łajdactwo...

Równała, kombinowała. Jeżeli przez »niego«, znaczy się męża, mężczyznę. On jest więc winowajcą, nie ona. Zdawało się jej, że wpadła w las jakiś i dokoła niej szemrzą i huczą szarpane niepewnością drzewa. Klonia się jej do stóp i gnają z sobą, szargają jej zbolalą głowę po zabagnionych mchach, z których ich konary narodziny biorą.

To znów pędem w górę niosą, zda się pod strop gwiazdzisty: tam szalona gra pustka, mimo że świetlano i na pozór jasno.

I aż się coś wrywa, aby już lepiej spaść na dół, na ziemię, ku bagnom, bo tam przyzwyczajenie ciągnie i zrozumielej, dostępnej, wyraźniej się plan życia rysuje.

Marysieńka bierze dziecko na rękę, podchodzi do okien i patrzy mu prosto w twarzyczkę. Dawniej tuliła je do piersi i oczy jej padały poważnie na kragłą głowę ślepej, okrytą gąszczem

jasnych włosów. Zdawało się poprostu, że lęka się patrzeć tak po dniu w oczy niewidzące. Obecnie odwraca twarz dziecka ku sobie i chłonie jej rysy w milczeniu i jakiejś dziwnej, niezrozumiałej powadze.

— Przez jego łajdactwa...

Powoli szuka wzrokiem męża. Spotyka się z jego strojną, dobrze postawioną figurą. Jest bardzo »mężczyzną«, pewny siebie, z dniem każdym nabierający tej pewności, jakby w przygnębieniu Marysieńki czerpał właśnie źródło uzewnętrzniania swej siły. Lecz teraz to przygnębienie zmienia barwę. Staje się więcej skoncentrowane, bardziej złożone z wewnętrznych od-czuć. I nabiera jakiejś soczystości, pełności — czuć, że zdaje sobie sprawę z tego, że istnieje i dla-czego właściwie istnieje. Nie rozwiewa się we łzach i w melancholii, lecz jest jakoby gotujące się do jakiegoś czynu i w przeddzień postanowień.

— Przez jego łajdactwo!...

Niejasne to jeszcze, a przecież nieprzeparte i nieobalone niczem.

Łajdactwa były i istnieją. Marysieńka wchłoneła tę prawdę, krwawo okupiwszy jej poznanie. Łajdactwa mężczyzn, to znaczy to podwójne życie, nocne, pełzanie po błotnistych stepach, na których skaczą rozwyrzone cielska gotowych do sprzedaży tajemnic swego ciała — rozpustnic.

Chichot, szept, słowa zamieniane w kłębach dymu i przy rozdzierających tonach mdlejących z obrzydzenia i wysiłku grajków, a potem, jako korona, pół-pijane tarzanie się po przygodnych łonach i łózkach, jak karczma przydrożna, szeroko rozwartych.

— Dziewki, kasyerki, szansonetki, utrzymanki... towarzyszki, bukiety finalne nocnych włóczęg, a potem...

W twarz ślepej wzrok swój Marysieńka wbija.

— A potem...

Nagle do męża się zwraca:

— Powiedz mi — pyta, i sama dźwiękowi swego głosu i treści swych słów nie wierzy. — Powiedz mi, czy to możliwe, aby dziecko oślepo... z winy... z winy...

Urwała.

Czuje się nagle wyniosłą i srogą. On, zdziwiony, patrzy na nią, a usta rozwarł, jak ktoś głuchy. W świetle, złagodzonem przez biel muślinowych firanek, to, co było tylko uosobieniem melancholii, nabiera siły i zaczyna wyraziście się zaznaczać. Madonna prymitywna o taitiańskim wdzięku, dźwigająca milczące, smutne dziecko, przetwarza się. W duszy jego powstaje lęk. Trzepocze się coś.

— Nie rozumiem cię... Z winy... Czy chcesz znów przypominać sobie, żeś ty...

Niepewnym głosem pragnąłby wywołać znów fałszywe wspomnienie chwil minionych.

Lecz nie idzie to dobrze. Czuć jest w Marysieńce tę, która już coś wie.

Uparcie bowiem podejmuje, twardo i dziwnie:

— Przez łajdactwo ojca?...

Pada to niewzruszenie i jest już pomiędzy niemi. Lecz raczej zarysowuje się z jej strony, jako bezwzględna chęć dotarcia do istoty prawdy, z jego zaś strony nagłe objawienie jakiejś przesmutnej bez usprawiedliwienia jego historii.

I w niej, jak dawniej, jak pierwotnie, niema śladu nienawiści ku niemu, tylko jakies cienie wzgardy, jakby dla sparszywiałego psa, leżącego w pół drogi. Natomiast aż kłębi się i bucha od nienawiści żywiołowej, tragicznej, potężnej, skierowanej ku źródłu rozpusty, ku kobiecie podającej siebie, czy to na wabnych roztoczach strojnych ulud, czy poprostu frymarczącej tajnią swej płci nawet bez jakichkolwiek starań około wzmoczenia dodatnich stron chwili.

I przejawia się to głównie w samym złożeniu słów, któremi Marysieńka określa swe pytanie.

— Czy dziecko może oślepnąć przez łajdactwo męża?

Nie mówi krótko »przez męża!«, lecz tę winę już w zarodku oskarżenia rozciąga na otoczenie, na to »łajdactwo«, baśniowe dla niej, mityczne,

czyhające gdzieś w oddali, jak stado hijen, o cuchnących od żarcia padliny pyskach.

On czuje, iż nadchodzi chwila, i że teraz rozpocznie się faza obrachunków istotnych. Zasztywa się ze zręcznością w fałsz banalny i lekko-myślny.

— Co? jak? skąd ci to przychodzi do głowy? O jakim łajdactwie mówisz? A potem, co to za słowa? Kto cię nauczył mówić coś podobnego?

Na wargi jej występuje jedno słowo odpowiedzi:

— Życie!

Lecz dławi je w sobie. Milczy. On tryumfuje. Milczenie to bierze za porażkę, którą wywołać musi w pierwszej chwili jej gwałtownego występu. Czuje bowiem, że jeśli ona wyczuje, iż tam na dnie jego historii jakiś smutek się gnieździ, coś, jakby błaganie o litość, będzie zgubiony.

— Postaraj się, aby odebrano moje kołnierzyki z pralni! — mówi niedbale na pozór, mimo że tętni w nim coś więcej, niż zwykła chęć zakrycia swego niepokoj.

Rozeszli się na tem wrażeniu.

Ona zajęła się drobiazgami po swojemu. On, zniknął, idąc do pracy biurowej. Lecz zasadniczy ton ich myśli został skuty razem jednej już rozświecającej się tajemnicy, która, jak ledwo mi-

gocąca latarenka, zaczęła się przejawiać wśród mglistych tumanów nocy. I czuli oboje, iż iść mają w przeciwnym na pozór, a jednak jednym kierunku. Ku temu światelku właśnie ona, aby uczynić je jasnym, dostępnym i wyczuwalnym od rdzenia samego — on, aby je zgasić, zatopić, uczynić nieistniejącem, o niedotartych właśnie źródłach.

— — — — —

Machinalnie prawie zaczęła oglądać jakieś stare książki, nadesłane jej jako pamiątki po zmarłej matce.

Była tam duża książka do nabożeństwa. Jakiś Dunin klasyczny spadkowy, surowy, noszący w swych kartkach woń tumakowych mułek, w których ukryty wędrował na »sumę«, unoszony rękami cichej i obowiązkowej babuni. Okładki spadały w strzępach. Marysieńka przypomniała sobie, iż tę skórę ciemną i wytłaczaną nadała książce troskliwa staranność matki. Przedtem, gdy »Dunin« znalazł się w puściźnie babki, był ten modlitewnik oprawny w aksamit czarny, ze srebrnymi skówkami.

— Przywróć tę formę oprawy! — myślała — niech taką, a nie inną pozostawię córce...

I w tej chwili uczuła pchnięcie sztyletu w serce. Dziecko jej przecież czytać nie będzie tych skoncentrowanych w sobie, trochę oschłych, bezpłomiennych, a przecież niewygasłych modlitw.

Nie chciała jednak poddawać się znów roz-

paczy. Wzięła w rękę książkę, owinęła się miękkim, wełnianym białym szalem.

— Pójdę do introligatora, na dół...

Chciała stworzyć sobie jakiś cel inny, niż dysponowanie obiadu i obliczanie przyniesionych z pralni kołnierzyków.

XXXVI.

Do introligatora zeszła, na parter i tam podała mu książkę i resztki poznajdowanych w kącikach pudełek srebrnych klamerek.

Wyszedł naprzeciw niej człowiek skurczony, z profilem sowy. Tylko zdumiewały w tej twarzy wielkie oczy mądre i młode. Cały był jednak zwiędły i przepojony starością.

Warsztat jego miał jakąś ubogą cechę materialną, lecz coś tam tliło, jakieś pielęgnowanie wewnętrznego piękna, jakby zaciszna kultura porozumienia się z wykwinną stroną ducha.

Marysieńka wyczuła zaraz, iż zostanie zrozumianą.

— Oto książka do nabożeństwa bardzo stara. Chciałabym, aby wróciła do dawnej formy...

Wziął w rękę Dunina i obejrzał go.

— Tak... zepsuli w ostatnich lat dziesiątkach.

— Oto klamerki z poprzedniej oprawy.

Rozjaśnił się na widok szerniałych gwiazdek, które mu podawała.

— Dobre są... — wyszeptał, uśmiechając się delikatnie — damy im podłoże z aksamitu...

— Czarnego.

Zachmurzył się.

— Nie! lepiej taką barwę.

Odwrócił się i poszedł w kąt, gdzie leżały rozmaite zwitki i paczki. Przez otwarte drzwi widać było drugą izbę, warsztat, a w niej jakichś dwóch cichych młodzieńców, pochylonych nad robotą. Nie było tu ordynarnej wrzawy, tarzającej zwykle zbiorowiskom rzemieślników. W powietrzu unosiła się woń kleju i starych, zatęchłych foliałów.

Marysieńka czuła się tu dobrze. Jakieś uczucie ulgi zaczęło wpływać na nią kojąco. Gdy introligator powrócił z kawałkiem aksamitu, zwiniętego w mały rulonik, uśmiechnęła się doń przychylnie.

— Oto co nam potrzeba! — wyrzekł człowiek o profilu sowy, rozkładając przed nią płat starej tkaniny dziwnej, nieosiągniętej obecnie barwy. Był to kolor amarantu, zmieszany z odzieniem rubinu. Takie suknie musiały mieć kobiety staranne o swą piękność, które ze swej strony wyszukiwały ten ton i cień na portretach Fragonard'a, na przykład na szacie tego Natchnionego ze ścian paryskiego Luwru.

— Przecudny kolor! — wyrzekła Marysieńka, podbita rzadkością i szlachetnością barwy.

— Tak... — dorzucił stary — teraz już mimo wysiłków nie zdołanoby osiągnąć tego tonu... Z lubością dotykał długimi, cienkimi palcami

aksamitu. Tkanina była zniszczona, wytarta miejscami. Klamerki i narożniki, przyniesione przez Marysięnkę, dostosowywały się na tem tle.

— Czy może mi pan oprawić moją książkę w ten aksamit? — zapytała, czując, iż całość wytworzy rzecz niepospolicie piękną i wniesie do jej banalnego wnętrza jakiś promień niepospolitości.

Lecz on rozłożył ręce bezsilnym gestem.

— Aksamit nie jest moją własnością. Należy do jednego z moich stałych klientów. Mam oprawić w niego tę oto książeczkę!

Były to słynne »Myśli pobożne« Krasieńskiego, pisane dla cudnej kochanki, Bobrowej.

Marysięńska wzięła mimowoli książeczkę do ręki.

— Jest bardzo mała, aksamitu dużo zostanie.

— Tak! — odparł introligator, sam widocznie pragnąc dać podłoże z tego właśnie aksamitu tym cennym i pięknym klamerkom — tak!

Zamyślił się długą chwilę, jakby coś kombinował. Wreszcie podniósł głowę żwawym ruchem.

— Może... pan Walewski zdecyduje się odstąpić nam kawałek tej materyi...

Lecz ona zdawała się nie słyszeć, pochłonięta teraz całą tą drobną, maluchną książeczką, którą przeglądać zaczęła. W tych myślach pobożnych, trochę zmanierowanych, wyczuwała wszakże całe

morze najczystszych uniesień, nadzwyczaj, że tak można powiedzieć, dystygowanych w swej rozlewnej melancholii i trosce o formę. Zachwyciły ją i znów ten świat cichy i daleki od smutnej szpetoty rzeczywistych wrażeń, w których przebywać musiała, zaczął rozszerzać się i obejmować ją jakby ciepłymi, wonnymi ramiony.

— Jest wyczerpana... — przemówił wreszcie stary — nigdzie więcej dostać jej nie można.

Szybko zwróciła się z gorącą prośbą:

— Pożycz mi jej pan na parę godzin!

Zawahał się.

— Sama ją panu odniosę. Mieszkam tu na górze, nad panem...

— Wiem. Widuję panią. Pani ma córeczkę...

Urwał. Czuł, iż to jest rana, której dotykać nie należy. Sam prawie kaleka szpetotą swą i wzrostem, znał głębię bólu każdego kalectwa. I w jednej chwili ogarnęła go wielka litość dla tej ślicznej, młodej kobiety. Zrozumiał jej bladeść, jej smutne, prawie rozpaczliwe opuszczenie kącików ust. Przemyślał, że kalectwo jej dziecka musi tragicznym cieniem pokrywać tę biedną, cichą egzystencję.

— Proszę... niech pani weźmie Krasieńskiego — wyrzekł z dobrym uśmiechem, lecz jeszcze bardziej zniżonym głosem. — Postaram się także wyrobić u mego klienta, aby odstąpił pani po-

trzebną ilość aksamitu dla oprawy pani książki. Sądzę, że się zgodzi. To bardzo godny człowiek!

Na tem trochę pospolitem określeniu rozstali się. Lecz jakiś ciepły, porozumiewawczy uśmiech połączył ich oboje. Było to odczucie się dwojga istot, które na pozór, w oczach bandy przeciętnej mają ciasny i ciemny horyzont życia, w gruncie rzeczy właśnie dlatego, że nie rozpraszają się i nie niszczą płaskości uciech, stworzonych gwoli zadowoleniu tłumy i podnieconych, niewolniczo spętanych w węzłach najgrubszych swych instynktów, stoją na tych, którzy stają na progu Wyzwolenia.

A to, co ich łączyło, był smutek, zrodzony z nieszczęścia.

XXXVII.

Tego właśnie wieczoru Zdzych objaśnił, iż ma zejść się z kolegami, aby omówić ważną kwestyę zbliżających się rewansów. Troszczył się bardzo o świeżość bielizny, przyniósł z miasta wspaniałe nowe angielskie podwiązki.

— Muszę przebrać się. Moje stare podwiązki zbyt się rozluźniły. Pończochy nie są dobrze wyciągnięte. Musiałaś sama zauważyć...

Tłumaczył się, podawał szczegóły. Ma.ysienka dziwnie obojętnie przyjmowała tę rozpoczynającą się seryę eskapad, którą przeczynała. Zauważyła, że był jednak zgorączkowany i miał pozór tego, który chce gwaru i świateł, aby uciec od gnębiącej go zmyry.

— Postaram się wrócić wcześniej! — mówił, unikając jej wzroku, a zwłaszcza spojrzenia w stronę dziecka.

Skinęła głową. Przez chwilę odżyła między niemi atmosfera, wytworzona rano przez jej nagłe, prawie brutalne wtargnięcie w rdzeń ich życiowy. I znów zagasła, stłumiona fałszem i hipokryzą.

On prawdy odsłonić nie mógł, ona zaś czuła, że tą drogą nie dobierze się nigdy do wrót szczelnie zamkniętych.

Wyszedł, jak zawsze całując ją w rękę.

Oddawna już przyjęli pomiędzy sobą tę formę sentymentu. Było w tem wiele szacunku z jego strony, chłodne odgraniczenie się w jej zachowaniu.

Gdy została sama, Marysieńka ułożyła dziecię do snu, które tego dnia było więcej odosobnione i sennie, niż kiedykolwiek. Przez długą chwilę stała wpatrzona w anielską piękność Ślepej, wizyjną i nadludzką. Złożyła ręce w ekstazie i nie mogła odnaleźć na dnie swej duszy doskonałych wyrazów uwielbienia.

— Ty... cudzie!... — szeptały jej usta.

I równocześnie straszna gorycz przeświadczenia, iż doskonałość tego cudu skażona została oddźwiękiem tajnej jakiejś nędzy, wyślizgłej z rozpuszty, z tego »podwójnego życia«, po którym kroczył może w tej chwili — ojciec...

Szał ją ogarnął, wzrok jej potoczył się błędnie dokoła i padł na leżącą pod lampą książeczkę, przyniesioną od introligatora. Jakby do łodzi ratunkowej, czując się blizką utonięcia w morzu zwątpienia, przygarnęła się Marysieńka. Ujęła drobną książeczkę i, usiadłszy na fotelu, w ciszy wielkiej i skupieniu czytać zaczęła.

— — — — —

Byłż to myśli pobożne? Byłże to jeden z tych bukietów bzu, które więdną w atmosferze gwiaździstych blasków świec u stóp Maryi, w miesiącu majowym? Czy była to raczej cudna wiązanka bezwonnych fiołków alpejskich, które blały u piersi tej dziwnie namiętnej a tak z pozoru przezystej pani Bobrowej? Prędszej to drugie. W nieskończonej dali rozwiewały się przyczyny powstania tego arcydzieła. Z miłości grzesznej zrodzone, nabrało wskutek tchnienia epoki wszystkich cech anielskiej doskonałości. Zdawało się być wolne od żądz i pokus wszelakich. Zdawało się być świeżością i uśmiechem, pomimo żalnego dźwięku, jaki przenikał często te harmonijne strofy, składane u stóp Milczącego Bóstwa. Lecz odrębna, dziwna wiara zdawała się dyszeć z tych spokojem tchnących kartek, które stworzyło chore serce poety. Była to wiara, nie mająca nic z surowej konieczności, nakazów ostrych i przymusów bolesnych. Raczej był to hymn dziękczynny za możliwość pławienia się w ułudach rozkoszy życia i prośba o dość siły, aby zginąć pod ziemią na czas, na dzień, gdy już ten dzień miast słońca i złota przyniesie tylko cień zachodu i chmurnej, beznadziejnej nocy.

Jak romans najdoskonalszy, na tle rozplakanych harf czytała Marysieńka tę książkę i drżała cała od wzruszenia, a po licach jej płynęły niestarte, lśniące łzy. Wyobrażnia jej odtwarzała

chwile precudne miłosnego złączenia się tych dwojga romantycznych kochanków, strawionych nerwami i przeczulonych wrażliwością chorobliwych uniesień. Widziała tę prześliczną, Greuzowską twarz zmarłej, obramowaną złotymi lokami, za której rozkoszną, pieściwą urodą ciągnęły spojrzenia Wenecyan. I obok niej widziała delikatnego, samolubnego poetę, który kochankę swą podnosił w chwili ekstazy do godności istot idealnych i wprowadzał ją do ogrodu zaczarowanych kwiatów i krzewów najrzadszych i najszlachetniejszych uniesień.

I ogarnęła ją tęsknota bezbrzeżna za wyznaniem takich właśnie chwil słodkich upojeń, ozłoconych szlachetnością płomiennej i smutnej poezyi.

— Tak... tak... być kochaną choćby chwilę jedną, choćby chwilę... — łkała jej drżąca pierś i wyschłe od pragnień usta.

Nad ranem, gdy ocknęła się z półsnu, w który popadła razem z blaskiem dziennym i ze świadomością, że przed chwilą mąż jej powrócił do domu, odnalazła równowagę. We łzach i niedościgłych żądaniach spędzony wieczór przedstawił się jej spowity w wyrzuty, że zapomniała o tem, co było obecnie celem jedynym jej życia.

Zwróciła się do dziecka i nagle powzięła postanowienie.

— Zaniosę je do szpitalika dziecięcego. Tam, gdzie ocalono oczy Karusi. Przedstawię się jako ktoś z szarego tłumu, nie jako materyał do szeregu honoraryów i ktoś, kogo oszczędzać należy.

Twardo i surowo powiedziała do siebie:

— Muszę wiedzieć całą prawdę.

Ubrała się pośpiesznie i z niecierpliwością najwyższą czekała, ażeby mąż jej wyszedł z domu. Zdych dziś był w złym nastroju i usposobieniu. Miał wygląd człowieka, któremu nie udały się jakieś projekty i zamysły. Z pewną ociężałością gotował się do pracy codziennej i z pod oka śledził ruchy żony. Wreszcie zdecydował się wyjść jakby z żalem, że nie znalazł przyczyny do ulżenia rozpętany widocznie nerwom.

Szybko Marysieńka pożyczyla od zdumionej pokojowej jej świątecznego kapelusza i palta i kazała niańce sprowadzić dorożkę. Pod osłoną podniesionej budy, dowiedziawszy się o adres szpitalika w poblizkiej aptece, zajęchała Marysieńka z dzieckiem i niańką w dość szeroką i jasną ulicę. Kazała zatrzymać się fiakrowi przy wylocie ulicy, opodal od kraty szpitalnej.

— Zostań w powozie i czekaj na mnie! — wyrzekła do piastunki, odbierając z jej rąk dziecko.

Cała drżąca od wzruszenia skierowała się po asfalcie ku wejściu do gmachu.

Był szary, pocięty wielkimi oknami bez stylu, bez wyrazu.

Okrażało się klomb, obecnie wyglądający jak opuszczona mogiła. Kilka ławeczek stało dokoła. Na nich siedziało parę osób skurczonych. Jakieś kobiety z dziećmi na rękach, milczące i zamknięte w sobie, odziane ubogo. Przed kamiennymi stopniami stała fura chłopska, zaprzężona w pokurczone chabety. Wiatr im cesał grzywy. Na furze, w sianie zagrzebany leżał chłopak kilkoletni, owinięty szmatami. Chłop stroskany, o żółtej cerze twarzy, stał koło fury, czekając na coś i spoglądając chmurnie ku wnętrzu.

Marysieńka uczuła się nagle strasznie oniesmielona. Wrażenie, że jest intruzem pomiędzy tymi ludźmi, przejęło ją całą. Jakiś wyrzut, że zabiera ich miejsce, że wciska się bezprawnie w ich szeregi.

Na progu pojawiła się posługaczka o twarzy znudzonej, odziana biało, pewna siebie i obojętna. Wzrok jej poleciał w ulicę i zawrócił ku Marysieńce. Obrzuciła spojrzeniem kapelusz, trącający taniością, żakiet bez fasonu i po kobiecemu wzgardliwie zanegowała potrzebę istnienia takiej indywidualności na świecie.

Marysieńka wszakże pod tym wzgardliwym wzrokiem fagaski wyprostowała się i nabrała odwagi. Przeszła szybko kilka stopni po strudze

światła słonecznego, które padło jej nagle pod stopy jak objawienie, i spytała:

— Gdzie tu... leczą na oczy?

Z głębi korytarza doleciał nagle jakiś szloch, jakiś jęk.

Dziewczyna służebna odpowiedziała:

— Nie tu... trza iść na klinikę oftalmiczną, tam, w szpitalu, na parterze...

— Nie tu?

— Tutaj tylko przyjmują albo nie.

Nie dokończyła swego frazesu, pchnięta nagle od wewnątrz tak, że oparła się o ścianę. Marysieńka także rzuciła się w bok, aby uniknąć uderzenia lub upadku.

Z głębi bowiem gmachu, z czerni korytarza wypadła kobieta, ubrana po mieszczańsku, raczej ubogo, o wielkiej, bezbarwnej twarzy takich, które się zapracowują. Twarz ta w tej chwili wyrażała najwyższe uczucie rozpaczy, na jakie się serce człowieka zdobyć jest w stanie. Jasność dnia słonecznego, brutalna i bezwzględna, ujawniała tylko jeszcze więcej kontrast przepychu okrutnego natury i nędzy ludzkiej, skazanej fatalizmem na cierpienie.

Na rękach tej kobiety zwisało dziecko, owinięte jakąś chustą ciemną pośpiesznie, tak że nagle, o zielonawym tonie członki przeświecały. Głowa, przechylona w tył, zdawała się ledwo być przymocowana do kadłuba. I niewiadomo, które

z tych dwojga było straszniejsze i bardziej litości godne. Czy ta Dolorosa o wyjącej piersi, zrąnionej w swych nadziejach i prawach matki, czy ten nic nie wiedzący zzieleniały półtrup, którego wpółzgnile członki całowało miłośnie i szyderczo wiosenne słońce. I nagle stała się rzecz straszna, potworna, która dreszczem zgrozy przejęła wszystkich obecnych. Oto kobieta z krzykiem, który rozpaczą swoją bił prosto w samo serce ludzi i słońca, zatrzymała się chwilę u szczytu kamiennych schodów, podniosła w górę ręce, w nich dziecko i cisnęła niem z całej siły o ziemię.

Jeden skowyt krótki, urwany i nieruchome ciało rozpląszczyło się na tle szarych kamieni a głowa rozbita zwiśla z ostatniego stopnia na żwir wilgotny i ostry. Z czaszki tej nędznej, nieforemnej, obrosłej resztką włosów, sączyć się zaczęła krew i wsiąkać posoką w ziemię, w jasność słoneczną.

Lecz oto już, w ślad za dzieckiem, waliła się na ziemię i matka. Upadła z rękami wyciągniętymi, zalana łzami, bezprzytomna. Milczała jednak teraz i pozostał po niej tylko ten jeden krzyk straszny, który wibrował w powietrzu. Teraz już i matka i dziecko nie skarżyli się niczem, żadnym protestem, tylko tak w słońcu leżeli kupą szmat ciała i łachmanów, jakby zwaleni obuchem bezlitosnego Przeznaczenia.

Marysieńka, jak szalona, zbiegła po schodach, cisnąc ku sobie swoje ślepe dziecko. Wszystko w niej dyszało trwogą i lękiem. Potworne wizye ogarnęły ją. Nie zdawała sobie sprawy, że biegnie ku murom szpitalnym, a za nią wyje rozuzdane miasto i gna ją podniecająco i bezlitośnie. Jakiś wichler zerwał się pomimo błękitu czystego niebios i wnikał w wezbrane przestrachem serce kobiety. Czuła straszną, bolesną wspólność swoją z tamtą nieszczęsną, leżącą martwo obok trupa dziecka, z którego rozwalonej czaszki sączyła się krwawa posoka. Jaka była to wspólność, nie rozumiała jeszcze. Czy tylko macierzyństwo i niedola porodzenia chorych i niezdolnych do życia kalekich dzieci?

Czy może coś jeszcze głębszego? To jedno zapamiętała Marysieńka, to potworne widzenie ciała nagiego trupa, rozpląszczonego na ziemi i wywiniętego upadkiem tym z osłaniających je chust. Na chudych, bezkształtnych członkach koloru ziemi znaczyły się całe grupy jakichś wyrzutów o sinej, czerwonej barwie. Miejscami te straszne plamy były poprzecinane jakby ranami o żółtych, rozwartych brzegach.

I coś złowrogiego, coś tak przerażającego było właśnie w tych kwiatach zła, przywartych do ciała niemowlęcia, jakieś piętno rzeczy tajemnych a tych najgorszych i najstraszniejszych, jakie paść na ciało ludzkie mogą, zamieniając je

w ścierwo, iż zdawało się, że ktoś zerwał wieko trumny i na słońce, na jaw, na tchnienie wiosny pokazał, jaka to tam robota dzieje się w ciszy grobowej, jaki to jad wykwita nieuchronnie w pustce i nieruchomości bezbronnych ofiar.

XXXVIII.

Jakby wejście do katakumb, tak pochłonęły ją korytarze szpitalne. Ciemne, szerokie, o podłogach wydeptanych pokornymi stopami tych, którzy w nędzy swego cierpienia nawet czuli, iż są tolerowani łaskawie, o ile służyć będą za o b j e k t, za p r z e d m i o t konieczny do studyów. Ciemne, szerokie korytarze zionęły opatrunkami, wilgocią i interesowną litością. Instynktownie Marysieńka skierowała się ku oddziałowi kliniki oftalmicznej. Jakieś postacie zniekształcone więzienną odzieżą szły jakby na jej spotkanie. Z pozawijanemi głowami miały pozór bardzo fantastycznych i chorobliwych.

I strach, który Marysieńka czuła rosnący w sobie, powiększać się zaczął stopniowo. Chorzy ci, krocący wśród ciemności cicho i bez szelestu, mieli ruchy ludzi pijanych lub tracących poczucie samowiedzy. Wyciągali ręce i cofali głowy. Było w nich coś z nietoperzy, zmuszonych do pełzania po ziemi. Jeden z nich potrącił ręką wyciągniętą ramię Marysieńki. To znów nagle, jakby z pod ziemi wyrósł naprzeciw niej cień błady młodej jakiejś dziewczynki, sunący wzdłuż ściany...

Droga, którą przebywała, chcąc dostać się do oszklonych drzwi, odcinających klinikę oczną od reszty szpitala, wydała się jej nieskończoną i ciężką do przebycia Kalwaryą. Dziecko zaczynało ciążyć jej, jak krzyż niesiony w ramionach. Okryte potem miała skronie, gdy dostała się do wnętrza ambulatorium. Popadła w ciżbę ludzi, przeważnie milczących i oddychających ciężko. Ciemno tu było i duszno. Wszyscy tłoczyli się unieruchomieni przeważnie i cisi. Tylko małe dziecko jakieś żaliło się, skomląc jak zdychające szczenię. Dzieci tych na rękach matek była duża ilość i zaraz Marysieńka dostrzegła u niektórych te same potworne maski, zeszepecone opuchnięciem oczów, jakie miało jej dziecko w niezapomnianych, fatalnych dniach i nocach.

Lampa, płonąca u stropu żółtym, mętnym blaskiem, wytwarzała niepewny półmrok, powiększający jeszcze melancholię, panującą dokoła. Ci wszyscy, którzy się tłoczyli w tym ciasnym zakątku, byli tymi, którzy przestali się miotać w szale buntu przeciw swemu przeznaczeniu. Może być, iż nie miotali się nigdy, wzięci odrazu w szpony Mocy dominującej. Fale życia przepływały mimo nich, nie zagarniając ich ze swym prądem. Niemniej przecie stali na brzegu i wsłuchiwali się w szum fal. Lecz na ich twarzach nie odbijały się żadne wrażenia. Były to maski nieruchome i nic nie wyrażające. Ani wiel-

kich uniesień, ani niskich szaleństw. Uzewnętrznianie głębi swej i dreszczów duszy było im nieznane. I przez to samo może byli doskonalsi, pogrążeni w rozmyślaniu i wykształceni do możliwej doskonałości w hamowaniu wybuchów, powstałych z szarpiących zewnętrznych podniet.

Jedni po drugich znikali we drzwiach, prowadzących do sal, w których badano stan ich źrenic. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś młody, silny, rosły mężczyzna, odziany w długi, biały kitel szpitalny. To znów posługacz przyprowadzał nowego chorego i umieszczał go w tłumie.

Chwile płynęły ciężko i dłużyły się. Zdawało się, iż życie zatrzymało się i pulsować przestało. I nie było tu nic, ani wiosny, ani młodości, ani uśmiechu, ani wesela. Miłość, wielkie, bojkie czyny, twórcze, szeleszczące od geniuszów dzieła nie istniały nawet we wspomnieniu.

Powoli Marysieńka zaczęła się wzywać w ten nastrój i w ten tępy smutek, przesiąknięty koniecznością rezygnacyi. Przygarnięta do ściany, z dzieckiem u piersi, w tłumie ślepców lub tych, którzy ślepyimi być mieli, ulegała rytmom, w jakich były ich serca i dusze. Zaczynała zapominać o gorączce, pulsującej tam poza murami, a którą wytwarzał właśnie świat ludzi żywych i widzących. Zapominała, i nie pragnęła przypomnienia. Ta duszna, ciemna przestrzeń chłonęła ją.

Gdy wreszcie nadeszła jej kolej i wezwano ją, aby weszła do sali, miała wrażenie, iż wyrwano ją przemocą ze słodkiego, choć duszącego letargu, w który powoli zapadała.

— — — — —

Znalazła się nagle w jasnej, dużej izbie, o wyglądzie klasztornych, bielonych sal. Kręciło się po niej kilku ludzi biało odzianych i zajętych chorymi, z którymi czyniono eksperymenty. Wielkie tablice, oznaczone rozmaitej wielkości czarnymi literami, zwisały na ścianach. Koło aparatów, mierzących pole widzenia, grupowało się kilka osób. W jakimś kącie słychać było głos płaczący jakiejś kobiety, której kazano czytać próby rozmaitych druków. Wogóle było to coś okrutnego i bezwzględnego, ten dzień, ten blask w stonku do zagasłych lub gasnących źrenic. O ile ciemny przedsiónek ambulatoryjny miał w sobie tragiczne dostosowanie się do tych, którzy go zalegali, o tyle te izby białe i światłem przesycone brutalnie biły w jądro sprawy i wydobywały bezwzględnie na jaw istotę ich nędzy.

— — — — —

Badanie dziecka Marysieńki krótko trwało. W ciemni, do której ją zaprowadzono, zajrzano w głąb źrenic małej. Ona nagle zbuntowana, zgorączkowana jakaś, z płomieniejącą twarzą wydzierała się rękami lekarzy. Jednakże nie blaski oftalmoskopu, poruszane tuż przed jej twarzą,

zdawały się wprawiać ją w niepokój. Raczej ruchy ich rąk.

Jeden z nich, widocznie naczelnym asystentem, młody człowiek, o twarzy Cezara, z przywartym jakby półuśmiechem na wąskich wargach, mianowany »asystentem« przez otoczenie, zwrócił się do Marysieńki obojętnie, nie patrząc na nią zupełnie:

— Dziecko pani ma zupełnie zdrowe oczy.

— A!...

Radość chwyciła ją szponami za serce.

— Niemniej przeto będzie ślepe.

— ?...

— Choć widzi.

— Widzi!...

Tchu jej brakło.

— Ale... nie umie patrzeć. Zapóźno zaczęło widzieć.

Nie rozumiała. Wbiła swe źrenice w piękną twarz doktora. Intensywnością swego spojrzenia zmusiła go, iż popatrzył na nią i wyczuł, że go nie rozumie.

Zdecydował się dać jej pewne objaśnienie.

— Mój Boże, niech pani zrozumie. Dziecko widzi, ale nie rozróżnia w pierwszych czasach po urodzeniu. Stąd rozbieżność jego ruchów. Dopiero powoli zaczyna pojmować kształty, barwy, formy. Normuje się, że tak mogą powiedzieć... Do tego jednak jest zdolne tylko w pierwszych

miesiącach swego życia. Ile dziecko pani ma lat? Skończyło rok? Co? Tak! Po roku już wyjaśnienie rogówki, które u niego nastąpiło, na nic się nie zdało. Dziecko, powtarzam, widzi, ale nie umie patrzeć.

Cała w dreszczach, unicestwiona, zapytała słabo, wisząc na jego ustach nadzieją już konającą:

— Więc... nigdy?...

Odparł już stanowczy i pewien siebie, jak wódz dominujący nad garstką zdychających niedobitków:

— Nigdy. Blenorrhea ma często takie następstwa.

Pochwyciła tę nazwę, która w okrucieństwie chwili walczącej się na nią znaczyła się jak rozpalone ostrze sztyletu, skierowane wprost do jej piersi.

Asystent odchodził już ku nowemu napływowi chorych.

Zatrzymała go nagle, czując, że jakaś dzika odwaga powstała w niej, wobec wyrazu, jaki druzgotał ją z całą zaciekłością. Skupiła swą wolę, zebrała konającą energię i rzuciła pytanie:

— Pan powiedział... Blenorrhea? z czego powstaje taka choroba? Jaka przyczyna?

Zatrzymał się. Pewnemi siebie oczyma zajął jej w twarz. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

Poczuł się do jakiegoś obowiązku wobec słonecznej piękności, która od niej była.

— Pani jest mężatką?...

— Tak, panie!

— A więc pani mąż zapewne nie był zupełnie zdrow. Przez to i pani i dziecko.

Odwrócił się szybko, jakby to wypowiedzenie bezwzględnej prawdy przyszło mu nagle z trudnością, jakby poczuł litość nad słoneczną młodością, której blask gasił.

Wyszedł pierwszy i utonął w odmęcie pracy.

Za nim z ciemni wywlokła się ona, na którą jakby padł welon młodości umarłej, tak bladą, tak nawskroś nędzną zdawała się teraz, dźwigając równie nędzne i zestarzałe dziecko w swych ramionach. A za nią śladem szedł głos chorej, płaczący i jęczący, czytającej pod oknem:

— »Łany zboża złocą się w słońcu i zielone drzewa rzucają rozkoszny cień na świeżą, pachnącą ziemię. Jasność dnia i siły życia rozbrzmiewają hymnem tryumfu...«

I nagle płaczący głos ślepnącej urwał i do dał po chwili:

— Dalej już nie widzę...

B. Józefowicz.

XXXIX.

Tą samą drogą wracała Marysieńka popod szpital dziecięcy, ku oczekującemu ją powozowi. Lecz to raczej ona teraz była jakby nagle oślepla, jakby tumany mgły otoczyły ją dokoła. Szła przed siebie, nie widząc prawie celu. Nagle znalazła się na asfalcie przed wejściem do szpitalika dziecięcego. Fura ze stojącym obok niej cierpliwym chłopem przecięła jej drogę. Okrążyła martwy klomb i postawiła nogę na plamie krwi, którą gładka ziemia, widocznie nasycona, na powierzchni zostawiła. Tak matkę o dzieciobójczym zapędzie, jak i trupa półzgnitego dziecka uprzątnięto. Pozostała tylko brunatna plama, w słońcu lekko zaznaczona.

I to jedno jakby przyprowadziło do bolesnej świadomości Marysieńkę. Cała tragedia szczytnej rozpaczki odżyła tu u stóp tych schodów kamiennych, na których pękła czaszka niemowlęcia. I równocześnie powstało w niej nerwowe połączenie z przyczyną, z której zrodził się krwawy czyn tamtej matki, oszalałej od bólu, w obliczu nagiej, może nagle poznanej Prawdy.

Jakby jakiś szatan załachotał jej ręce, trzymające dziecko ślepe i zgorączkowane.

— Ponieważ nigdy... może raczej śmierć!...

Ta krew rozbryzgana ciągnęła ku sobie drugą czaszkę, jeszcze całą, czyn potworny i groźny przywoływał i ciągnął drugi, jeszcze potworniejszy i bardziej groźny...

Z jękiem wewnętrznym, który wzburzenie najwyższe utworzyć mogło, z jękiem bez dźwięku, który wstrząsał fundamentem duszy, z biciem serca, które nagle wezbrało całe od żądzyszczenia tego, co było skazane na istnienie paryi, zdołała Marysieńka przewyciężyć i opanować siebie i przekroczyć plamę krwi, która się ciała jej dziecka domagała.

Dobiegła do dorożki i, wtargnąwszy w nią, oderwała od swej piersi dziecko i podała je niańce.

— Weź... — wyrzekła chrapliwym głosem — zbyt jestem wyczerpana, abym mogła je dźwigać...

— — — — —
Gdy weszła do domu, gdy znalazła się w swojej sypialni, padła raczej na kanapkę, stojącą w zacisznym kącie pokoju. Dziecko, ułożone w swem łóżeczku, rzucało się chwilę niespokojnie, potem zasnęło. Przed umysłem Marysieńki nagle, z ogromną precyzją szczegółów stanęła scena jej powrotu z domu rodzicielskiego, to nieza-

stanie w domu Zdzicha, noc jej bezsenna, spędzona na wyczekiwaniu, i potem jego przyjście, łzy, scena i to złączenie się ich jakieś rozpaczne, musowe, jakby on właśnie chciał dowieść jej zupełnej niewinności ze swej strony. Mimo to przecież nie czuła ona w tem połączeniu bicia serca wiernego. Gdy zasnął później ciężko, wyczerpany nadmiernie i jakby uciekający w tym śnie od zrozumienia i wyczucia właściwej istoty rzeczy, ona czuwała, patrząc na rodzący się świt, zbyt wątpa i jeszcze niewinna, aby zrozumieć, iż może dokonała się tu przed chwilą najwyższa zbrodnia fałszu i samolubnej obrony, mogąca sprowadzić za sobą najkrwawsze, najbardziej tragiczne następstwa.

— Może wtedy? — myślała — może...

Rozejrzała się dokoła.

— Jakże tu żyć dalej w tem skalanem gnieździe? Jak żyć nam trojgu?...

I nagle podniosła się, wyprężyla, wyciągnęła ramiona, w których zdawało się, że podnosi własną, tę okrwawioną, zranioną duszę, którą wydiera ze swej istoty najwyższym wysiłkiem konającego. I tak, jak tamta ciskała o ziemię dziecko swoje, poznaczone stygmatami przekleństwa, tak ona ciskała swe życie, swą młodość, skarb siebie całej, zdolnej do walki z losem i wydierającej słoneczne blaski nadziei Przeznaczeniu. Krzyk jeden, jedyny przeszył powietrze i ściągnął

na nią uwagę niańki, która kołysała łóżeczko dziecinne. Musiała być straszna maska jej twarzy, bo dziewczyna przerażona wypadła do dalszych pokoi, wołając pomocy. Pokojowa właśnie otwierała drzwi komuś, kto dzwonił przed chwilą.

— Pani zwaryowała! — krzyczała niańka w najwyższym przerażeniu.

Pokojowa rzuciła się ku drzwiom sypialni, potracając po drodze sprzęty. Za nią biegła, szlochając, niańka i nowoprzybyły.

Gdy wpadli do sypialni, Marysienka leżała na ziemi, twarzą do podłogi, z rękami rozrzuconemi, z palcami kurczowo wpiętemi w wełnę dywanu. Zakrzętnęli się koło niej wszyscy troskliwie. Gdy odwrócono ją, okazało się, że była prawie martwa, lecz przytomna i widocznie tylko silne moralne wzburzenie wywołało w niej to zesłabnięcie ciała.

Lecz osłabienie to było wielkie i przejmujące, bo mimo wysiłków dźwignąć się z ziemi nie mogła. Wówczas z poza postaci służących wystąpił nieznany jej mężczyzna, pochylił się i zreźnie, silnie wziął ją na ręce, jak małą dziewczynkę. Przez chwilę zawisa na jego rękach, u jego piersi, mając jego twarz nieznaną, a już liłości pełną, prawie nad swoją twarzą.

I była to jedna minuta, jeden błysk, jedno tchnienie. A przecież zdało się jej, że ten wła-

śnie człowiek uczestniczył w jej życiu najgłębszym. Była jakby konająca i jakby pijana boleścią, ale nagle nie osamotniona, lecz odczuta i pojęta przez te oczy ciemne, dziwne, dobre a silne, które ogarniały ją wspólnością czuć, myśleń, radości i cierpień życiowych.

— Kto pan?... — wyszeptaly jej usta.

Odparł głosem, który zdawał się jej być znany:

— To mniejsza. Chodzi głównie o to, jak się pani czuje?

Ułożył ją delikatnie na łóżku i stał ciągle przy niej, jakby czując, że zbliżenie się teraz do niej płatnych służących napelni ją wstrętem. Odrazu zrozumiał, iż cierpi tu więcej strona moralna, niż fizyczna, i że wymagana pomoc i opieka musi być podana z całą subtelnością i odczuciem sytuacji. Ta kobieta nie zwaryowała, jak to zaopiniowała niańka, lecz szalały w jej wnętrzu jakieś cierpienia, które jej serce wzbierały męką. I wyczytał szalony strach w jej oczach, gdy oddalał się, aby rzucić z siebie palto, w którym z pospiechu wpadł do jej sypialni.

— Zaraz powracam! — uspokoił ją po przyjaźelsku, widząc trwogę w oczach, któremi go ścigała.

Pokojowa pobiegła za nim.

— Może doktora? — spytała.

Przeciął krótko:

— Na razie nie trzeba. Proszę tylko o spokój zupełny.

Chciał oszczędzić tej kobiecie, tak widocznie wrażliwej i przemęczonej cierpieniem, krzątaniny niepotrzebnej ludzi ściągniętych z rozstajnych dróg.

— Może pan jest lekarzem? — wpadła na pomysł pokojowa.

— Tak! — skłamał krótko, widząc w tem najlepszy punkt wyjścia.

Powinnował sobie tego kłamstwa, gdyż służące znikły obie, uspokojone obecnością w domu doktora. Zbliżył się do łóżka chorej, pogrążonej w jakiejś apatii i jakby poddającej się katuszy. Wydała mu się bardzo słabym stworzeniem, łamanem brutalnie przez jakieś prawa nieubłagane i potworne. Stała mu się odrazu nadzwyczaj blizką i konieczną tą właśnie słabością swoją. W naturze jego leżała potrzeba otaczania opieką tych, którzy padali, miotani przez pastwiące się nad nimi burze i okoliczności.

Marzył zawsze o spotkaniu kobiety, upięk-szonej cierpieniem samotnem. Pragnął, aby jego objęcie służyć mogło za oparcie głowie, nad którą przeciągnęły chmury, siekąc ją bezlitośnie i przygniatając bezwładem. Patrząc na leżącą, czuł pragnienie wywołania na jej wargi, skurczone boleścią, słabego uśmiechu. Zawczasu rozkoszował się tą chwilą, w której odnajdywał ty-

siąckrotnie większe zadowolenie, niż zbieranie tryumfujących, już gotowych oznak zadowolenia z bezmyślnych warg, pijanych radością życia.

Usiadł obok łóżka, jakby na straży, i dojrzał, że mu była rada i patrzyła mu prosto w twarz przez mgłę smutku i bezbrzeżnej melancholii.

— Byłam chora? — odezwała się wreszcie prawie szeptem.

— Była pani tylko wyczerpana. Powoli przyjdzie pani do siebie.

Milczała chwilę, wreszcie spytała:

— Czy pan jest doktorem?

— Jeśli pani jego obecność jest konieczną do uspokojenia, niech mnie pani uważa za takiego.

Poruszyła z wysiłkiem przecząco głową.

— Nie! nie pragnę lekarza! — wyrzekła — on tu już nic nie pomoże...

Cała rozpacz beznadziejna odbiła się w tonie, w jakim zostały wymówione przez nią te słowa. Zrozumiał, iż jest tu podłoże bardziej tragiczne, niż nawet sam przypuszczał. W słowach tych, w dźwięku głosu tej kobiety było pożegnanie wszystkiego, co miłosne, tkliwe, wesołe i do przyszłości dążące. Rozumiał, że nie szło tu o fizyczną pomoc lekarską, lecz wogóle o jakiegokolwiek zmniejszenie na lepsze wyroków Przeznaczenia. Jeżeli jednak ta kobieta predestynowana była na dźwiganie krzyża, należało nauczyć ją, aby

umiała go dźwigać i uczynić ją podatną do ukochania nawet swojej boleści.

Zawisł u jej ust i wchłaniał w siebie czarujący wyraz konającej, który miała ta ściągła, śliczna twarz na tle białych, o błękitnym cieniu, batystów.

— Nic nie pomoże! — powtórzyła raz jeszcze, jak echo słów własnych i przetrawionych łzami.

Obejrzał się dokoła, pragnąc wychwycić z jej otoczenia coś, na czymby mógł zaszcześcić słowa otuchy i siły. Wzrok jego padł na dziecko.

Nie spało. Uniosło się trochę na posłaniu i szeroko rozwartymi oczyma zdawało się patrzeć wprost na nich z zainteresowaniem i uwagą. Czując pewną banalność w tem, co powie, wyrzekł wprawdzie:

— Dziecko...

Lecz na twarzy jej wyraz bólu powiększył się i doszedł do szczytu. Łuk jej ust zarysował się jeszcze silniej i opadł prawie z boleścią najwyższą.

— Dziecko... właśnie ono! — wyszeptała zdęczona.

— Tak piękne...

— Ono patrzy na nas, ale nas nie widzi...

Słyszał już, że dziecko jej cierpiało na oczy. Nie wiedział jednak, że było zupełnie ślepe.

— Jeżeli patrzy... — podjął.

Ona usiadła nagle na łóżku i rozpaczliwym ruchem odgarnęła z czoła spadające i rozwichrome włosy.

— Pan nie rozumie — zaczęła — ono widzi nas, ale ono nie umie nas zobaczyć! Nie umie... już! Bo zapóźno przejrzało i wskutek tego musi pozostać ślepe! musi!... na zawsze, na całe długie życie!!

Polowały się znów łyzy po jej twarzy. Nie ocierała ich. Wyślubiły sobie drogę po delikatnych policzkach i płynęły tak bezustannie, jakby źródło ich było w najgłębszych tajnikach jej duszy. Zrozumiał, że tu była przyczyna jej cierpienia, choć subtelność jego natury kazała mu przeczuwać i zgadywać jeszcze coś więcej poza rozpaczą zranionego macierzyńskiego serca.

Pochylił się ku niej, pełen współczucia i dobrych myśli.

— Czy sądzi pani, że tak wielkie nieszczęście będzie dla dziecka pani, że nie pozna świata i zewnętrznej jego strony?

Nie odparła nic. Łzy płynęły jednak ciągle po jej twarzy. Milczeniem swoim zdawała się jednak domagać w dalszym ciągu słów jego i zachęcać go, aby mówił dalej.

— Gdyby dziecko pani wzrok utraciło — podjął, rozumiejąc jej chęć tajoną — wtedy możnaby sądzić, iż cierpi. Życie bowiem widzialne ma w sobie piękności, za którymi tęsknić można.

Lecz ono na szczęście przejrzało właśnie zapóźno i nie wie nic ani z form ani z barw, jakimi wszechświat jest przepojony... I dla niego ta forma, w której ono się porusza i odczuwa, jest zupełnie naturalna i innej nie pragnie. Bo innej nie zna.

Zatrzymał się chwilę i patrzył na dziecko, zagadkowe w tem niewidzącym spojrzeniu, które stało przed siebie, ku nim, stwarzając ich sobie w swej wyobraźni i bezustannym śnie, w jakim pogrążone było.

Zapytał jednak:

— Czy to dziewczynka?

Skinęła głową.

— Tem lepiej, tem lepiej! — wyrzekł żywo. — Ta kraina fantastyczna, którą sobie stworzy, będzie jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej czarująca i doskonalsza. Wystarczy jej. Niech mi pani wierzy, wystarczy...

Jakiś cień smutku pokrył jego twarz. Dojrzała to przez zasłonę swoich łez. Miał pozór nagle zestarzałego człowieka, który ujrzał przed sobą przyczynę swej przedwczesnej starości. Oczy jego zagasłe wpatrzone były w to niewidzialne a wieczyście przed nim będące.

— Bo może lepiej świata i tego, co na nim, nie widzieć zupełnie — wyrzekł wolno.

Z duszy jej wyrwał się krzyk:

— Lepiej! lepiej!

Padła na poduszki, kryjąc twarz w rozpacz-

nem jakimś zapamiętaniu. Wszystko, przez co przeszła, to krwawe olśnienie i zrozumienie podłej strony życia, zważyło się nagle na nią z całą bezwzględnością. Zawyla boleśnie, jak zraniony pies. I gdy on pochwycił jej rękę, nie cofnęła jej. Jakieś ciepło, przytulność jakaś oładnęła ją, przeciwnie, przycisnęła rękę jego do swej twarzy, do swych oczu, jakby chciała tą przyjazną dobrocią odgraniczyć się od widm piekielnych, które dokoła niej zmartwychwstały.

On zdawał się zapominać o tem, co wywołało cienie smutku na jego twarzy. Litość przepoiła go. To niespodziewane zżarcie tej istoty przez Los, połamanie jej skrzydeł i zranienie jej serca w chwili, gdy dyszało całe ofiarnością i pięknem, kazało mu zapomnieć o tem, co przed chwilą wynurzać się zaczęło z jego wzruszeń tajemnych i kazało mu wysuwać naprzód i swoją indywidualność. Cały oddawał się na usługi tej Cierpiącej i powalonej wielką boleścią. Z niepokojem wsłuchiwał się w tony tego skowytu, jaki się z jej piersi wydobywał. Czuł się na razie bezradny i tylko rękę swą poddawał jej jako osłonę gorących powiek i jak w konchę muszlową zbierał jej palące łzy, które powoli przeciekały mu przez palce.

Miał ten takt i delikatność serca, iż nie przerywał jej porywów banalnemi słowy. W tym bólu

kobiety była taka moc wyrazu, że gniołła i niweczyła wszystko.

Czuł, iż stała się tu zbrodnia bez krwi rozlewu.

Wreszcie, powoli uspokoiło się jej łkanie, dyszała tylko ciężko, a wreszcie i to ucichło. Leżała jeszcze chwilę, jakby z ciężkością wracała do przytomności, wreszcie puściła jego rękę i włosami otarła swą zmoczoną łzami twarz.

— Przepraszam pana! — wyszeptwała drżącym głosem.

Czuć było, iż zadaje sobie gwałt i przymus straszny, aby uczynić zadość formom i nadać pomiędzy nimi zawiązanej nici jakąś cechę bardziej prawdopodobną. Zrozumiał, iż powinien odejść, że teraz ta kobieta ma już na tyle mocy, aby pozostać sama ze swą boleścią.

— Żegnam panią! — zaczął, kłaniając się lekko.

— Nie dręcz się pani takim niepokojem — ciągnął, dobierając słów — ta forma jest zbyt silna dla pani do zniesienia. Pozwól mu przetrwać się na możliwsze do przetrwania uczucie. Gdy zechcesz, przyjdzie ci to z łatwością.

Popatrzyła na niego długo, boleśnie, smutno, a przez osychające łzy promieniały teraz powoli światła jej oczu.

— Pan nie wie jeszcze wszystkiego! — rzuciła mu w formie pożegnania. Gdy się odwrócił i szedł przez amfiladę pokoi, ginąc w oddali, zda-

wało się jej, że ten sposób chodzenia zna już, że biegły za tą postacią wyniosła a cokolwiek zgarbioną jej oczy, że jest on częścią podstawową jakiegoś jej wspomnienia, które miało w sobie piękność i tajemniczość snu dziwnej i niezapomnianej nocy.

Widziała, jak, odchodząc, położył w salonie na jednym ze stolików zwitek aksamitu, i zrozumiała powód jego przybycia do niej o tej porze. Gdy zniknął i drzwi zawarły się za nim, zdało się, iż w tej powodzi goryczy, która zatapiała jej duszę, coś zaświtało, jakby ktoś zapalił latarenkę wśród zwodniczych i gnijących obszarów bagniska.

XL.

Grobowem milczeniem nazwać można to, co zapanowało od tej chwili pomiędzy Marysieńką i jej mężem.

— Gdybym mówić zaczęła — myślała, unikając patrzeć w jego stronę — padłyby słowa straszne, od którychbym sama skołała. W tej chwili nie umiem, nie potrafię przenieść ich siły. Zdołają mnie zabić, jak uderzenie siekiery.

On zaś, jakby przecuciem wiedziony, czy instynktem się kierując, zrozumiał, że stało się tu coś nadzwyczajnego, że prawda już nie stała może ukryta za zasłoną fałszu, i stał się nagle lękliwy, nieśmiały, niepewny w ruchach i czynach. I tem właśnie ocalał się od katastrofy i oddalał ją. W Marysieńce bowiem na dnie nie żarzyła się iskra nienawistnego gniewu, skierowanego ku niemu jedynie i właśnie. Nienawiść ta była, wzbierała i dojrzewała, ale nie w tym przeważnie kierunku. Czuła się niezdolną do wybuchu i wysiłku, jeżeli ten wybuch ma mieć za cel potępienie męża. Raczej smutek potworny, śmiertelny, zabójczy owijał ją całą i napelniał mgłą ciemną,

nieprzeniknioną przestrzeń, w której poruszały się ich myśli i czyny.

Zresztą uwaga jej skoncentrowała się teraz na dziecku, które zdawało się być coraz więcej niespokojne i zgorączkowane. Odpychało ją i wydawało ciche, nieartykułowane jęki. Jakieś przynębiające wrażenie robiło to bezsilne miotanie się słabego stworzenia wśród ciemności i Zdych kilkakrotnie zbliżył się do łóżeczka, przewyciężając przykre uczucia, jakich zwykle doznawał, znajdując się w pobliżu Ślepej.

Zawsze spotykał po drugiej stronie łóżeczka żonę pochyloną i czuł, że wzrasta w niej niepokój i troska. Chciał ją jakoś ująć i czuł, że musi przebłagać, zapytał więc:

— Czy nie uważasz, że mała jest chora?

Skinęła głową.

Wydała mu się nadzwyczaj blada i zmieniona. Złożył to na karb błękitnej lampy, która paliła się w kącie pokoju. Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego przyszły mu na pamięć chwile pierwocin ich pożycia. Zapomniał o nich, a raczej otoczył jakąś grubą warstwą rzeczy niepotrzebnych, które się składa na strych lub do lamusa. I nagle teraz, może przez ten błękitny, miękki blask lampy wydostały mu się te wspomnienia i poruszyły wdziękiem i jakimś smutnym uczuciem serce zastygłe w fałszu i udawaniu dobrze nakreślonej linii postępowania, od

której odsunąć się nie chciał. Dojrzał na twarzy żony silne brózdki, jakby wyżłobione łzami. Przejęły go wyrzutem i prawie trwogą. Chciał czemś zadośćuczynić temu cierpieniu, które objawiało się przed nim bez skargi i słów zbytanych.

— Zostanę dziś z tobą w domu! — wyrzekł ofiarnie, uznając w swej małej, żadnej duszy, iż składa wielką ofiarę na ołtarzu obowiązku.

Ona przyjęła tę demonstrację obojętnie, bez słowa i tem uraziła go znowu. Chciał ją pognać swoją wspaniałomyślnością.

— Tu trzeba doktora! — zawyrokował twarodo, słysząc silniejszy jęk w chwili podniesienia dziecka.

Spojrzała na niego przeciągle i pozostała tak, jakby tem milczącym spojrzeniem wyrażała mu podziw nad nagłą troską, jaką został zdjęty, o c h w i l o w e cierpienie dziecka.

Zmieszał się pod wpływem tych oczu. Nie mógł znieść ich magnetycznej siły. Nie rozumiał, co chciały mu powiedzieć, ale czuł, że były pełne chłoszczących wyrzutów i myśli.

— Idę po lekarza! — wyrzekł, coraz więcej zmieszany — obok mieszka doktor chorób dziecięcych, doskonale się składa!

I już od drzwi rzucił:

— Uczynię to głównie dla twego spokoju! To przychylnie krzątanie się ojcowskie i dobrego męża kaleczyło jej serce i rwało na strzępy.

Wolałaby, ażeby zachowywał się obojętnie, tak, jak poprzednio. Ból jej i cierpienie nie znajdowałyby w ten sposób ciągle na swojej drodze obleśnej jego uprzejmości, która zdawała się tak nędzną, tak żadną, tak małą wobec tragicznego ogromu jego winy.

Gdy wrócił, prowadząc lekarza, którego wyjątkowo zastał w domu, usunęła się prawie, czyniąc mu honorowe miejsce przy łóżku dziecka. Lekarz typowy, przeciętny, lecz widocznie w dużej praktyce wyćwiczony i giętki, zabrał się do badania małej, nie czyniąc zbyt wielu gestów i pytań. Zmierzył sprawnie gorączkę i w czasie tym bystro obrzucał wzrokiem postać Marysieńki i urządzenie domu. Wyczuł zaraz pomiędzy tem dwojgiem rozterkę i jakąś urazę bolesną, jaką żywiła w swej duszy ta nieruchoma, cicha kobieta. Widocznie Zdzych, idąc, poinformował go, że dziecko nie widzi, ale zamilczał zapewne o przyczynach. Lekarz jednak powziął podejrzenie i szybko oryentować się zaczął w sytuacji. Nie dopuszczony jednak do dna tajemnicy, ograniczył się tylko na objawach wewnętrznej choroby, która zdawała się nagle ogarniać dziecko. Zauważył wysoki stan ciepłoty i wskazał go ojcu:

— Trzydzieści dziewięć...

Odkrył białą, miękką kołderkę. Zaczął sprawnymi rękami dotykać drobnego, wątłego ciała. Ślepa umilkła na chwilę, jakby wsłuchiwała się

we własne wrażenie, które jej dotknięcia tych nieznanymi rękami przynosiły. Dotychczas bowiem znała tylko ręce matki. Nagle wydała krzyk bolesny i rzewnie płakać zaczęła. Lekarz ucisnął lekko prawy bok brzucha, co widocznie wywołało u dziecka wielkie uczucie bólu.

— Tak! — wyrzekł doktor, podnosząc się z nad posłania — już wiem!

Miał o wiele poważniejszy wyraz, niż ten, z którym wszedł do pokoju. Zakrył powoli płaczące wciąż dziecko i skierował swój wzrok ku Marysieńce.

— To nic... to niedyspozycja zwyczajna! — wyrzekł bezdźwięcznym głosem.

Z pewną jednak demonstracją zrobił gest w stronę ojca.

— Proszę, chciałbym z panem pomówić!

Wyszli obaj do salonu, przymykając drzwi za sobą. Pozostawili jednak dużą szczelinę. Szept doktora był dziwnie przenikliwy i świszczący. Z dziwną dokładnością przedostawał się do sypialni.

Marysieńka, nie poruszając się z miejsca, słyszała wszystko.

— Dziecko ma zapalenie otrzewnej — mówił lekarz — spowodowane pęknięciem ślepej кишки. Ponieważ wątle, więc niema mowy o operacji.

Zawiesił głos.

Zdzych zachęcił go jednak:

— Proszę, mów pan wszystko.

— Tak! matkę należy oszczędzać, bo wydaje mi się nerwowa. Ale pan... Więc — w dwudziestu czterech godzinach należy oczekiwać... najgorszego.

— Al...

— Tak!

A potem kurtuazyjnie:

— Lecz dzieją się czasem cuda!

— — — — —
Cudu nie spodziewała się Marysieńka. Przy posłaniu dziecka przykuta zmieniała automatycznie okłady lodowe wedle dyspozycji lekarza i, wławszy Ślepej w usta kilka kropel mikstury, śledziła bez oporu przebieg choroby. Nie poznawała swej małej, tak zawsze cichej i zrównoważonej. Gorączka żarła ją i zmuszała do seryi ruchów obłądnych, tem straszniejszych, że wykonywane były w przestrzeni, zaludnionej w wyobraźni Ślepej stworami może o przerażających, potwornych formach. To wieczyste dążenie do najgorszego, takie bardzo ludzkie, które kazało Marysieńce stwarzać ciemnię, otaczającą dziecko na wzór piekła, czyż nie kazało także i temu dziecku rzeźbić swą wyobraźnią tych, którzy do niego mówili, dotykali go, zajmowali się niem nakształt jakichś potworów przerażających i ohydnych?

I widząc, z jaką trwogą darło się jej z rąk, jak szalało prawie pod zbliżeniem się jej i doty-

kiem, nabierała coraz więcej przeświadczenia, że jest dla swego dziecka tylko przerażającym widmem, stworą potworną i zamęczającą mu ostatnie może chwile.

Zdwoiła łagodność ruchów i nie śmiała prosto położyć rąk swoich na ciele Ślepej. Nie mówiła nic, bo odczuwała, że dziecko zaostrzyło swój słuch podwójnie i cierpienia jego każdy głos z zewnątrz powiększa.

— Jeżeli umrze — myślała — skona z tą wizją, iż obok niej znajdowały się same potwory przerażające i szkodliwe.

Jeżeli... umrze!

Ze zgrozą zagłębiła nóż tego przypuszczenia w samo swoje serce. I z większą jeszcze grozą wyczuła, iż nic tam nie drga i nie krwawi się na tę myśl śmiertelną. Zdrętwiała zupełnie pod ciosami, które były w nią ze sprawnością walących w drzewa piorunów. I to właśnie odrętwienie i nieuczucie bólu było najstraszniejszym dla niej bólem. Martwo śledziła zachowanie się męża. Z jakąś przesadzoną, gorączkową pieczołowitością odnosił się do dziecka i do niej. Niezręcznie zabrał się do dzieła i kierował akcją leczniczą, nadając sobie ważność osoby głównej i koniecznej. Podziwiała ciasność widnokregu jego sumienia, które w tak płaskich i żadnych zabiegach dozwalało mu znaleźć uspokojenie i za-
dośćuczynienie za ciężką krzywdę, jaką wyrządził

im dwojgu! I znów ohydny, potworny blask Prawdy zwał się na nią i oślepił ją. Uchwyciła się konwulsyjnie obramowania kołyski.

— Niech lepiej... niech lepiej...

Nie śmiała jednak sformułować swej myśli. Matka w niej żyła mimo wszystko i pulsowała z całą mocą.

— Niech lepiej...

Świt wstawał, wyjątkowo jasny, rozkoszny, przepojony soczystym, delikatnym światłem. Mimo to, iż rano ten filtrowały jeszcze przejęte wyziewami nocnej rozpusty miejskie opary, miał w sobie jakiś czar prawie wiosenny, wyjątkowy, jakby przedziwną woń rozkwitających drzew i budzącej się do życia ziemi. I wszystko zdawało się tętnić tem życiem, rozwojem, pędem ku doskonaleniu się. O duszę, chwyconą w szpony martwoty, Marysieńki uderzył jakby głos dzwonu, bijącego na Zwiastowanie. I ta rozkosz poranna, zawisła nad wszechświatem, przenikająca wszystko i wszystkich i stającą się jakby treścią duchową, zdawała się zadawać kłam słowom, które kilkanaście godzin temu wymówił pochylony nad nią i tak słodki w swej Dobroci — nieznaomy:

»Bo może lepiej świata i tego, co jest na nim, nie widzieć zupełnie...«

Czy lepiej, gdy tak jasno, tak wonno, tak czysto dzień się zapowiada!

I kto wie — tak jest, że zdawaćby się mogło,

iż nadlecenie Cudu nawet wśród tych krystalicznych przestworów jest możliwe. W błękicie i różowym blasku jutrzeńki spłynąć może łaska uzdrawiająca i wstrzymująca potęgą swą dzieło zniszczenia.

— Mamże paść na kolana i błagać, prosić o ocalenie, o pozostawienie córce mojej życia? — szamotało się w niej i błagało o szybkie postanowienie.

Blizka była uczynić zadość tej wewnętrznej chęci, która ją niosła w stronę rzeczy nadzwyczajnych. Lecz oto — po drugiej stronie posłania konającej stanął pełen ważności mężczyzna o ławtem sumieniu i równocześnie zdolność do morderstwa uciekła z jej serca.

— To daremny wysiłek! — myślała, opierając głowę o krawędź posłania — na dziecko to złożyło się zbyt wiele brudu i ludzkiej ohydy. Skrzydła Cudu ominą go. Niech raczej... umiera!

XLI.

Umarło.

Nad południem uspokojone nagle, jakby mu się polepszyło. Lecz ani doktor, ani Marysieńka nie mieli złudzenia. Doktor przez wiedzę, matka przez przecucie. Jedynie Zdzych w swej ciasnocie triumfował.

— Wiedziałem, że wyjdzie z tego! — mówił, robiąc sobie na rogu komódki papierosy — wszystko zależy od sposobu czuwania nad chorym!

Nie zareagowała na tę widoczną aluzję do jej poprzedniego ofiarnego pielęgowania oczu Ślepej.

Stawała się powoli głazem i serce jej ciążyło w piersiach, jak stygnący odłam lawy. Martwo patrzyła na lekarza, który bardzo świeży, doskonale ogolony i pachnący zapewniał ją, że »choroba ma normalny przebieg« i że wszystko »jest w porządku«.

Z ulgą najwyższą ujrzała, iż po odejściu lekarza Zdzych demonstracyjnie, jako że jest bardzo znużony, poszedł do swego gabinetu i ułożył się spać na sofkę. Przedtem jednak, mniej już pewnym głosem, zawiadomił ją, iż gorączka

może powróci i wtedy należy zbudzić go koniecznie. Był to prawdopodobnie rezultat jego szeptów z lekarzem. Marysieńka przyrzekła. Za wszelką cenę chciała zostać z dzieckiem samą, w ostatniej jego życia godzinie.

Nadeszła ta godzina prędzej, niż się spodziewano. Nadleciała cicha i prawie przytulna, z jakichś dalekich kręgów, zmiatająca po drodze ostatnie tchnienia, gasząca czarnym skrzydłem ostatnie tłące iskierki. Bez obrony, bez protestu, bez skargi, tylko z trzepotaniem niewyraźnym rąk i chwytnością powietrza zaczęła się agonია Ślepej. Ponad nią chyliła się biała, jak opłatek, twarz Marysieńki. Czasem tylko słychać było rżenie maluchnych, wyprężonych piersi i wnet ustawało, jakby czując zbyt dużą miotania i wysiłku.

— Śpij! śpij! — zdobywały się na to jedynie wargi bielejące matki — śpij, droga, nieszczęsna duszo!

Snu jej życzyła, snu wiecznego, nieprzespanego nigdy. Ułożyć ją chciała tak spokojnie, bez ruchu i paść przy niej, aby zasnąć wreszcie i umrzeć także.

— Skonajmy obie! zaśnijmy obie!... — kołysanka śmiertelną cisnęło się na jej wargi.

Jakieś zdziwienie ogarnęło ją, że to, co tak ogromne, tak tragiczne się przedstawia z oddali, ta Śmierć, jest zblizka tak prostą, skromną, nie-

hałaśliwą rzeczą. I pojęła brak zupełny komplikacyi w linii życiowej i w przejściu do innej może formy życia wielkie ułatwienie i dobrodziejstwo natury. Zrozumiała, że cały aparat rozgłosu nadali Śmierci ludzie, chwytający skwapliwie każdą przyczynę do wyładowywania swych potrzeb, demonstrowania jaskrawego swych uczuć.

— Śpij! — kołysała dziecko — śpij!...

Jakby posłuszne nagle stało się jej słodkiemu życzeniu. Uspokoilo się i oddychało lekko. Ręce jego opadły na biel posłania. Zadrżała teraz cała, czując, iż w dłoniach jej, pod jej ustami ginie, umiera kwiat jeszcze żywy, oderwany od jej ciała, ożywiony częścią jej tchnienia.

Umilkła i nie życzyła więcej snu tej, która sama zasypiała już powoli. Anielska piękność dziecka wystąpiła znów na jaw w całej doskonałości swojej. Jakby chciało pożegnać życie w najcudniejszej swej krasie i pięknie, tak dozwoliło swym doskonałym rysom uspokoić się na wzór zdrętwiałych w czarującej nieruchomości posągów. Przetwarzało się cudownie i wiszącej u jego twarzy oczom Marysienki przemiana ta zdawała się jakimś niebiańskim objawieniem.

Pierwszy raz widziała tak śmierć zbliżka i ta jej forma stawała się jej drogą, błogą i zupełnie zrozumiałą.

Nagle jakieś jasne, prawie różowe, ciepłe światło przebiło martwe i ślepe szyby okien. Zjawi-

sko to było nowe i nigdy poprzednio nie miało miejsca. Wiosenny blask ożywił fale powietrzne i spływał w najciaśniejsze zakątki. Jakby pod jego wpływem Ślepa otworzyła oczy i źrenice jej wielkie, czyste spojrzwały prosto w bladą twarz matki.

I tyle jakiegoś pojęcia, zrozumienia, rozumnego bólu było w tych oczach, że Marysienka zadrżała cała przerażeniem i radością.

— Zobaczyłaś mnie? — chciała zapytać, lecz bała się spłoszyć swym głosem cudowną wizję patrzących oczu, jakie objawiały się przed nią z ostatniem pożegnaniem.

— — — — —
Powoli gasły te oczy i cofały się w głąb, jakby umierająca zabierała z sobą wrażenie, ujrzone w ostatniej życia godzinie.

I zasypiała z powiekami wpół przymkniętymi, ze źrenicami błękitniejącymi dziwnie, jakby kto dwa bławatki świeże, operlone rosą położył wśród długich, jedwabnych, delikatnych rzęs.

XLII.

To, co później nastąpiło, to już nie było w rzeczywistości to, co ludzie nazywają »po-grzebem«.

Gdyby nie demonstracyjne szastanie się Zdzi-cha, minęłoby to wszystko, jak sen.

Coś tam oddano ziemi drobnego, małego, bezwładnego, coś białego ciałem i strojem, jakby płatek śniegowy.

Z cmentarza wracać należało, bo zapadał zmrok.

Garstka osób towarzyszących rozeszła się i ginęła wśród labiryntu ścieżek i grobów.

Marysieńka jakby się ocknęła i ożyła teraz dopiero. Patrzyła na mały grób, który oklepywali grabarze za pomocą łopat. Z sąsiedniego grobowca jakiś anioł wyciągał rękę bezmyślnym gestem. Na ręce tej zwiślał niezwydły jeszcze wieniec z pięknych, drogich kwiatów. Kamienne żrenice anioła tkwiły uparcie w stronie rosnącego grobu. Taki sam kamienny pozór miały oczy Marysieńki, choć gest, z jakim odrzucała

spadające na twarz zasłony z krepy, był gestem żywych ludzi.

Podszedł do niej bliżej mąż.

— Chodźmy!

Spojrzała mu w twarz prosto. Oczy jej, te bez życia, przeniknęły go do głębi.

— Idź sam...

— Jako? chcesz wracać do domu sama?

Nie odpowiedziała mu wprost, tylko zdawała się być zasłuchaną w jakieś tajemnicze procesy, które się w niej przetwarzały.

I wreszcie po długiej chwili milczenia wyrzekała, ciągle patrząc mu w twarz zgasłemi oczyma:

— Jak sądzisz? dlaczego nasze dziecko było ślepe?

Padło to jasno, trzeźwo i mówiło za siebie. On przestał się szastać bezmyślnie, jakby chciał coś zagłuszyć i nie znalazł odpowiedzi.

— Dlaczego? — powtórzył — dlaczego?...

Ona podjęła znowu:

— Wiemy oboje... i ja i ty nieszczęśni. Nad grobem dziecka możemy to sobie uprzytomnić... O jedno cię błagam: Nie próbuj zaprzeczać. To próżno. Ja, ty... jesteśmy skazani. Ono było także skazane. Pierwsze padło na szafot. Nie wytrzymało. Nam sądzono się wlec. Czy razem? Nie wiem, nie wiem nic. Zostaw mnie... zostaw mnie...

Opuścił głowę na piersi. Uczuł się w tej

chwili nędznym, małym, winnym. Pojął, co uczynił. Sięgnął w głąb swej egzystencji. Mroczna była i zgniła. Mrokiem tym i zgnilizną zatrut młode ciało swej żony i spłodził martwe teraz ciało kaleki. Gdzie był początek tej nędzy? gdzie powód? Nawet już dokładnie uosobić sobie nie mógł. Jakaś przygodna afera, jakaś dziewczka, wzięta z kolacyi koleżeńskiej, coś, co nie miało teraz ani postaci, ani istoty w odmęcie przeszłych dni.

Wyciągnął rękę w stronę żony.

— Przebacz! — wyszeptał.

Chciał to załatwić krótko, przeciąć tę sytuację, która zdawała się nie do zniesienia. Zdawało mu się, że gdy usłyszy z jej ust przebaczenie, zdoła otrząsnąć się z tego, co mu spadało na duszę kamiennym ciężarem. A potem jeszcze upokarzał się, lojalnie przyznawał się i tem już zmazywał swą winę. I zresztą, czyż to była wina? To była rzecz codzienna, zdarzająca się ciągle. Po cóż było robić z tego tragedię? Jedynie u nich tylko wzrosło to do jakichś rozmiarów, bo trup dziecka istniał i ten pogarszał sprawę. Lecz inne pary jemu znane, przeżywały takie sprawy cicho i najczęściej ze strony kobiet w nieświadomości. Wieczyste kaleki wlokły się przez życie bez skarg, skierowanych we właściwe strony. Lekarze z wielką solidarnością zakrywali przed niemi prawdę, i tak zapadały one w ciągłą chorobę, której przyczynę składały

one na swój chorowity organizm, na wrodzone skłonności do wieczystej niedomogi płciowej.

Usuwały się szybko same z życia, »bo były ciągle chore«, i asystowały biernie, zrezygnowane bujnym objawom temperamentowym innych napozór zdrowych jednostek.

I przestawały być »kobietami«, nie wiedząc, dlaczego się to stało, gdzie było źródło i przyczyna. Nie znając stanu rzeczy, nie zwalczały zła, lub czyniły to niedbale. Dyskrecya chroniła sprawców ich nędzy, którzy leczyli się pilnie, lecz znów popadali w recydywy i znów serya nieszczęsnych istot przybywała do tłumu. Usankcyonowane to było jednak i stolerowane. Nie myślał o tem nikt. Wyrzucano precz tę myśl, gdy się zjawiała. To było »błoto«. Należało o tem niewiedzieć. Dopiero gdy urosła taka mała mogiłka, można było się na sekundę zastanowić i powiedzieć: »Przebacz!«

Lecz już w tonie tego słowa był bunt, było przeświadczenie, że nie wyłamując się z przyjętego porządku rzeczy mężczyzna, czuł się w zupełnem prawie i to, co zrobił, było raczej przypadkowo fatalne, a nie wynikiem jego przewiny. Przed okaleczoną kobietą stał, z trupem ślepego dziecka pod stopami i zuchwiał się, bo zamiast

słów przebaczenia spotkał chłodne źrenice i zacięte usta sądzącej go kobiety.

Więc dodał, zapinając palto gestem nerwowym.

— Zresztą właściwie, to było przed ślubem i wogóle, jeżeli było...

Już zaczynał sięgać po puklerz kłamstw. Zapragnął jak najszybciej odejść z tego cmentarza, nie widzieć tego grobu.

— A potem, to jest rzecz zwyczajna — bełkotał — i zresztą, niewiem kto cię tak poinformował. Jakiś dureń... Chodź do domu. Wogóle myśleć o tem nie warto.

Odwróciła się nagle i szybko iść zaczęła na przełaj wśród grobów i bezlistnych jeszcze drzew. Kierowała się ku widzianemu zdaleka jasnemu płatowi horyzontu, na którym gasły ostatnie dzienne blaski.

On szedł za nią pełen urazy i niesmaku. Teraz czynił ją winną za to, że wszczęła tę kwestyę. Wogóle powinna była zamilczeć to, co poznała. To była niedyskrecya i brak skromności. Nie spodziewał się tego po niej.

Widząc, że przyspiesza kroku, jakby uciekała od niego — rozgoryczał się coraz więcej.

— Z Panem Bogiem! — myślał, wydymając usta — niech leci, powiem jej w domu, że tak przyzwoita kobieta nie postępuje. Brak w tem najzupełniej jakiejkolwiek dystynkcyi kobiecej...

Sądziłem, że ma więcej godności własnej i poczucia delikatności.

Zwolnił kroku i patrzył teraz gniewny na czarną sylwetkę żony, ginącą w powodzi krzyżów i kamiennych aniołów.

XLIII.

Zapadł mrok.

Marysieńka szła wciąż i teraz etapem jej były uliczne latarnie.

— Ach, tak! jeszcze jedna latarnia i jeszcze jedna...

Szła zaułkami, których nie знаła zupełnie. To znów zdawało się jej, że tu już kiedyś była, lecz może w innej postaci, że część jej życia pochłonęły te martwe zakamarki, pełne melancholii niezwalczonej i bez wyjścia.

Mijały ją jakieś postacie to zainteresowane, to obojętne. Kobiety miały dla niej spojrzenia ciekawe. Ona nie przenikała ich indywidualności. Usuwała się im z drogi. Chciała być dla nich takim cieniem nieistniejącym, jak one były w tej chwili dla niej. Płagneła tylko iść tak bezmyślnie w ciemni, krawędzią zniszczonego chodnika. I niosła w sobie jedną wielką ranę, jeden wielki ból. Jedną miała troskę, aby ktoś tego bólu nie odgadł, nie wywlókł go na jaw. A zarazem to osamotnienie, to pozostanie bez żadnej opieki, bez nikogo »obok« — było jej straszne i nie do zniesienia.

— Boję się... — myślała — boję się nieszczęścia mego!

I nagle zaczął iść koło niej ktoś, tak »obok« właśnie. Jakiś mężczyzna stawiał delikatnie swe kroki i równał się z nią dyskretnie. Był rostry, smukły i w cieniu ginał jego profil, a przecież zdawał się być bardzo łagodny i uduchowiony. Poza tem szło od tego człowieka jakieś łagodne, uspokajające ciepło. Nie przemówił jednego słowa, a Marysieńce zdawało się, że owinął ją cały prąd wyrazów kojących, i że już tak szła kiedyś obok niego w ciężkiej życia godzinie.

I nagle przypomniała się jej noc pełna grozy i bólu, noc męki porodowej, gdy w chwili odpoczynku miała wizję, iż idzie zwolna jakąś nieznaną drogą, a obok niej, jakby na straży, cicho i łagodnie sunie postać Nieznanego człowieka. Tak jest. To był bezwątpienia ten sam wizyjny, a w życiu jej zajmujący odrębne stanowisko.

Spojrzała nań i poznała go.

Widziała go już nietylko w czasie chorobliwej chwili, lecz także i wtedy przez ślepe szyby okien, wieczorem, podczas gdy jej córka w milczeniu asystowała temu dziwnemu połączeniu się ich pragnień, ich dążeń ku sobie, ich chęci zespolenia się.

Widziała go i słyszała w pamiętny dzień, gdy nagle padła przerażona poznaną prawdą po powrocie z kliniki oftalmicznej. Wszedł wtedy do

jej domu i pochylił się nad nią, kojąc ją słowy i gestem.

Widziała go jeszcze oprócz tego, ale już nie mogła przeniknąć mroków, kiedy i gdzie...

Lecz to był — On!

I nagle uspokoiła się. Westchnęła. Nie była sama. Wyciągnęła z czarnych obsłon rękę. Ujął ją.

— Idę za panią z cmentarza! — wyrzekł łagodnie.

— Dziękuję panu!

— Czułem w pani wielką rozpacz... i lęk. Czy wierzy pani, że dzielę je w zupełności?

— Wierzę!

— Nie pytam, dokąd pani idzie. Ale... podaj mi lepiej rękę. Pozwól się poprowadzić. Czy mamy wrócić do domu?

— Nie.

Zamilkł, jakby zaskoczony tem, co słyszał. Wreszcie znów przemówił.

— Musimy wyjść przedewszystkiem z tej dzielnicy. Zabrnęła pani bezwiednie w gniazdo skalane rozpustą. Dokoła nas same prostytutki. Uciekajmy stąd! Tu serce bić przestaje!...

Przycisnęła się do jego ramienia, zdjęta nagle uczuciem bezgranicznego zaufania.

— Tak! tu serce bić przestaje — powtórzyła jak echo.

— Człowiek wstydzi się tego, że jest czło-

wiekiem! — mówił dalej z jakimś odcieniem melancholii.

Zdawało się jej, że wrywa jej te słowa z ust. Tak, to była skoncentrowana treść nędzy jej życia. On to czuł, rozumiał, on sam cierpiał w tem otoczeniu, uciec chciał jak ona... Byłże więc on tym, który z wzdargą i wstrętem odpychał to ułatwienie życiowych wygód, które podawało mu tak uprzejmie urządzenie społeczne. Byłże on ten, który chronił ekstazy swej miłosnej przed steraniem jej w błocie sprzedajnych i zwierzęcej rozpusty dziewczek ulicznych?

Tak było, tak być musiało. W życie jej przecież weszło coś doskonalszego, coś czystsze, co ją podniesie, pocieszy, ukaże jej możliwość życia.

— Wyprowadź mnie stąd! — wyrzekła błagalnie — brak mi tutaj tchu, umieram!...

Pochylił się ku niej radośnie.

— Wszystko dla ciebie zrobię, co każesz! — wyszeptał słodko. — Tak dawno jestem ci cały oddany. Nie wiesz nawet o tem!

Milczała, wywołując tem wierzenia, które ją upajały.

— Poznałem cię w tak dziwnej, potwornej przykoliczności... Daruj, że ci ją przypomnę. Ale chcę być szczerzy. Czuję, że być nim powinienem. Było to pewnego późnego wieczora. Zabawiłem się w mieście i zbiegłem okoliczności

popadłem w fatalną sytuację... Otoczyła mnie banda hyen szarpiących... wyjących... Zjawiła się ty... i ten twój dobrotliwy, śliczny gest. Potem posłałem ci kwiaty i odtąd uczyniłem sobie z ciebie bożyszczą. Wystawiłem ci małą świątynkę w mem sercu...

Zatrzymał się. Ręka jej wysunęła się z pod jego ramienia. Uczuł nagle, że pomiędzy nimi wznosi się mur i że ten mur jest nie do przebycia.

Zatrzymali się.

Imperatywnym gestem odpędziła go od siebie.

— To byłeś ty... ten pomiędzy nimi... odejść precz!...

Próbował się usprawiedliwić.

— Ależ... to przecież rzecz zwyczajna. Dlaczego?

— Odejź!

— Dlaczego nie chcesz zrozumieć? Nie znałem wtedy ciebie, nie kochałem cię jeszcze. Czyniłem to, co wszyscy. Szedłem utartą drogą. Byłbym śmieszny, postępując inaczej. A potem, zrozum. Dochodzi się do wieku, w którym kobieta musi przestać być nieuchwytnym widmem... Zbyt prawną miałem naturę, aby siać nieszczęście wśród rodzin. Nie mogłem uwodzić dziewczyn, nie mogłem kraść mężatek. Więc pozostało mi to, co społeczeństwo rzuca nam na żer i na pastwę do chwili, w której wreszcie spotkamy na dro-

dze naszej »kobietę«... Winisz mnie za uczciwość moją?

Nie winiła go. Ale czuła tylko bezdenne straszne wstręt do wszystkiego, co życie stanowi. Rozumieć zaczynała, iż po to, aby ona pozostała czystą jak dziewica, spokojną jak mężatka, w błoto rozpusty spaść musiały całe falangi innych dziewczec, innych mężatek.

Te predestynowane, ginące bez protestu i walki.

Lecz wrośnięta jej nienawiść do tego, co szpetne, kazała jej z uporem pijanego pozostać przy swoich wierzeniach i odczuciach.

— Idź precz! — wyrzekła przez zaciśnięte zęby — idź precz!

Oparła się o słup latarni i została tak martwa i nieruchoma z oczyma zamkniętymi. Deszcz powoli zaczął siec lodową, zimną chłostą jej długie, czarne krepy. Bładła w nich, to ginąc, to występując w migocącym przez wichę światła latarni.

Patrzył na nią z rozpaczą. Widział w niej tyle uporów, a sam był tak przedenerwowany, iż i on zapragnął oddalić się jak najszybciej od tej kobiety, która w tej chwili czuła wzdrganie, jaką się ma dla oparszywiatego zwierzęcia. Zrozumiał, iż w jednej chwili stanęli na terenie bagnistym i że nie mogło być pomiędzy nimi mowy o jakimś uczuciu doskonalszym i bardziej

uduchowionem. Z goryczą rosnącą w sercu, z nerwami drżącymi oderwał się od niej przejęty bólem i urazą bezdenną.

Mimo swej wielkiej subtelności i wyczulenia, stał ciągle na gruncie swych praw życiowych i zrozumieć nie mógł i nie chciał tego, co się w jej duszy działo.

I bez słowa, cicho, napozór spokojnie, odszedł, grzebiąc się powoli w szarej, mglistej ciemności.

Gdy kroki jego przebrzmiały, Marysieńka uczuła jakby zamiast serca miała wewnątrz piersi lodową, cichą pustkę. Przez te minuty przeżyła całe szmaty swego życia, to wszystko, co ją jeszcze mogło czekać i czego pragnąć się zdawała. Teraz już nie chciała niczego. Wiedziała, iż zawsze pozostanie tą, która przyjdzie po nich, po tych będących właściwie radością, uśmiechem i upojeniem życia, albo iść będzie równocześnie z nimi na miłosnym szlaku. Tylko ona będzie szła w nimbie szacunku, aureoli bożyszczka smutnego i niezajmującego, one zaś spijać będą radosne, weselne szaty z tych samych ust, które dla niej prócz szablonowych pocałunków nic mieć nie będą.

I rozumiała, że to ona właściwie jest w cieniu, a tamte w światłości i że cnotliwość jej jest wielką melancholią i nudą życia. Porównanie

musiało wypaść na jej niekorzyść i wszystkie wysiłki, jakieby czyniła, aby stać się zajmującą i tą, która gruntuje swe prawa, były niezręczne, natrętne i bez znaczenia. Namiętność jej była wstrętą, niezgrabną, śmieszną i czyniła ją szpetną i odrażającą. Nie podawała bowiem żadnych nowych wrażeń, a przeceniając swą wartość, obniżała się tem samym.

Słowem, na każdej linii była pobitą, będąc obowiązkiem, podczas gdy tamte były zawsze wolnym wyborem, dokonany z chęci i upodobania.

W lodowej atmosferze siekącego deszczu przychodziło na nią to samopoznanie, wpijało się w jej umysł i duszę szponami jakiejś stwory bezlitosnej i potwornej.

Dokoła siebie posłyszała szepty.

— Pijana? co? pijana?...

Roztworzyła z trudem źrenice. Otoczyły ją zwartem kołem dziewczki uliczne pod czarną osłoną rozpiętych parasoli.

Jedna z nich szarpnęła ją za ramię.

— Czego tu chcesz? Idź stąd, tu my mamy prawo chodzić... słyszysz?

Owiała ją atmosfera ohydnych perfum i ciał kobiecych, rozgrzanych rzemiosłem miłości. Wyprężyła rękę silnym gestem i pchnęła tę, która była najbliższej niej tak, że ją prawie twarzą dotykała.

I nagle z całej gromady wybuchnął straszny wrzask, ten wrzask, który wydała owa dziewczka, uderzona przez Zdzicha owego pamiętnego wieczoru. Wycie hyeny — coś potwornego, coś bijącego w niebo i opadającego chłostą na głowę człowieka. Lecz jedna jakby węższąca na straży, krzyknęła:

— Policya!

I zwały w jednej chwili, przypadły w ciemności jakby stado widm piekielnych, które ziemia pochłonęła.

Jedna tylko, trochę kulawa, zaplątała się w łachmany swego boa i pozostała w tyle.

Do niej przypadł policyant.

Porwał ją za rękę. Zaczęła pokornie skomleć, tłumacząc się, że to winna ta jakaś czarna pod latarnią, która ją biła...

Zwrócił się do Marysieńki i schwycił i ją za ramię.

— I ty chodź!... do komisarza dalej... jedna za drugą... Ja was nauczę bić się i wrzaski robić.

I pognął je przed sobą.

— — — — —
W zadymionym, wązkim pokoju, przed balustradą oddzielającą część urzędową, w swych zmoczonych krepach, blada, bez tchu, bez życia stanęła Marysieńka jakby na sąd.

Pomocnik komisarza z poza obłoków dymu

zapytał, nie patrząc nawet w stronę przywleczonych kobiet.

— Cholery jedne, o co wam poszło?

Ze skomleniem psa zaczęła tłumaczyć dziewczka, która zdjęła z głowy kapelusz i starannie otrzymywała z deszczu pióra.

— Ja nie wiem... idę najspokojniej. Pan komisarz mnie zna... ja jestem przecież bardzo spokojna. Nigdy się nie zaczepiam. A ta jakaś całkiem nowa mnie za włosy i od ostatnich na mnie — i bije..

Podniosła głos. Pomocnik komisarza uderzył pięścią w stół.

— Cicho! Gadaj teraz ta druga. Czego się do niej czepiłaś? Co ona ci zrobiła?

— — — — —
Marysieńka milczała.

Czy miała powiedzieć, co zrobiła w jej życiu dziewczka wogóle, czem była przez to, że istniała, że żyła, że była tą jasnością, podczas gdy ona szła w cień?

Czy miała ujawnić rany swego istnienia, kalectwo swego ciała, martwe oczy dziecka, świeżą jego mogiłę i bankructwo swej własnej moralnej istoty?

Czy byłby to kto zrozumiał?

Mimowoli spojrzała dokoła. Po kątach stały obojętne, zaspane postacie męskie. Niektóre już porozumiewawczo patrzyły na dziewczkę, wy-

tworzącą mimowolny kontakt pomiędzy nimi i sobą.

I Marysieńka zrozumiała, iż jest zupełnie samą z tragedją swego życia i samą pozostanie na zawsze.

Więc milczała wciąż, a tylko z jej oczów spłynęły dwie wielkie, lśniące łzy.

B. Jozefowi

KONIEC.



268952

BIBLIOTEKA	
Polskiego Towarzystwa „Oświata”	
w Poniewieżu	
Katalogowy N°	_____
Inwentarzowy N°	2857.